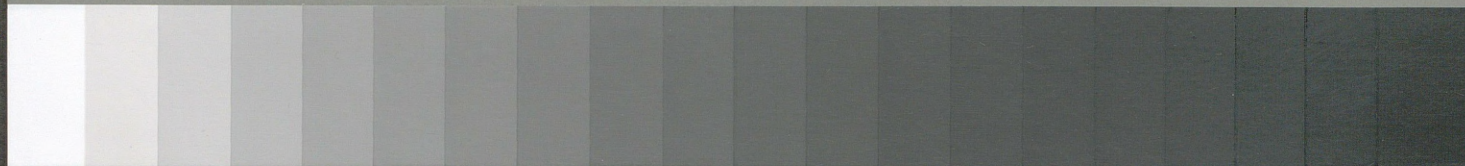




Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



E. 465

E. 465

gł. n. 11/12. 32. n. 650

WŚRÓD TRUJĄCYCH MGIEŁ
OPOWIEŚCI O WOJNIE GAZOWEJ

**Prywatna Bibl. Belotr.
Oficerów Garn. Skierniewice**

6.50



Napad gazowy, widziany przez lotnika.

WŚRÓD TRUJĄCYCH MGIEŁ

OPOWIEŚCI O WOJNIE GAZOWEJ



807

Z PAMIĘTNIKÓW I DOKUMENTÓW WYBRAŁ
ROMAN UMIASTOWSKI

**Prywatna Bibl. Belotr.
Oficerów Garn. Skierniewice**

1615

W A R S Z A W A 1 9 3 3
GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA

355.91(32WA) : 8(355)

O K Ł A D K A
ATELIER GRAFICZNE
G I R S - B A R C Z

Prawa przedruku zastrzeżone.

9752/2



W A R S Z A W A 1 9 3 8
GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA
Główna Drukarnia Wojskowa.

SPIS RZECZY.

WOJNA GAZOWA.

	Str.
Czarny dzień pod Ypres	10
Raport doktora J. S. Haldana	18
Na kanale Yperlée	22
Kiedy Niemcy poczęli myśleć o użyciu gazów	44
Pod Warszawą	47
„Znakomity profesor”	57
Odparcie natarcia gazowego pod Osowcem	65
W winnicach Szampanji	70
Raport o okolicznościach, w jakich został wykonany w dniu 27 października napad gazowy na froncie IV armji i jego następstwa	77
Pierwszych dwadzieścia tysięcy	85
Pod Verdun	86
Niepowodzenie	88
Zatrute powietrze	91
Preludjum bitwy nad Sommą	95
W bitwie nad Sommą	101
Dusiciele	103
Przedmoście Ixküll	112
Pod Baranowiczami	118
Z dzienników i listów żołnierskich	130
Dwa napady gazowe na froncie ryskim w 1917 roku	133
Dramat na Mont Cornille	143
Pięćset tonn chloru	145
Nagła zmiana wiatru	148
Bitwa masek	151
Na przedmościu	153

	Str.
List oficera kompanji gazowej	160
Napad z użyciem pocisków żrących	162
Nieudały napad gazowy	165
Udaremiony napad gazowy	167
Krzyż niebieski	175
Zagazowani	176
Oswobadza i zabija	179
Ostatnie bombardowanie gazowe po wielkiej wojnie	181
Nie pozwolimy się zaskoczyć	183
Historja pospolita w r. 1918	184
Śmierć w Saint Quentin	188
Człowiek człowiekowi wilkiem nie jest	199
Strach	201
W arsenałach chemicznych Prus	202

MIOTANIE PŁOMIENI.

Płonąca ciecz	209
Miotacze płomieni	211
„Książę piekieł”	213
Miotacze płomieni naprzód	215

SPIS ILUSTRACYJ.

1. Napad gazowy, widziany przez lotnika.
2. Ofiary napadu gazowego, widziane oczyma rysownika angielskiego.
3. Przejście przez falę gazową w 1915 r. Skład butli z gazem.
4. Piechota niemiecka podczas wojny światowej
5. „Nettoyer” z roku 1915.
6. Drużyna francuska w maskach w 1916 r.
7. Butle z gazem, zakopane w dnie okopu, przygotowane do rosyjskiego natarcia gazowego pod Rygą.
8. Miotacze Lievensa.
9. Natarcie przy użyciu miotaczy płomieni.
10. Bateria miotaczy płomieni.
11. Żołnierze niemieccy poddają się po użyciu przez Francuzów miotaczy płomieni.
12. Czołg przy spotkaniu miotaczy płomieni.
13. Psu też należy założyć maskę.

1. Napad gazowy, widziany przez Jolankę.	501
2. Olsztyń, napad gazowy, widziane oczyma rysoownika angielskiego.	502
3. Przegląd przez las, gazow w 1915 r. Słuch był z gazem.	503
4. Pochód niemiecki podczas wojny światowej.	504
5. „Nachtogel” z roku 1915.	505
6. Drużyna francuska w maskach w 1916 r.	506
7. Bule z gazem, zakopane w dniu okupacji, przygotowane do rozsypania natychmiast po wyjeździe.	507
8. Miłośnice życia.	508
9. Zatrucie przy użyciu miotaczy płomieni.	509
10. Bateria miotaczy płomieni.	510
11. Żołnierze niemieccy podają się po użyciu przez Francuzów miotaczy płomieni.	511
12. Czolg przy spotkaniu miotaczy płomieni.	512
13. Pan też należy założyć maskę.	513
14. Listy adresowane do redakcji.	514
15. Nagrody konkursowe.	515
16. Nagrody konkursowe.	516
17. Nagrody konkursowe.	517
18. Nagrody konkursowe.	518
19. Nagrody konkursowe.	519
20. Nagrody konkursowe.	520
21. Nagrody konkursowe.	521
22. Nagrody konkursowe.	522
23. Nagrody konkursowe.	523
24. Nagrody konkursowe.	524
25. Nagrody konkursowe.	525
26. Nagrody konkursowe.	526
27. Nagrody konkursowe.	527
28. Nagrody konkursowe.	528
29. Nagrody konkursowe.	529
30. Nagrody konkursowe.	530
31. Nagrody konkursowe.	531
32. Nagrody konkursowe.	532
33. Nagrody konkursowe.	533
34. Nagrody konkursowe.	534
35. Nagrody konkursowe.	535
36. Nagrody konkursowe.	536
37. Nagrody konkursowe.	537
38. Nagrody konkursowe.	538
39. Nagrody konkursowe.	539
40. Nagrody konkursowe.	540
41. Nagrody konkursowe.	541
42. Nagrody konkursowe.	542
43. Nagrody konkursowe.	543
44. Nagrody konkursowe.	544
45. Nagrody konkursowe.	545
46. Nagrody konkursowe.	546
47. Nagrody konkursowe.	547
48. Nagrody konkursowe.	548
49. Nagrody konkursowe.	549
50. Nagrody konkursowe.	550
51. Nagrody konkursowe.	551
52. Nagrody konkursowe.	552
53. Nagrody konkursowe.	553
54. Nagrody konkursowe.	554
55. Nagrody konkursowe.	555
56. Nagrody konkursowe.	556
57. Nagrody konkursowe.	557
58. Nagrody konkursowe.	558
59. Nagrody konkursowe.	559
60. Nagrody konkursowe.	560
61. Nagrody konkursowe.	561
62. Nagrody konkursowe.	562
63. Nagrody konkursowe.	563
64. Nagrody konkursowe.	564
65. Nagrody konkursowe.	565
66. Nagrody konkursowe.	566
67. Nagrody konkursowe.	567
68. Nagrody konkursowe.	568
69. Nagrody konkursowe.	569
70. Nagrody konkursowe.	570
71. Nagrody konkursowe.	571
72. Nagrody konkursowe.	572
73. Nagrody konkursowe.	573
74. Nagrody konkursowe.	574
75. Nagrody konkursowe.	575
76. Nagrody konkursowe.	576
77. Nagrody konkursowe.	577
78. Nagrody konkursowe.	578
79. Nagrody konkursowe.	579
80. Nagrody konkursowe.	580
81. Nagrody konkursowe.	581
82. Nagrody konkursowe.	582
83. Nagrody konkursowe.	583
84. Nagrody konkursowe.	584
85. Nagrody konkursowe.	585
86. Nagrody konkursowe.	586
87. Nagrody konkursowe.	587
88. Nagrody konkursowe.	588
89. Nagrody konkursowe.	589
90. Nagrody konkursowe.	590
91. Nagrody konkursowe.	591
92. Nagrody konkursowe.	592
93. Nagrody konkursowe.	593
94. Nagrody konkursowe.	594
95. Nagrody konkursowe.	595
96. Nagrody konkursowe.	596
97. Nagrody konkursowe.	597
98. Nagrody konkursowe.	598
99. Nagrody konkursowe.	599
100. Nagrody konkursowe.	600

Prywatna Bibl. Bol...

Oficerów Garn. Skierniewice

Wojnę światową rozpoczyna żołnierz uzbrojony w karabin z bagnetem. Ma iść naprzód sam sobie torując drogę. Otrzymał w tym celu kilkadziesiąt pocisków. Wspomoże go artylerja — kilka dział na tysiąc ludzi, trzy, może cztery, oraz dwa karabiny maszynowe. Kiedy dojdzie do nieprzyjaciela ma głośno krzyknąć hura, utopić mu w ciele bagnet... i zwyciężyć.

Nie powiodło się temu żołnierzowi. Och, niepowiodło! Wróg zakopał się w ziemię i codzień zakopuje się głębiej, drutując gęsto przedpole. Nie może go dosięgnąć pojedynczy pocisk karabinowy ani też snop pocisków wyrzucanych przez dwanaście karabinów maszynowych bataljonu. Ba, nie może się dostać do tego przeciwnika nawet artylerja, która tymczasem zdażyła się podmoić, potroić, zaopatrzyć w ciężkie kalibry.

Przeciwnik ryje jak kret w ziemi i po najstraszliwszych bombardowaniach, przypominających żywiołowe orkany, tornada ogniowe, jeszcze żyje i wita nacierającego gradem niechybnych pocisków. Obala, zabija każdego, kto po miesiącach przygotowań ośmiela się nareszcie peronego świtu wyjść na powierzchnię no man's land'u, ziemi niczyjej, rozciągającej się między okopami.

Wszystko, cokolwiek mogła zastosować wynalazczość w dziele zniszczenia człowieka w szaleństwie wojny, zostało zastosowane. Pola zdziczały, stały się pustynią,

ale człowiek broni się. Zabitych zostaje tysiąc czy kilka tysięcy, lecz pozostaje stu czy też dziesięciu i tych stu czy dziesięciu posiada dość potężną broń, aby unicestować każde natarcie. Wreszcie za cenę długotrwałego i kosztownego myśliku otrzymuje szturmujący w zysku kilkanaście metrów rozbitego granatami okopu. Starąką bitwy, w której bierze udział kilkanaście czy też kilkaset tysięcy ludzi, staje się już nie korona, królestwo, ale śmiech powiedzieć, staje się nią piędź ziemi, mizerny pagórek, ruina nędznej wioski. Wojna, którą dotąd poeci przedstawiali jako czterech jeźdźców Apokalipsy, mknących na ognistych rumakach, wpada w labirynt rowów i w nich zamiera.

Jakże przejść te labirynty?

Ależ należy zabić wszystkich, którzy w nich siedzą. Nieinaczej, należy zabić wszystkich. Ale jak to wykonać? — nie wystarczy huragan ognia. Obliczenia, że tyle to a tyle trzeba rzucić tonn pocisków na hektar, aby porazić wszystkich co na nim oddychają... zawodzą. Ciągle pozostaje na nim tych dziesięciu czy stu i ci z męstwem, wobec którego czyny legendarnych bohaterów Iljady są bajeczką, odpierają natarcia.

Wniosek ostateczny jest twardy, nieubłagany jak każde prawo wojny. Należy zabić wszystkich obrońców rowów... Wszystkich co do jednego. Inaczej się nie przejdzie.

Broń palna nie jest w możliwości tego dokonać.

W umysłach kilku ludzi rodzi się myśl... Dokona tego gaz. Wszędzie wciśnię się i dosięgnie przyczajone zwierzę ludzkie w każdym schronie.

Pomstała ta myśl u Anglików i u Niemców.

Pierwsi ją odrzucili. „Nie jest to broń godna narodu cywilizowanego”. Drudzy ją przyjęli.

Współczesność już wydała o tem swój sąd. Kiedyś historia wyda wyrok ostateczny.

Książka niniejsza zawiera opowieści ludzi, którzy zetknęli się z nową, zdradziecką bronią, względnie dokumenty w postaci raportów tych, którzy sprawę na miejscu bezpośrednio badali.

Naturalnie ludzie ci pisali przeważnie na kolanie, niewiele dbając o formę literacką czy też naukowe określanie zjawisk, które ich przerażały. Tem cenniejsza jest bezpośredniość ich przeżyć.

Podobnie jak w poprzednich tomach przez nas wydanych, przedstawiających oblicze wojny i w tym nie brak opowieści o ludziach męźnych. Postawieni twarzą w twarz z najgroźniejszym, bo niewidzialnym i nieznanym wrogiem, przezroczycieli strach, narzucali swą wolę, rozkaz poddałnym i... nieraz zwyciężali.

Byli to ludzie o sercach żelaznych.

Pewnej nocy na froncie zachodnim nieznanym z nazwiska żołnierz ucieka z rowów niemieckich i biegnąc w ciemności, to znów przypadając do ziemi przy blaskach wystrzałów i rakiet dociera cało i szczęśliwie do stanowisk przeciwnika.

Było to 30 marca 1915 roku pod miastem Ypres, tłuczonem od wielu miesięcy ogniem licznych baterij nieprzyjacielskich. Myślało wtedy dowództwo niemieckie o przedostaniu się dalej na zachód przez ten skrawek ziemi flandryjskiej.

Kim był ten żołnierz — zbieg i co go skłoniło do ucieczki nie wiemy. Czy był nim Alzeczyk czy też Polak, nienawidzący Prusaków, albo też rdzenny Niemiec, znużony, oszalały nocami i dniami strachu i zgrozy a szukający bezpiecznego schronu... w okopach przeciwnika — ot zwykły tchórz. A może był to człowiek nad miarę zwykłą uczciwy i biegł, aby ostrzec przed szatańskim pomysłem swych współbraci.

Tajemnica nazwiska i pobudek, które skłoniły zbiega do przedostania się na stronę przeciwnika pozostały nieznane. Niewiele w każdym razie musiał mieć ten człowiek do stracenia w swej ojczyźnie, o ile tak łatwo (był

to rok przecież 1915) ją porzucił, a porzucając zamykał sobie drogę powrotu¹⁾.

Kiedy dezterter znalazł się w okopach angielskich, bo na Anglików trafił, jak zwykle poprowadzono go do dowódcy kompanji, który zadawszy mu kilka stereotypowych pytań, odesłał go bez zwłoki do dowódcy bataljonu, a ten do dowództwa pułku. O ile przesyłanie szło śpiesznie, nad ranem trafił jeniec do rąk oficera wywiadowczego dywizji, już poprzednio wypytany przez oficera wywiadowczego pułku.

Obu tym oficerom jeniec musiał opowiadać pilnie i chętnie. Ba, opowiadał im rzeczy, o które go nie pytano. Nie pytano, ponieważ po tej stronie frontu nikt nie podejrzewał możliwości podobnych zjawisk.

Dochowało się opowiadanie zbiega, treść ogólna.

„Na froncie w obszarze Zilleteke znajduje się duża ilość butli 1.40 m wysokich. Butle te schowane w schronach, zawierają trujący gaz. Nie były dotąd używane. Pionierzy otrzymali już odpowiednie instrukcje. Ciśnienie wewnętrzne wypycha gaz nazewnątrz. Potrzebny jest pomyślny wiatr. Operator ma specjalny aparat na głowę. Wszyscy ludzie mają tampony na nosie i ustach”.

Oficerowie wywiadowczy (byli to zapewne jacyś adwokaci w cywilu, bo z nich głównie rekrutowała się brytyjska służba wywiadowcza, z ludzi przywykłych do poszukiwania śladów w słowach ludzkich), otóż oficerowie ci, usłyszawszy te słowa, na pewno potrzęsnęli głowami.

¹⁾ W końcu 1932 r. (już w czasie druku tej książki) sąd Rzeszy w Lipsku skazał na karę więzienia niejakiego Augusta Jaegera, byłego żołnierza 234 pułku piechoty za zdradę wojenną. Oskarżony miał być tym, który w kwietniu 1915 r. przeszedł na stronę francuską pod Langemarck, zdradzając tajemnicę pierwszego natarcia gazowego. Sąd oparł się w swym wyroku na materjale, ogłoszonym w *Revue des Vivants* przez generała Ferry.

Niewątpliwie zastanowili się nad dziwną opowieścią. Nie wiedzieli — wierzyć czy nie wierzyć. Zameldowali o tem szefowi sztabu dywizji, ten dowódca dywizji. Dowiedzieli się o tem inni oficerowie sztabu. Zapytano pewnie artylerzystów. Żaden z nich nie miał odpowiedniego doświadczenia, ani przygotowania naukowego, aby ocenić możliwość podobnego przedsięwzięcia. Umysł ich przywykł do operowania stałą ilością kategorii. Zabija bagnet, pocisk karabinowy i działowy. Nie słyszeli aby zabijał gaz. Czy gaz może zabić? Ależ na to trzeba wsadzić człowieka pod klosz. Czy coś podobnego da się wykonać w polu?

Niewiadomo, może rzutki dowódca dywizji czy też szef sztabu nakazał wyszukać chemika, któryby fachowo rzecz objaśnił. Gdyby się tak stało, sprawa niewiele posunęłaby się naprzód. Chemik mógł rzec.

„Bezwątpienia, da się wykonać nawet w polu przy dogodnych warunkach koncentrację trującego gazu, zdolną zatruć wszystko, co żyje, lecz niebardzo sobie wyobrażam, w jaki sposób można zatruć dużą przestrzeń i samemu nie być przytem zatrutym. Nie wyobrażam sobie również, w jaki sposób dostarczyć wielkich ilości gazu, o ile chce się działać na dużym obszarze. Rzecz możliwa teoretycznie, lecz mniemam praktycznie niewykonalna”.

Niewiadomo, czy pytano chemika, czy też zawierzo- no własnemu rozumowi, dość, że ze wzruszeniem ramion potraktowano opowiadanie zbiega. Włożono je dosłownie „między bajki”. Notatka o jego zeznaniach ukazała się w komunikacie wywiadowczym Głównej Kwatery Brytyjskiej, lecz w rubryce tak zwanych „wycinków humorystycznych”.

Za tę humorystkę zapłaciło życiem narazie kilka tysięcy ludzi, a później kilkanaście.

Gdzież przyczyna niewiary u dowódców brytyjskich

w prawdziwość wprost nieocenionej informacji jeńca. Czyż więcej wierzyli w uczciwość niemiecką, że nie poważy się ona złamać artykułów konwencji haskiej, zabraniającej stosowania trucizn? Artykuł ten głosił:

„Bez względu na zabrania się stosowania na wojnie wszelkich gazów trujących lub duszących”. Ale przecież ci dowódcy angielscy stali właśnie na ziemi belgijskiej, której bezpieczeństwo warowane podobnym traktatem zgwałcili Niemcy. Czyż sądzili, że ci Niemcy będą mieli więcej szacunku dla innego papieru, dla „świstka” papieru z Hagi? Czyż tyle naiwności kryło się w duszach tych dowódców?

Pozostawała jeszcze wiara, że nie da się technicznie dokonać podobnego zatrucia. Oto typowy przykład wąskiego widnokągu myślowego wodzów, oficerów, którzy przygotowywali państwa do wielkiej wojny.

To deptanie w kieracie utartych pojęć, ten brak zrozumienia możliwości rozwojowych techniki sprawił, że tam, pod miastem Ypres, nie chciano się przejąć wiadomością zbiega, tak samo jak kiedy indziej nie wierzono w rozwój floty podwodnej, czy w możliwości natarcia masy czołgów. Ludzie, którzy opierali wyszkolenie wojska na bagnietach, a wypuścili swe armje w kolorowych spodniach na pola, nie byli zdolni pojąć nic, co wychodziło poza zakres rzeczy dobrze im znanych. Byli wszak fachowcami, och i z jaką pogardą traktowali cywilów. A tymczasem szatański pomysł chemika, który niewiedomo czy wiedział, jaka jest różnica między „na ramię broń” i „prezentuj broń”, omal nie zakończył wojny klęską sprzymierzonych.

Lecz idźmy dalej. Meldunek jeńca z dnia 30 marca nie był jedyny! Brytyjska służba wywiadowcza otrzymała z innych źródeł wiadomości, jakoby Niemcy czynili doświadczenia z pociskami zawierającymi gaz duszący w Houthselen obok Hasselt w Belgji, następnie

że butle zawierające gaz przewieziono już na front i następnie, że sporządzono tysiące tamponów dla ochrony żołnierzy przeciw gazom.

Wszystkie wiadomości były dane! Dowódcy brytyjscy, a przez misję francuską do nich przydzieloną i wodzowie francuscy zapewne wiedzieli! Wiedzieli i nie rozumieli. A może ich nawet o takim drobiazgu nie zawiadomiono. Tem gorzej!

I nie poruszył nikt palcem tam, gdzie należało krzyć na całe gardło, tam gdzie należało myśleć nad zabezpieczeniem życia tysięcy żołnierzy, nad zabezpieczeniem całości frontu, nad losem wojny być może.

Nie uczyniono nic! dosłownie nic!

Lecz czyż podobne zaślepienie istniało tylko po stronie przymierzonych?

Nic podobnego! Dowódcy niemieccy, którym profesor Haber czy według innych Nernst dał straszliwą broń do ręki, odnieśli się do niej z równym lekceważeniem. Broń wzięli, lecz z niewiarą musieli traktować „słynnego” profesora. Nie usłuchali jego rady, kiedy mówił trzeźwo i przekonywająco. Miał już za sobą doświadczenie, dokonane na froncie wschodnim.

„Trucizna jest straszliwa. Wszyscy żołnierze nieprzyjacielscy będą zaduszeni. Nikt z nich się nie uratuje. Napad należy wykonać na możliwie szerokim froncie”.

Musieli kiwać głowami oficerowie wysokiego sztabu niemieckiego na te słowa, nie chcący podobnie jak ich przeciwnik zrozumieć czegoś, co przekraczało deptak koszarowy bataljonów i ramy schematycznych rozumowań wbitych długą zaprawą w mózgi. Niebezpieczna to rzecz być specjalistą.

Do tego stopnia nie rozumieli znaczenia nowej broni, że *nie przygotowali odwodów* do rzucenia ich w otwartą przez gazy przerwę we froncie! — Nie uczynili tej przerwy dość szerokiej.

Nie mieli oddziałów, aby wykorzystać zwycięstwo, wypełnić powstałą próżnię, maszerować na Paryż czy do portów La Manch'u, słowem aby oskrzydlić i bić nieprzyjaciela.

Dywizje francuskie miały czas nadbiec z odsieczą i zatkać dziurę. Lecz przedtem sprzymierzeni przeżyli tragiczny dzień, który w dziejach wojny otrzymał nazwę:

„Czarny dzień pod Ypres”.

WOJNA GAZOWA W KARYKATURZE.

Oto, jak sobie humorysta angielski wyobrażał natarcie gazowe Niemców.

Żołnierze angielscy pękają od śmiechu na widok Szwabów, którzy z syfonami, połączonymi ze zbiornikiem gazowym, jadą na kółkach.

Podobno na krótko przed napadem w jednym z czołowych okopów angielskich wysunięto olbrzymią tablicę z napisem:

— „Możecie długo czekać, zanim dobry wiatr dla was powieje!”

Niestety ten wiatr powiał.



(Rys. H. Robinsona w serii *Kultur et violation des conventions de la Haye*. The Sketch, 1915 r.).



CZARNY DZIEŃ POD YPRES.

Jeden z uczestników bojów pod Ypres, Francuz, M. Berland w następujących słowach opowiada przebieg pierwszego natarcia gazowego.

— W ciągu marca i kwietnia na odcinku Bixschoote — Langemarck oraz pozostałej części frontu pod Ypres panował względny spokój. Z obu stron strzelano od czasu do czasu do siebie, często nawet gwałtownie, nic jednak nie pozwalało przewidywać tych strasznych wypadków, które już w końcu kwietnia miały się rozegrać na tym skrawku ziemi flandryjskiej.

Dnia 22 kwietnia rzucono sobie nawzajem kilka bomb. Dopiero o godzinie 17 oddziały, zajmujące odcinek od Langemarck do kanału Ypres, spostrzegły nagle podnoszący się tuż nad ziemią przed okopami Niemcami gęsty obłok żółto-zielonej pary, którą wiatr posuwał łagodnie ku okopom, trzymanym przez nas i przez dywizję kanadyjską.

Chmura ta utworzona, jak się wreszcie okazało, z oparów chlorowych, dosięgła szybko okopów, powodując u zaskoczonych żołnierzy oślepienie oraz straszliwy kaszel, połączony z wymiotami, a wreszcie uduszenie.

Jednocześnie rozpoczął nieprzyjaciół silną strzelaninę z karabinów, a artylerja ciężka gwałtownym ogniem

zasypała drugą linię francuską, połączenia z frontem i baterjami.

Oddziały 87 dywizji terytorjalnej, które zajmowały większą część zaatakowanego odcinka, szybko wycofały się w kierunku mostów w Boesinghe. Tylko pierwszy bataljon piechoty afrykańskiej oraz drugi bataljon 2 pułku strzelców próbował powstrzymać Niemców, idących gęstą masą wślad za falą gazową. Żołnierze niemieccy mieli na twarzy tampony, osłaniające usta i nos. Ale obrońcy duszeni przez dymy trujące, zasypani pociskami ciężkiej artylerji, zostali wybici względnie zabrani do niewoli.

Inne oddziały wycofały się na Ypres, podczas gdy Niemcy posunęli się na lewem skrzydle aż do toru kolejowego Langemarck — Boesinghe. Straszny ten atak nie trwał nawet piętnastu minut.

Zaskoczenie było zupełne i w trzy kwadranse Niemcy dotarli do mostu w Boesinghe.

Natarcie wykonała co najmniej jedna dywizja. Nieprzyjaciel posuwał się tak szybko, że dowódcy baterji 45 dywizji spostrzegli nacierających w ostatniej chwili, gdy ci znaleźli się tuż przy nich.

Otworzyli oni natychmiast ogień, strzelając aż do ostatniego pocisku. Kanonierzy cofnęli się dopiero wtedy, kiedy piechota niemiecka do nich doszła. Zostawiliśmy w rękach nieprzyjaciela dwadzieścia dziewięć dział 90 mm, szesnaście 75 mm i sześć 95 mm, poza tem cztery działa 120 mm długie, które odbiliśmy w kilka dni później.

Równocześnie Niemcy zdołali posunąć się na płaskowyżu Pilken i w kierunku kanału, lecz na moście w Boesinghe zostali zatrzymani przez oddziały 74 i 79 pułków piechoty terytorjalnej, które nie pozwoliły im przeprawić się na brzeg zachodni.

Kanał między Ket-Sas i na południe od Boesinghe był twardo trzymany przez 73 i 79 pułki piechoty.

Podczas, kiedy my cofaliśmy się walcząc, dywizja kanadyjska wycofała się nagle, oddając nieprzyjacielowi teren na trzy kilometry w głąb.

Wówczas nieprzyjaciół zatrzymał się i począł organizować obronę.

24 kwietnia Francuzi rozpoczęli przeciwnatarcie z zamiarem odzyskania utraconej przestrzeni. Jedna z grup atakujących dosięgła okopów niemieckich, lecz Niemcy, którzy zdążyli ustawić butle z gazem, zatrzymali Francuzów wypuszczając silną falę trującą. Podjęty ponownie kontratak o godzinie 17 tegoż dnia załamał się również w oparach wypuszczonego chloru.

Naczelnym wódz brytyjskiego wojska lądowego, marszałek French doniósł rządowi brytyjskiemu w oficjalnym raporcie o pierwszym ataku gazowym.

— Po silnem bombardowaniu nieprzyjaciół atakował dywizję francuską, *używając po raz pierwszy gazu duszącego*. Meldunki lotnictwa stwierdzają, że około godziny 16.30 dostrzeżono gęsty obłok żółtego dymu wychodzący z okopów nieprzyjacielskich między Langemark i Bixschoote. To, co nastąpiło, przechodzi wszelki opis. Rezultatem działania gazu duszącego było, że cała linja tworzona przez dywizję francuską okazała się niezdolna do wszelkiej akcji. Nikt nie mógł zrozumieć, co się stało. Obłok dymu przeszkadzał cośkolwiek dojrzeć. *Setki ludzi nagle straciło przytomność i znalazło się w śmiertelnem niebezpieczeństwie. W przeciągu godziny trzeba było zostawić całą pozycję i około pięćdziesięciu dział.*

Pierwsze natarcie gazowe na froncie zachodnim wy-

konali Niemcy wytwarzając chmury z chloru, wypuszczonego z 5700 butli stalowych.

Tak więc 22 kwietnia, przy idealnych warunkach, po raz pierwszy zastosowano „gazowy sposób wojny”.

Dokładnych opisów pierwszego tego natarcia z ust żołnierskich niema z tej prostej przyczyny, że ludzie, którzy mogliby o niem opowiedzieć leżą pokotem na polach Flandrji. Na ich grobach kwitną teraz maki.

Odcinek, który Niemcy wybrali do natarcia, znajdował się w północno-wschodniej części występu przy mieście Ypres, w miejscu zetknięcia się frontu brytyjskiego z francuskim.

Na lewem skrzydle Franzuzów stali Senegalczycy, piechota afrykańska, na prawem, angielskiem — Kanadyjczycy.

— Spróbujcie sobie wyobrazić — mówi jeden z badaczy wojny chemicznej — major Auld — jak się czuły wojska kolorowe, kiedy żołnierze zobaczyli, że wielka zielono-żółta chmura gazu podnosi się z pod ziemi i wolno płynie z wiatrem ku nim. Gaz ściele się po ziemi, wypełnia każde zagłębienie, zatapia rowy i leje. Z początku zdziwienie, następnie przerażenie, a wreszcie panika ośwładnęła oddziały, kiedy pierwsze fale dymu zasnuły okolicę i ludzie dusząc się poczęli ginąć w agonji. Kto mógł się ruszać, uciekał, starając się, zresztą przeważnie napróżno zbiec przed chmurą chloru, która nielitościwie gnała za nim.

Anglik, lekarz Hotkins, przyglądał się napadowi gazowemu zdaleka.

— Po bombardowaniu Ypres, trwającym od 20 do 22 kwietnia, wśród tego chaosu ukazał się jadowity gaz.

Kiedy wyszliśmy na świeże powietrze, żeby odechnąć kilka minut po ciężkiej atmosferze szpitala,

uwagę naszą przyciągnęła silna kanonada na północy, gdzie front zajmowali Francuzi. Jak widać, wrzała tam ożywiona walka. Przypatrywaliśmy się pilnie przez lornetki polowe widnokręgowi, chcąc odnaleźć coś nowego na placu boju. Wówczas zobaczyliśmy widowisko, które zatrzymało bicia naszych serc — postacie ludzkie biegnące w panice przez pola.

— Przerwano Francuzów! — krzyknął ktoś. Nie wierzyliśmy własnym oczom. Nie mogliśmy uwierzyć temu, co usłyszeliśmy od zbiegów. *Przypisaliśmy ich opowieść choroblivej myobraźni.*

Zielono-szara chmura, opuściwszy się na nich, stała się coraz żółtsza w miarę swego rozpościerania się, spalając na swej drodze wszystko, czegokolwiek dotknęła. Rośliny przy jej przejściu marły. *Żaden najodważniejszy człowiek nie mógł wytrwać wobec podobnego niebezpieczeństwa.*

Niebawem pośród nas poczęli ukazywać się żołnierze francuscy, chwiejący się, oślepieni, kaszlący, ciężko dyszący z twarzami ciemno-krwistego koloru, oniemieli od cierpienia, a poza nimi w zatrutych gazem okopach pozostały, jak się dowiedzieliśmy, setki martwych i umierających towarzyszy.

Nieprawdopodobne okazało się prawdą.

Był to najbardziej podły czyn, jaki kiedykolwiek widziałem.

Nie należy mniemać, że wojna gazowa była największą podłością i zbrodnią z arsenału niemieckiego. Rozstrzeliwanie bezbronnej ludności okupowanych terytoriów czy okropności wojny dokonywane zapomocą okrętów podwodnych stokroć przewyższyły okrucieństwo napadów gazowych. Chmury gazowe uderzały bądź co bądź na żołnierzy, z którymi walczano, podczas gdy na morzu okręty niemieckie *topiły bez ostrze-*

zenia roszystkich — bez względu na płeć i wiek. Lista okrucieństw niemieckich jest długa, a literatura o nich olbrzymia.

Korespondent *Times'a* znalazł się wkrótce po natarciu na miejscu wydarzeń i zbiera wiadomości od naocznych świadków.

— W piątek, 22 kwietnia, po południu około godziny 16.30 zameldowali nasi obserwatorzy o nagłym cofaniu się oddziałów francuskich na lewym skrzydle dywizji kanadyjskiej, na drodze z Ypres do Langemarck. Ostry północno-wschodni wiatr, który wiał od nieprzyjacielskich linii w kierunku okopów francuskich, przyniósł ze sobą cuchnący i wzbudzający mdłości zapach, należący oczywiście do jadowitych gazów. Chmura posuwała się, jak wielka jasno-zielona ściana około czterech stóp wysoka i doszła o jakieś 180 metrów do naszego lewego skrzydła. Następnie podniosła się wyżej i zasłoniła całą płaszczyznę. Ogień karabinowy dotąd słaby wzmógł się i wzmaczał coraz silniej, ponieważ żołnierze strzelali już nie do celów lecz na los szczęścia. Wkrótce usłyszano dziwne krzyki, wychodzące z zielonej mgły, które stawały się słabsze i nagle urwały się. Żołnierze, którzy stamtąd uciekli, z chwilą znalezienia się w naszych okopach, poupadali ze zmęczenia. Nie byli oni ranni, lecz na twarzach ich malował się śmiertelny strach. Uciekający żołnierze należą do najlepszych na świecie, których zimna krew i odwaga w czasie całej wojny stała się przysłowiowa. Teraz ślaniali się jak pijani.

Tysiące zatrutych pod Ypres! Oddziały niemieckie posunęły się naprzód! Chwalą się tem Niemcy w swoim dziennym komunikacie, lecz ani słowa o użytym przez nich zabójczym środku. Ani słowa o gazie! Ba, tydzień



— 81 —

przedtem podała agencja dziennikarska Wolffa wiadomość, że sprzymierzeni używają gazów trujących(!) Teraz po sprawie pod Ypres cel tej wzmianki jest jasny. Pragną w inną stronę odwrócić uwagę, przekonać, jeżeli nie obcych *to swoich*, że użycie przez wojsko niemieckie gazów jest tylko... odwetem!

Cel ten został osiągnięty! Swoich, choć nie wszystkich, przekonali.

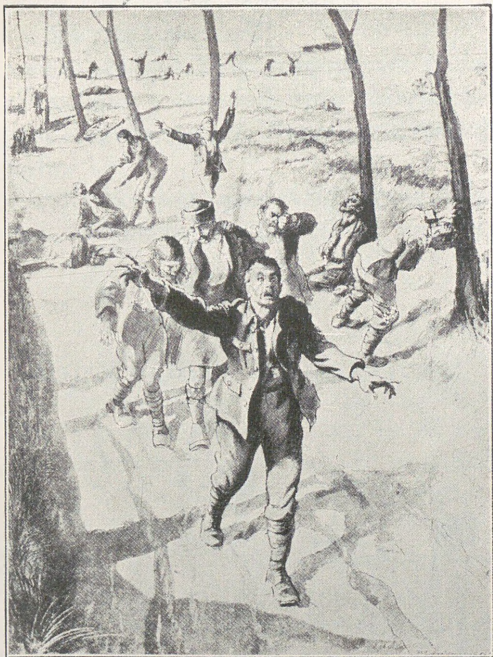
Zdumiewający jest pogląd Francuzów na pierwszy napad gazowy. Nikt nie zdał sobie sprawy, w jaki sposób technicznie został on wykonany. Jak widać łączność z główną kwaterą brytyjską była dość wątpliwa, jeżeli komunikat francuski, donoszący o klęsce pod Ypres podaje naiwnie że „nieprzyjaciół rzucał w dużej ilości bomby z gazem duszącym, których skutki dały się odczuć do dwóch kilometrów poza okopami”.

Ładnie odczuć! „0,87 trupa na butlę użytego gazu!” — podaje z całym obiektywizmem człowieka nauki jeden z profesorów niemieckich (Meyer, Die Entwicklung des Gaskampfes). Cyniczny i potworny ten obiektywizm. „0,87 trupa”! 5.700 butli z gazem!

„Odczuto więc gazy!” 15.000 zatrutych, z czego 5.000 trupów! Anglików, Francuzów i Belgów! „180.000 kilogramów chloru!” „Kolossal” — stwierdza historyk niemiecki Schwarte.

— „Naczelne dowództwo niemieckie uważało natarcie wykonane pod Ypres jako próbę, która dała zadowalające wyniki. Wrażenie natarcia było „kolosalne” i rezultat dość ważny, chociaż niezupełnie wykorzystany taktycznie. Jest rzeczą oczywistą, że nieprzyjaciół nie był przygotowany na podobne natarcie”. (Schwarte, Die Technik im Weltkrieg).

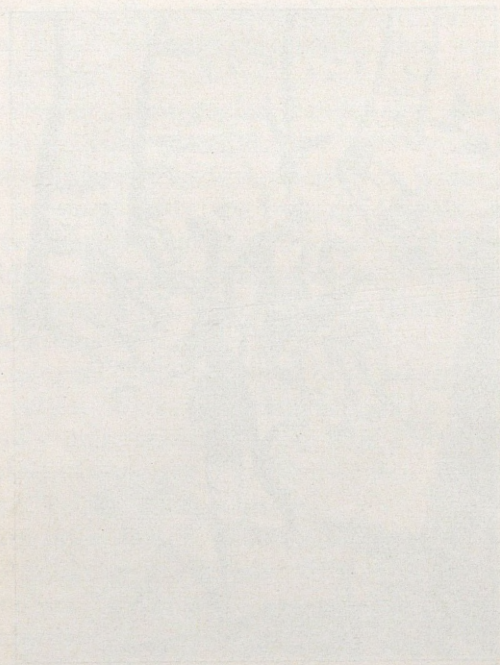
Pewnie, że nie był! Uważał kierowników rządu i wojska niemieckiego za ludzi honoru, dotrzymujących umów. Omylił się człowiek kultury zachodniej!



Ofiary napadu gazowego, widziane oczyma
rysownika angielskiego (Steven Spurrien
w *The Graphic* 1915 r.).

Eigentum
Heeresarchiv - Zweigstelle
Danzig

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
1207 EAST 58TH STREET
CHICAGO, ILL. 60637
U.S.A.



THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
1207 EAST 58TH STREET
CHICAGO, ILL. 60637
U.S.A.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
1207 EAST 58TH STREET
CHICAGO, ILL. 60637
U.S.A.

Blady strach padł między szeregi sprzymierzonych. Zeznanie zbiega z wojska niemieckiego potwierdziły góry trupów zatrutych gazem. Tragiczne potwierdzenie.

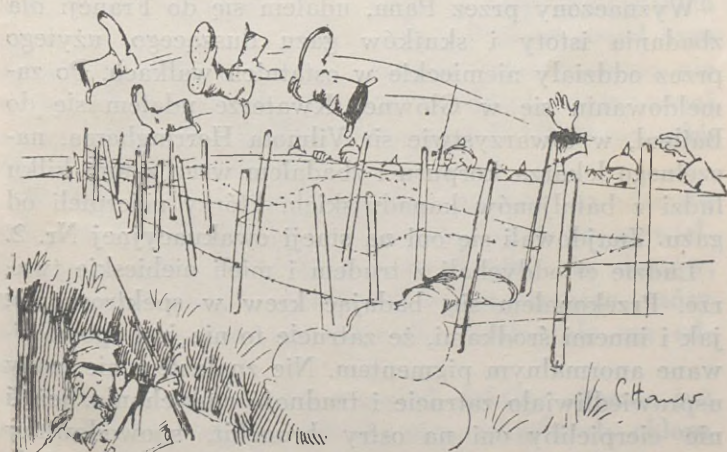
Panika w szeregach! — O nie! *Nie poddają się jej umysły wodzów. Nieprzyjaciół mimo gazu nie przejdzie!* Dywizje francuskie nadbiegają.

Nieprzyjaciół nie przeszedł!

Jednocześnie prowadzi się gorączkowe badanie przez lekarzy, chemików i wywiad sprzymierzonych, co do rodzaju gazu użytego przez Niemców i sposobu wykonania napadu.

Wkrótce wszystko jest jasne. Oto raport Anglika, doktora Haldana, wyjaśniający częściowo sprawę.

WOJNA GAZOWA W KARYKATURZE.



Oficjalny komunikat. — Niemcy w dalszym ciągu nacierają, stosując gazy duszące. Niektóre „części amunicji” zawierają je w dużej ilości.

(Rys. Radiget. 1915 r.).

— 11 —

RAPORT DOKTORA J. S. HALDANA.

Główna Kwatera Brytyjska. Korpus ekspedycyjny.
27 kwietnia 1916 r.

Lord Kitchener, minister wojny.

Milordzie!

Wyznaczony przez Pana, udałem się do Francji dla zbadania istoty i skutków gazu duszącego, użytego przez oddziały niemieckie w ostatnich walkach. Po zameldowaniu się w Głównej Kwaterze udałem się do Baileul, w towarzystwie sir Vilmota Herringhama, naczelnego lekarza korpusu i zbadałem wraz z nim kilku ludzi z bataljonów kanadyjskich, którzy ucierpieli od gazu. Znajdowali się oni na stacji ewakuacyjnej Nr. 2.

Ludzie ci oddychali z trudem i mieli niebieskie twarze. Przekonałem się, badając krew w spektroskopie, jak i innemi środkami, że zatrucie to nie jest spowodowane anormalnym pigmentem. Nie znalazłem nic, co by usprawiedliwiało zatrucie i trudność oddychania, jeżeli nie cierpieliby oni na ostry bronchit, spowodowany wdychaniem drażniącego gazu. Żołnierze ci oświadczyli, że w czasie kiedy przebywali w okopach, zostali porażeni przez trujący gaz, przyniesiony słabym wiatrem od strony nieprzyjaciela.

Jeden z tych ludzi zmarł wkrótce po naszym przybyciu. Porucznik Mac Nee, patolog z uniwersytetu glasgowskiego, dokonał autopsji w naszej obecności. Badanie wykazało, że śmierć nastąpiła z powodu ostrego bronchitu i jego następstw wtórnych. Niema wątpliwości, że bronchit i zatrucie powolne, które mu towarzyszyły, były spowodowane przez trujący gaz.

Porucznik Mac Nee zbadał również trupa sierżanta Kanadyjczyka, zmarłego na stacji ewakuacyjnej wskutek działania gazu. Znalazł również u niego bardzo ostry bronchit z obrzękiem płuc, co spowodowało śmierć przez uduszenie.

Dowódca 8 bataljonu kanadyjskiego, kapitan Bertram, był na stacji ewakuacyjnej, jako ranny. Cierpiał również od skutków gazu. Kapitan obserwował gaz, znajdując się w okopie odwodu, w odległości około 600 metrów od linii niemieckich. Najpierw zobaczył biały dym, wznoszący się z okopów nieprzyjacielskich na wysokość jakichś trzech stóp. Później przed tym dymem ukazała się zielona chmura, wznosząca się nie wyżej od siedmiu stóp. Chmura ta toczyła się po ziemi aż do okopów brytyjskich, zmuszając ludzi do ucieczki. Część z nich zginęła.

W kwadrans później kapitan znalazł dwudziestu czterech Kanadyjczyków zatrutych. Leżeli na niewielkiej przestrzeni, przy rowie prowadzącym do okopów. Sam kapitan cierpiał bardzo od następstw gazu, który się jeszcze zupełnie nie rozszedł. Brakowało mu oddechu.

Według tych objawów i innych faktów obecnie już znanych, zdaje się, że oddziały niemieckie użyły chloru czy też bromu w celu spowodowania zatrucia.

Niemcy użyli również pocisków, które zawierały substancje drażniące, chociaż w kilku wypadkach okazały się one mniej brutalne i barbarzyńskie, niż gaz

stosowany przeciw Kanadyjczykom. W każdym razie skutki ich nie są identyczne z temi, jakie powodują materiały wybuchowe zwykłych pocisków.

Pod tym względem objawy opisane nie pozostawiają najmniejszej wątpliwości.

— Profesor H. B. Baker, który mi towarzyszył, w dalszym ciągu bada sprawę jako chemik.

Pozostaje milordzie, pańskim sługą
J. S. Haldane

Na rozpaczliwy krzyk brytyjskiego ministra wojny Kitchenera kobiety angielskie, podobno, w 24 godzin po pierwszym niemieckim ataku gazowym, przygotowały sto tysięcy tamponów z merli, nasyconych roztworem węglańu sodowego i podsiarczaniu sodu, które były pierwszemi maskami przeciwgazowemi. Nakładane na nos i usta na krótki okres czasu ochraniały przed chlorem.

W dwa dni po pierwszym wypuszczeniu gazu trującego Niemcy wykonali ponowny napad gazowy w takich samych warunkach jak pierwszy — przeciw Kanadyjczykom i uzyskali podobne wyniki. Raport oficjalny mówi o tem co następuje:

— O świcie 24 kwietnia, po wypuszczeniu obfitej fali gazowej, za którą nastąpiło wślad gwałtowne bombardowanie, Niemcy wykonali natarcie na nasze pozycje na wschód od Ypres.

Prawdziwy atak rozpoczął się o godzinie 2.45 rano. Większość ludzi spała i zaskoczenie było zbyt duże, aby mieli czas zrobić użytek ze swych przyrządów do oddychania.

To natarcie ze strony Niemców zaimprovizowane zostało pośpiesznie po pierwszym sukcesie gazowym pod Ypres.

W atmosferę walk pod Ypres i nastrojów, związanych z pierwszemi napadami gazowemi niemieckimi wprowadza nas lekarz 66 pułku piechoty francuskiej, Octav Behard w żywo zredagowanym opisie swych przeżyć. „Na kanale Yperlée”.

WOJNA GAZOWA W KARYKATURZE.



Kto powiedział — gaz!

NA KANALE YPERLÉE.

26 kwietnia — 5 maja 1915 r.

66 pułk piechoty, w którym pełniłem służbę jako lekarz bataljonowy, spędził zimę 1915 — 1916 roku w Belgji pod Ypres. Przeżyliśmy tam ciężkie dni natarcia nieprzyjacielskiego na Langemarck i pożar wspalaniałych Sukiennic miejskich, będących klejnotem architektury flandryjskiej.

Po okresie konwulsyjnych zmagających wreszcie ustalił się front. Bombardowanie trwało nadal, lecz Niemcy odrzuceni z przedmieść Ypres, nie ośmielali się już wykonać żadnego większego natarcia. Powoli wracała ludność miejska, wygnana paniką. Z nią przywędrowała fala ludzi, których przyciągała wojna i wojsko. Stare miasto tak niedalekie codzień od zguby, huczało życiem i wybuchami wesołości. Swoboda obyczajów przejawiała się w pijaństwie i orgjach, jakich nigdy nie zaobserwowałem podczas czterech lat wojny, pełnych dziwnych przygód. Każdy dom był sklepikiem, gdzie się sprzedawało więcej dającemu dobre wina i wdziek kobiet. Łatwo się domyśleć, że wpośród tej targowicy kwitło szpiegostwo. Nieraz szynkarz i dziewczyna byli wywiadowcami nieprzyjacielskimi¹⁾. Ale wtedy jeszcze nie nauczono się dostatecznie nieufności.

¹⁾ Typowa jest dla początku wojny manja dostrzegania szpiegów na każdym kroku. Ofiarami tej manji padło tysiące niewinnych.

Jednocześnie na miasto padał grad pocisków, lecz siła przyzwyczajenia sprawiała, że nikt się tem nie przejmował. Cegły starych Sukiennic padały jedna za drugą. Codziennie raniem granaty wybijały na ulicach i placach leje, w które mógłby się schować wóz zaprzężony. Jakiś pocisk przebiwszy dach sprawił, że mieszkańcy domu uciekali przez okna. Wynoszono wówczas trochę mebli, a kiedy strach przeszedł, wracano do mieszkania. Dziurę w szczycie domu pokrywano płótnem i wieczorem nieszczęśliwi znów zasypiali, jakby nic ich nie trwożyło. Widziałem na ulicach bawiące się dzieci, które jeżeli byłyby mojami, chciałbym je widzieć oddalone stąd o tysiące kilometrów. Mali sprzedawcy dzienników paryskich chodzili od świtu o kilkaset metrów poza okopami, wykrzykując głośno tytuły gazet.

Mój pułk stał na najbardziej wysuniętym rogu pozycji sprzymierzonych, na wąskim odcinku poza drogą z Menin. W tym czasie komunikaty mówiły dość często o pałacu w Hooghe, który właściwie istniał już tylko w wyobraźni. Bombardowanie nie zostawiło z niego kamienia na kamieniu. Ruinę wypełniało niewielkie jeziorko, wcale piękne i sztab dowódcy pułku musiał wynieść się stamtąd do jakiejś sąsiedniej dziury pod stos gruzów.

Jedyny punkt opatrunkowy przytulił się na boku drogi w piwnicy jakiegoś rozbitego domku, nie dającej żadnej gwarancji bezpieczeństwa.

W okopach pierwszej linii stał jeden bataljon, zmieniający co sześć dni. Reszta oddziałów znajdowała się w nietkniętych przez bombardowanie domkach przedmieścia Ypres — la Potyze. Niewiadomo dlaczego artylerja niemiecka pogardziła niemi.

Na ulicach o zmierzchu ocieraliśmy się o wyspiarzy brytyjskich. Mundury khaki przeważały na ulicach.

Ypres stał się angielskim. Czekając na ustalenie się frontu, ci sprzymierzeńcy, przy naszym boku, powoli zapoznawali się ze sztuką wojenną i miało się wrażenie, że my ich a nie oni nas powinni bronić. Wydawali się nam wyjątkowymi nowicjuszami. Umieli umierać z szykiem. Pięknie i dzielnie, ale mniej umieli się bić. Sportowa Anglja zaimprovizowała wspaniałego żołnierza, lecz stworzenie dowódców wymagało czasu i studjów.

Anglik wszystkie swoje wysiłki skierował na urządzenie służb tyłowych. Jego kolumny z cudownymi końmi były jakby szyderstwem z nędzy naszych taborów. Ale na jednego żołnierza na froncie liczone czterech Anglików obsługi na tyłach. Żołnierz był znakomicie odżywiany, lecz bił się tylko w pewne oznaczone dni. Nieprzyjaciel wygrałby piękną grę nacierając w czasie, kiedy Anglik kąpał się albo golił.

Na prawo od naszych milczących linii okopy brytyjskie rozbrzmiewały całemi nocami od huku nieustannej strzelaniny, ale przy najmniejszym natarciu Anglicy oddawali Niemcom swe pozycje i prosili, aby nasze oddziały odebrały je nazajutrz.

Czyż pozycja tak drogo kupiona powinna być niepewna i trudna do zaopatrzenia? Anglik nie upierał się tam pozostać, lecz flegmatycznie odchodził. Być może, że była to metoda, ale nie była to metoda nasza i nie była dobra. Wojna wygładziła początkowe błędy naszych szlachetnych przyjaciół, których niedoświadczenie można krytykować, lecz których odwagę zawsze należy podziwiać.

W końcu marca przeniesiono nas do Francji. Anglicy pozostali sami na straży Ypres. Radość, jaką odczuwaliśmy z powrotu do ojczyzny, mącił niepokój. Myśleliśmy, że Ypres, ta wysunięta cytadela Dunkierki, będzie bezwątpienia równie walecznie broniona, lecz już

nie tak zazdrośnie strzeżona. I jakby dla upewnienia nas, że rozumiemy słusznie, już w kilka dni później przysłała wiadomość, że pozycja w Hooghe, którą trzymaliśmy całą zimę, została oddana przez naszych następców bez wystrzału.

Tymczasem odpoczywaliśmy w okolicach Arrasu i nabieraliśmy siły do nowej ofensywy planowanej 9 maja. Nieoczekiwane wydarzenie rzuciło nas do boju przed tym terminem. 25 kwietnia, po południu, tysiące samochodów ciężarowych zatrzymało się przy Avesnes-le-Comte, załadowano naszą dywizję i powieziono ją pośpiesznie ku północy celem wykonania nieznanego nam przedsięwzięcia. Wiedzieliśmy tyle, że czekają nas nowe niebezpieczeństwa.

Samochody ciężarowe były nowym nabytkiem. Mówiono, że przybyły one z Ameryki w ilości sześciu tysięcy, przeznaczone dla wojska niemieckiego. Po drodze eskadry morskie sprzymierzonych pochwyciły tę piękną zdobycz¹⁾. Wypróbowaliśmy podczas całej nocy ten nowy środek szybkiej lokomocji, połączonej z torturami, na które składały się wstrząsy oraz zatrzymywania z powodu uszkodzeń, zimno, wiatr oraz тумany kurzu...

O świcie, rozpoznaliśmy po ciemnych murach małe miasteczko Poperinghe, otoczone tykami do chmielu.

Przed miesiącem przejeżdżaliśmy przez nie w odwrotnym kierunku. Jednocześnie przyszły nowiny. Natarcie niemieckie załamało front pod Ypres. Trupy żołnierzy terytorjalnych i Kanadyjczyków, którzy się energicznie opierali, zaściełają pola. Na zachód od miasta bataljony niemieckie, idąc wślad za falami gazów tru-

¹⁾ Rozumie się, że była to gadka żołnierska. Wybrzeże niemieckie od pierwszych dni wojny było tak szczelnie zablokowane przez morskie siły zbrojne sprzymierzonych, że wszelki ruch w portach niemieckich zamarł. Żadne statki nie dążyły ku nim.

jących, osiągnęły kanał Yperlée i dotarły do Boesinghe. Biegliśmy na odsiecz, aby ograniczyć zasięg nieprzyjaciela i osłonić Dunkierkę.

Woddali huczały armaty. Zmęczenie, niewyspanie, lodowate zimno wzmagaly nasz niepokój. Co myśleć o tym nowym, djabelskim sprzymierzeńcu Szwabów — gazie, wczoraj nieznanym, dzisiaj zabójczym i zwycięskim?

Próżny strach bezwątpienia! Halucynacje uciekających żołnierzy! Ileż to fałszywych wiadomości, radosnych czy też przerażających, targa napróżno codziennie serce tej istoty zbiorowej, najbardziej nerwowej i najbardziej łatwowiernej ze wszystkich stworzeń, istoty, której na imię Wojsko! Jednak dręcząca obawa pozostała. Nie spano już, jedzenie nie szło do ust. Do wieczora maszerowaliśmy w kierunku huku armat.

O zmierzchu zatrzymano nas w jakimś lesie i zarządzono biwak. To stado ludzkie nie wiedziało, dokąd je doprowadzono. Noc otwierała przed nami nieznaną przepaść, pełną ryków stali. Sądząc z nieustannych wstrząsów ziemi i ogłuszającego łoskotu nawałnicy artyleryjskiej, powinniśmy się byli znajdować w pobliżu pola bitwy. Jednak nawet ten grzmot tak gwałtowny miał w sobie dość jednostajności, aby skłonić do snu nasze zmęczone głowy i połamane członki. Nie wiadomo kiedy i jak posnęliśmy, ale, gdy nas obudzono, przytomność wróciła odrazu.

Pułk szedł naprzód. Senni kroczyliśmy kilometrami po drogach widmowych, między cieniami. Były to cienie drzew i krzaków, którym mętny zarys i ruch nadawały kształt ludzki.

Przypominam to sobie jak fantastyczne marzenie. Niekończący się i milczący tłum tworzył jakby nieprzerwany płot...

Poza nami w nocy pozostały te senne widziadła.

Idąc szybko doszliśmy do zniszczonej fermy, otoczonej kraterami lejów, zalanemi wodą. Tu było dobre miejsce dla postoju. Żołnierze rozłożyli się na roli, opierając głowy na plecakach. W budynkach chrapali pospolitycy, którzy umknęli cało ze świeżej masakry. Leżeli uśpieni jedni na drugich. Powietrze tam było nie do zniesienia, lecz chłód na dworze przenikał do kości. Zazdrościliśmy im tego pełnego zaduchu schronienia. Długa drabina oparta o mur pozwoliła chwycić ręką za futrynę wysoko umieszczonego okna. Z trudem wdrapałem się na strych ze słomą, zapchany śpiącymi. Nie znalazłem tam żadnego wolnego kąta oprócz dziury, gdzie deski się zapadły. Usiadłem na belce, która przechodziła przez tę dziurę, spuściłem nogi i próbowałem walczyć z nacierającym snem. Co dziesięć minut poczwórne, twarde szczęknięcie bliskiej baterji budziło mnie ze snu zagrażając mej równowadze. Ze dwadzieścia razy omal nie spadłem na grzbiet wołów, które słyszałem przeżuujące w oborze pod nogami. Na szczęście nadszedł dzień i rozkaz wymarszu.

27 kwietnia. Tego dnia świt był ogromnie wilgotny i szary.

Dowiedziałem się, że wieś, przez którą przechodzimy, nazywa się Brielen.

Zresztą wkrótce mogliśmy się zorientować. Wielkie ruiny Sukiennic Ypres i nietknięte ostrze dzwonnicy wyłoniły się na prawo. Sukiennice przez miesiąc naszej nieobecności zmieniły swój wygląd, miasto wydało się przybite i bardziej przysiadłe.

Kanał przed nami przecinał drogę, na nim nędzny mostek. W chwili, kiedy przekraczaliśmy ten straszliwy próg płonącej okolicy, pocisk strzaskał obok nas jedno z drzew. Pień jego miał grubość dwóch ludzi. Szczęśliwie skończyło się na jednym rannym. Jak widać przyjęcie było godne.

Przybywając pod zasłoną wysokiego brzegu kanału szliśmy jeden za drugim ścieżynką tuż nad wodą, aż do zbliżenia się na jakieś dwa kilometry do Ypres, a dalej po pochyłości.

Kraj tu był szeroki i płaski, pocięty rzędami wierzb na małe łączki. Niemcy znajdowali się gdzieś blisko na tej płaszczyźnie, bez kryjówek i bez przeszkód dla obserwacji. Ogólnie okopy nieprzyjacielskie tworzyły jeden z boków trójkąta, którego podstawą był Ypres i nasze pozycje wzdłuż kanału z drugiej strony. Wierchołek trójkąta znajdował się w Boesinghe, przedmościu nieprzyjacielskiem. Na widnokregu biegało się kilka pojedynczych ferm. Przygodne te schroniska, widziane zewsząd, były punktami orjentacyjnymi według których nieprzyjaciół wstrzeliwał obecnie swoje baterje, a mimo to domy te pozostawały dotąd prawie nietknięte. Myślano, aby w braku czegoś lepszego, umieścić w jednym z nich, najbliższym wody, punkt opatrunkowy, a obok umieścić bataljon odwodowy. Dowódca pułku ze swym sztabem zajął jakiś bardziej oddalony folwark w kierunku na Ypres.

Nasze leże zapełniały trupy ludzkie. Opodal leżały rozrzucone martwe konie i krowy. Większość pocisków przelatowała nad naszymi głowami w kierunku na Ypres. Część padała bliżej nas na łąkach. Nie wzruszało to zbytnio nikogo. Okolica nie była dobra, ale posiadaliśmy szczęśliwie fatalizm żołnierza, który troskę o własne bezpieczeństwo powierza doświadczeniu swych dowódców.

W miarę, jak podnosiło się słońce, zrobiło się cieplej. Siedziałem na dworze, wsparty o mur domu, twarzą ku Ypres, spoglądając na wybuchy pocisków. Zmęczony, ukołyszany nieprzerwanym łoskotem, zasnąłem głęboko.

Obudziłem się sam. Wybuchy granatów zbliżały się ku mnie. Wielkie odłamki stalowe poczęły uderzać o domek. Należało porzucić to nieprzyjemne miejsce. Na brzegu kanału znalazłem swych towarzyszy i żołnierzy, każdy z nich kopał dla siebie dziurę w ilastym gruncie stoku. Rzeczywiście tylko wysoki wał kanału był jedynym możliwym schronieniem w tym kraju, gdzie nie dało się wygrzebać trochę głębszego okopu, aby nie dokopać się do wody. Chociaż brzegi kanału wysadzone drzewami były dobrym punktem dla wstrzelania się artylerji, rozłożyliśmy się tuż poza nim.

Powoli łączono pojedyncze dziury, kopane przez żołnierzy. Podparto ściany dylami i krokwiemi pożyczonymi w pobliskich domach. Dachy tych wątych osłon, sklecone z chróstu, nie były w stanie oprzeć się uderzeniu pocisku 77 mm. Siedząc jednak w nich, kpiliśmy z ciągłego bombardowania, czując się tak, jakbyśmy się znajdowali w schronach co najmniej na głębokości sześciu metrów pod ziemią. W tym okresie wojny jeszcze z całym spokojem ducha przechodzono do porządku nad środkami obrony, które później uważano za niezbędne. I jeżeli w roku następnym wyjście bez hełmu uważano za głupotę i coś poniżającego, to wtedy jeszcze nikt nie kładł pod kepi wydawanych dla ochrony głowy czepeczków stalowych. Posługiwano się nimi jedynie jako miseczkami.

W południe poczęła strzelać artylerja sprzymierzeńców i przez godzinę metalowe paszcze wyły wściekle. Nasze 75 mm zapowiadały kontr-ofensywę i ich łoskot zagłuszał skomlenie pocisków niemieckich. Na odcinku kilku kilometrów nasze oddziały rozpoczęły natarcie ze ścieżki holowniczej kanału i skokami posuwały się na płaszczyźnie. Kiedy armaty milkły, słysząc było wielkie działa nieprzyjacielskie 210 mm, które

miotwały swe ciężkie pociski na atakujące oddziały, rozrzucając z potężnym trzaskiem ziemię.

Wtedy atakowano nieprzyjaciela jeszcze niezupełnie dojrzałego do szturm, nie tak, jak to czyniono później, kiedy, przygotowanie artyleryjskie, trwające dzień czy też kilka, ogłuszało go i demoralizowało.

Nasza zapowiedź ogniowa trwała godzinę. Pociski oszołomiły Niemca, ale nie sparaliżowały kompletnie jego obrony. Wkrótce przerywany wybuch śmiechu niemieckich karabinów maszynowych wypełnił przestrzeń.

Niemniej jednak nasze natarcie było zwycięskie. Napływający ranni przynosili nadzwyczajne wiadomości. Zapominając o swych ciepłych ranach, jeszcze mało bolesnych, z liryzmem mówili o śmiało zdobytych okopach i czynach odwagi. Pewien kapitan szedł spokojnie z laską w rękę, pośród brzęczenia pszczoł śmierci, aż na odległość osiemdziesięciu metrów do nieprzyjaciela. I tu nagle padł z uśmiechem na ustach.

Niemiec cofał się, tracąc powoli to, co zyskał przez zaskoczenie wczorajsze i przedwczorajsze. Było to dla niego klęską. O godzinie czwartej mówiono, że nieprzyjaciół jest w odwrocie, ale nagle bez żadnego przejścia wszystko to się zmieniło. Właśnie w chwili, kiedy cieszyliśmy się pomyślnymi nowinami, z zadziwieniem zobaczyłem wśród wzrastającej nawałnicy wybuchów i strzelaniny, nadbiegające gromady żołnierzy bez dowódców. Całe pułki rzucały broń, zwracając się plecami do nieprzyjaciela. Zwłaszcza murzyni, oszaleli ze strachu, biegli, popychali nas, aby rzucić się w wodę kanału. Krzyczeli przytem: — Ratuń się kto może! Jesteśmy zgubieni!

Ludzie tarzali się po ziemi konwulsyjnie kaszląc. Wymiotowali, pluli krwią.

Straszliwy zapach przyniesiony przez wiatr wszedł w nasze nozdrza. Panika osiągnęła najwyższy stopień. Wleczono rannych. Umierający padali rżąc na ziemię, a po ich ciałach kroczyli najbardziej śpieszący się zbiegowie. Rannego dowódcę pułku niesiono na noszach, wściekłego z gniewu i rozpacz. Kłął ten dziki tłum, który go wcale nie słuchał, tłum cudzoziemców, pół Francuzów, pół murzynów. Instynktownie moi koledzy i ja zagroiliśmy zbiegom przejście, tłukąc ich kijami po głowie, plecach i ramionach.

— Naprzód! twarzą do nieprzyjaciela, psiakrew!

Na ten nieoczekiwany sprzeciw kilku z tych wielkich dzieci pokornie i niezdecydowanie zatrzymało się patrząc na nas, ale wnet podnieśli porzuconą broń i zawrócili, tworząc w tym zbiegowisku prąd przeciwny ucieczce. Anglicy, którzy z drugiego brzegu zobaczyli nasze wysiłki, pośpieszyli nam z pomocą i bagnetami zagrodzili kładki.

Powoli skutek zaskoczenia malał, oddziały porządkowały się, powracały do boju... ale była to chwila pełna niepokoju, jedna z tych, kiedy człowiek rozpacza. Dusiliśmy się we mgłę chlorowej. Zwilżyłem chustkę od nosa i trzymałem zatykając usta. Szukając lepszego powietrza, jako też popychany ciekawością, wszedłem na nasyp. Na całym widnokręgu niebo było ciemne, dziwnie zielone i złowrogie. W tym trupim wieczorze domy płonęły, jak okopcone pochodnie.

Niemiec, pobity przez nas, mścił się trucizną!

Powoli, w miarę jak zasłona chloru rzedła, odwaga wstępowała w serca. Nocą zawiązał się jeszcze gorętszy bój, ale powodzenie dnia było stracone...

O ile można sądzić z ilości rannych, którzy dobiegli do nas, rzeź była straszliwa. Od początku działań nasi lekarze zapasowi udali się naprzód, na skraj Boesinghe, na odległość kilkuset metrów od miej-

sca boju. Miałem zaszczyt dołączyć się do nich, przewidując, że pod zasłoną nocy ofiary będą tłumnie nadciągając na ten zaimprovizowany punkt opatrunkowy i że moi towarzysze nie dadzą sami rady tej intensywnej pracy nocy. Znalazłem się w nawpół zwalonej ruderze nad wodą. Kule brzęczały po murach. Napoczekaniu zatkano dziury od strony nieprzyjaciela.

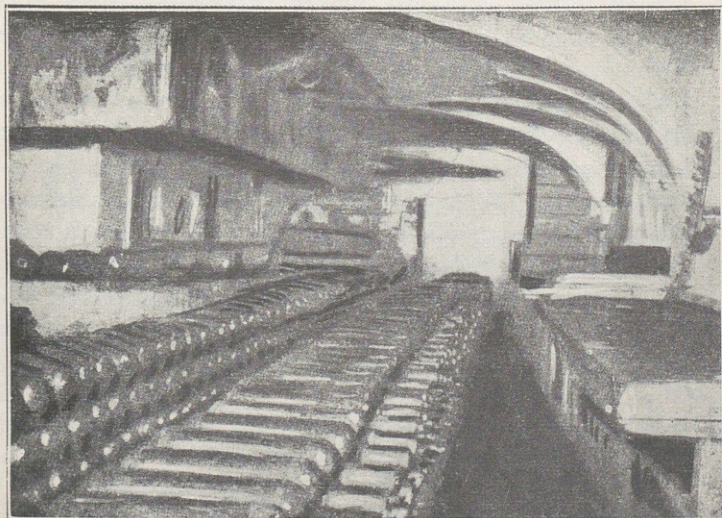
Przy opatrywaniu sanitariusz świecił mi świeczką, skrytą pod połą płaszcza. Było zimno. Zapalono małe ognisko z desek. W ogień rzucaliśmy zakrwawione łachmany bielizny i ubrania, które cięto nożyczkami na ludziach, aby prędzej dobrać się do ran. Wkrótce miałem ręce aż do ramion czerwone od krwi. Sanitarjusze przynosili zdeformowane ciała ludzkie. Kilku rannych nie miało wcale twarzy i jedynie jęk wychodzący z tych krwawych masek świadczył o resztkę życia. Inni mieli rozdarte brzuchy, jelita na wierzchu, zachowali przytem bolesną świadomość i widziało się, jak wyrzuciwszy prędko kilkanaście słów zamykali się w zamysleniu, wymiotowali, zwijali się na ziemi w kłęb i marli. W łachmanach pełno było ciał z potrzaskanych członków. Często śmierć przerywała opatrunek...

O świetle nieprzyjaciel dostrzegł dymek ogniska i pociski poczęły trzaskać wokół naszego wąskiego schronienia. Trzeba było uciekać, co sił w nogach...

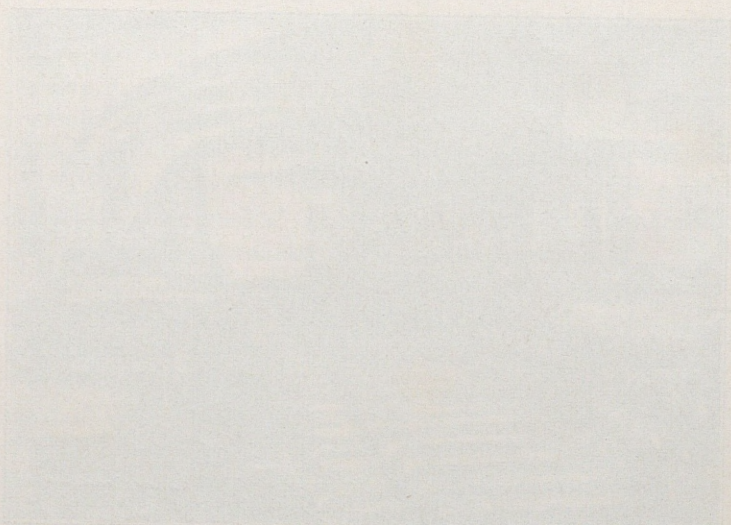
Mówiono, że nasi sąsiedzi Anglicy, rozwścieczeni niełojalnością Niemców i ich djabelską chemją, powiesili pięćdziesięciu jeńców. Nie wierzę temu, lecz jest niewątpliwe, że nigdy umysły nie były bardziej podniecone jak w tym okresie wojny i że było rzeczą bardzo niebezpieczną ściągnąć na siebie nieubłagany gniew albo nawet podejrzenie Anglików. Systematycznie wypędzili oni wszystkich mieszkańców z Ypres i okolic. Każdy włóczęga, spotkany w ubraniu cywilnem, był przez nich podejrzewany o szpiegostwo, są-



Przejście przez falę gazową w 1915 r.



Skład butli z gazem.



dzony krótko i stawiany pod mur. Egzekucje te odbywały się codziennie. Biada wieśniakowi, znalezionemu w piwnicy albo wałęsającemu się wokół ruin swego domu.

W czasie tego boju wzięto kilkudziesięciu jeńców, a między nimi oficera, na którego nasi miotali gwałtowne obelgi, zapytując go, jak-to naród niemiecki może używać jadowitych gazów wbrew prawom wojny obowiązującym narody cywilizowane. Muszę zaznaczyć że jeńiec okazał nieudane zdziwienie. — „Jako? — powiedział — po co się mnie pytacie, kiedy to wyście pierwsi rozpoczęli ich używać!” „Kłamiesz pan!” odpowiedziano mu. — „Jestem waszym jeńcem — odrzekł dumnie oficer — i nie mogę żądać, abyście dowiedli waszych napastliwych słów, zabijcie mnie więc, lecz nie znieważajcie. Powiedziałem prawdę”.

Ten człowiek był oczywiście szczerzy i jego zapewnienie mnie zmieszało. Byłem zupełnie pewny naszej niewinności, lecz mając czas zastanowić się nad tą rozmową, doszedłem do przekonania, że rozszerzając fałszywe słuchy o piorunującym pocisku, którego Turpin¹⁾ nigdy nie wynalazł, nasi „bourreurs de crânes” oddali nam złą przysługę. Prawdopodobnie kaczka ta znalazła wiarę nawet u naszych nieprzyjaciół, a ich wodzowie wykorzystali ją na naszą niekorzyść. Wzięli dosłownie naszą fanfaronadę i odpowiedzieli rzeczywistości okrucieństwami, które w ich obozie mogły uchodzić za słuszny odwet²⁾.

¹⁾ Pocisk ten miał zabijać całe bataljony bez żadnych widocznych obrażeń.

²⁾ Oczywiście autor wspomnień nie ma racji. Niemcy musieli rozpocząć studia nad użyciem gazów bardzo wcześnie, kto wie, czy nie przed wojną. Inicjator ataków gazowych, Haber, już od początku 1915 roku siedział pod Ypres, czekając na „pomyślne warunki atmosferyczne” dla napadu. Przedtem wypróbował gazy na froncie rosyjskim, w 1914 roku.

Mówiąc krótko, cierpimy całemi dniami od jadowitych gazów, o ile kierunek wiatrów wiejących podczas naszego pobytu nad kanałem Ypres temu sprzyja. Jest rzeczą ciekawą zaznaczyć, że już wtedy Niemcy próbowali innych trucizn oprócz chloru. Nie sędzę, żeby ten fakt był podany do wiadomości powszechnej. Ogólnie mniema się, że pociski trujące użyte były dopiero później. Jednak nawet tego wieczoru, 28 kwietnia, który był dniem względnie spokojnym, gdy nasza artylerja przygotowywała się do podjęcia natarcia i kiedy ogólny ruch naprzód był przewidywany na godzinę 7, wybuchła w pobliżu nas pewna ilość pocisków, wydzielających szczególny zapach. Nasze wspomnienia laboratoryjne pozwalały określić go jako podobny do jednego ze związków eteru¹⁾. Przy wdechu tego gazu, łzy napływały do oczu, kilku ludzi porwały wymioty. Niepokój był wielki. Nagle armaty umilkły, zanim ktokolwiek ośmielił się pójść naprzód. Żywiliśmy obawę, czy też nieprzyjaciel nie posiada tajemniczego środka, którym nas wszystkich otruje. Zapach się rozszedł i zapadło głębokie milczenie, dziwne w tem miejscu, które było dotąd piekłem i które aż do naszego odejścia być nim nie przestawało. Niemota armat dała głos zwykłym szmerom przestrzeni. Śpiewał skowronek i ten niepokój chwili dał nam noc najspokojniejszą, jedyną spokojną, jaką przeżyliśmy w tej wyprawie.

To była tylko przerwa. Nacierano codziennie w różnych godzinach. — to Francuzi, to znów łącznie z Kanadyjczykami, dzielnymi ludźmi z Quebecu, którzy okazywali nam rzeczywiste uczucia ziomków. Mówili

¹⁾ Według źródeł niemieckich były używane pod Ypres 15 centymetrowe T-granaty, zawierające gaz łzawiący (bromek ksylilu). Zmuszał on nieprzyjaciela do zdjęcia maski. Coprawda nieprzyjaciel ten wówczas żadnej maski nie posiadał.

czysto po francusku, jakkolwiek językiem nieco archaicznym i nosili nazwiska Benoit, Durand, Moreau...

Mundur angielski nadawał tym pospolitym nazwiskom niezwykłą oryginalność.

Natarcia wychodziły z prymitywnych okopów, wydłużanych naprędce o kilkaset kroków od ścieżki holowniczej kanału. Według naszej oceny wynik ich był średni. Później dowiedzieliśmy się, że dzięki nadludzkemu wysiłkowi uratowaliśmy zagrożony odcinek. Są to rzeczy, z których żołnierz nie zdaje sobie sprawy. Ja widziałem tylko wielkie straty w ludziach i nigdy więcej, nawet pod Verdun, nie opatrywałem tylu rannych i nie naliczyłem tylu zabitych. Ludzie umierali dniem i nocą jak muchy. Niebo było upstrzone siarczanymi chmurami, które powstawały z pocisków, pękających z żalonym jękiem.

Przy każdym natarciu, zanim przybyli pierwsi ranni, szedłem do okopów, skąd wychodzono do boju. Tam widziałem drobne grupki naszych żołnierzy, skaczących przez pola, między wybuchami 210 mm pocisków, które z żywiołowym łoskotem podnosiły ku górze fontanny czarnej ziemi. Oszalałe gromadki gołębi kręciły się bezradnie, nie wiedząc dokąd uciekać i siadały na polu. Zapomniane krowy leżały na obszarze natarcia, zrezygnowane, fatalistyczne, bez żadnej ochoty do ucieczki, drżąc tylko, gdy opryskiwały ich odłamki pocisków. Nasi żołnierze — wieśniacy, spoglądali łakomie na opuszczone bydło, które pioruny ludzkie zabijały sztuka po sztuce. Zdecydowali się też pewnego dnia iść po nie pod pociskami. Przyprowadzili stado kulejące z ran. Przepędzono je na drugą stronę kanału, na pastwisko oszczędzone przez pociski.

Oprócz codziennych natarć, do których Francuzi i Anglicy dawali po dziesięć tysięcy ludzi, mnóstwo oddziałów pozostawało pod osłoną wysokiego brzegu

kanalu. Wyglądało to malowniczo i bezładnie. Nachylony mur tamy kanałowej był wydrażony, wykopano w nim pieczary. Wznoszono tu różne budynki począwszy od jam i chatek, pokrytych płótnem namiotowem albo chróstem i workami z ziemią, aż do mieszkań względnie komfortowych z desek i bali. Powoli sąsiednie domy opróżniano z mebli na korzyść naszych siedzib. Znalazły się tam podarte materace, firanki, różne naczynia i nawet klatki z ćwierkającymi kanarkami. Zwłaszcza z drugiej strony kanału wzniesiona wysoko grobla, u stóp której płynął strumyk Yperlée, sprawiała wrażenie cygańskiego obozowiska. Było to wartościowe schronienie, gwarantowane od pocisków i umieszczone poza barjerą wodną jak cytadela za fosą. My, znajdujący się na punkcie opatrunkowym, na niebezpiecznym brzegu, o dziesięć metrów od kładki, przechodziliśmy trzy razy dziennie do umycia się i do jedzenia na tamten brzeg z myślą, że będzie się mieć lepszy apetyt w spokojnem miejscu. Ponieważ wszyscy lekarze pułku byli na tym samym punkcie opatrunkowym i mieszkali razem, zmieniano się na dyżury.

Podczas przerw w natarciu żołnierze nie byli utrzymywani w surowej karności. Trudno było pilnować i przestrzegać starszeństwa i stopni w tłumie stłoczonym chaotycznie poza nasypem. Mieszało się tu ze sobą wiele pułków, a nawet narodów. Wszyscy musieli jakoś zabić długie godziny bezczynności. Miasto Ypres tak bliskie, że widziało się wyraźnie bruki ulic, było szczególnie nęcące dla ludzi, którzy tam już kiedyś mieszkali, znali jego bogactwa, a teraz widzieli je wyludnione. Myśleli, — ileż tam pod wałcami się ruinami zostawiono pięknych rzeczy. Do kogo one należą prawnie jak nie do nas? — To też żołnierze organizowali systematyczny rabunek. Wymykając się z pod oka dowódców okólnymi drogami, w niewielkich grup-

kach, udawali się do Ypres, ryzykując przy tej przyjemności ze sto razy śmierć, ponieważ nieprzyjaciel bez chwili wytchnienia bombardował nieszczęśliwe miasto ciężkimi pociskami. Wracali obładowani, jak muły juczne wiktuałami i omszałymi butelkami. Z pękających piwnic wyciągano stare wina burgundzkie, bordo i szampańskie, które pito szklankami nie mając czasu nawet smakować. Puste butelki tysiącami pływały po wodzie kanału. Między brutalnymi uderzeniami wybuchów granatów szalało pijaństwo, między następującymi po sobie rzeziami urządzano maskarady, do czego służyły stroje kobiece, powyciągane z porozbijanych szaf.

Te zbyt częste odwiedziny piwnic, którym nie dało się przeszkodzić, przyczyniły się do odkrycia szpiegów kryjących się w podziemiach. Jednego z nich zaskoczono, gdy telefonował do nieprzyjaciela. Jest to rzecz pewna¹⁾. Był to chromy nędzarz, któremu całą zimę pozwolono błąkać się wokół obozowisk i prosić o jałmużnę. Dwanaście angielskich kul skończyło z nim.

Rzecz niewiarogodna. Upłynęło prawie trzy dni a wydawało się, że nieprzyjaciel dotąd nie zauważył obecności tylu oddziałów nad brzegiem kanału. Co najwyżej kilka olbrzymich pocisków, szukających najbardziej widocznych kładek, padało w łóżysko kanału, podnosząc fontanny wody aż do wierzchołków drzew. I chociaż wielka ilość samolotów przelatywała ponad nami, to bezwątpienia żaden z nich nie zaobserwował dokładnie masy niebieskich mundurów żołnierskich. Z chwilą kiedy usłyszano szum silników, na dany trąbką sygnał, wszystko co żyło, nieruchomiało.

¹⁾ Przy panującej psychozie szpiegowskiej wszędzie widziano telefonujących szpiegów. Wydaje się rzeczą nieprawdopodobną, aby utrzymał się drut telefoniczny przy ogniu artylerji, która stała pod Ypres.

Niemcy dniem i nocą kopali na równinie o pięćdziesiąt metrów od grobli, gdzie normalnie nie było nikogo.

Żyliśmy we względnym zaciszu między dwoma huraganami, słuchając nieprzerwanej symfonji, która sprawiała, że miewaliśmy ciężkie sny. Co jakieś pół godziny przelatywało coś w powietrzu z tak strasliwym rykiem, że mógł to być jedynie monstrualny pocisk wagi jednej tonny. Jak mówiono, był to 420 mm austriacki „wagon towarów dla Ypres”. I podczas, kiedy słyszano jeszcze jego świst, już powstawała poza ratuszem miejskim czerwona kolumna sproszkowanych cegieł, zasypując całą dzielnicę.

Były ciepłe wiosenne dni bez słońca. Żołnierze angielscy dla zabawy strzelali z karabinów do kanału, inni daremnie usiłowali schwytać na wędkę nieistniejącą rybę. W plecaku jednego z żołnierzy znalazłem przekład francuski Georgików, marną broszurę za pięć sous na papierze do zawijania. Doświadczyłem wyjątkowej rozkoszy czytając w tem miejscu historję pasterza Arysta.

Siedząc, piętami dotykałem wody. Nagle skoczyłem na równe nogi, zasłaniając rękami głowę i piersi. W odległości metra ode mnie wybuchł pocisk, odłamki padły snopem wraz z liśćmi i drobnymi gałązkami. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że żaden mnie nie dotknął. W minutę drugi pocisk uderzył dziesięć metrów dalej... Ten, który mnie oszczędził, zabił człowieka i kilku ranił. Podniosły się krzyki i jęki. Jednym susem znalazłem się obok ofiar i zacząłem natychmiast opatrywać rannych.

Już w przeddzień wieczorem kilka salw granatów wystrzelono w naszym kierunku. Nasze zacisze było zbyt paradoksalne, aby mogło być trwałe. Kanał obrzeżony dwoma rzędami drzew, a obok domek i wysoki komin fabryczny, wszystko to było widać w tym

plaskim krajobrazie, jak nos pośrodku twarzy. Nieprzyjaciół, który zrozumiał wreszcie, że duża ilość oddziałów tam się kryje i który zresztą poczynając od Boesinghe flankował kanał, zdecydował się ostrzelać go od końca do końca. Tego samego wieczoru, 1 maja, rozpoczął rzucać pociski 105 mm co dziesięć metrów wzdłuż niego. Jeden z żołnierzy miał strzaskane nogi, drugi zmiażdżoną czaszkę, trzeci rozdarty brzuch — mówię o tem, co widziałem obok siebie.

Od tej pory kilka razy dziennie powtarzała się ta historia. Pociski nieprzyjacielskie skokami waliły wzdłuż kanału i wtedy kończyła się kąpiel, łapanie ryb na wędkę i czytanie Georgików nad brzegiem.

Przy pierwszym jeszcze odległym wybuchu rozpoczynało się oczekiwanie na piękną śmierć. Co minuta pociski padały bliżej i bliżej, zasypując ziemię ofiarami. Kiedy śmierć się oddalała, spoglądano na siebie tak, jak musieli za każdym razem patrzeć na siebie więźniowie podczas „teroru”, kiedy kończono odczytywanie listy wygrywających los na loterii świętej Gilotyny.

Nawet pewna ulga zaznaczała się u żołnierzy, kiedy wychodzili do natarcia z tego miejsca bardziej grobowego niż sama płaszczyna. Na pewno jest rzeczą mniej straszną iść naprzeciw śmierci niż na nią czekać biernie. Byliśmy jak ziarna zboża w miseczce, które żarłocznie dziobał potworny kruk. Czy miał czas pożreć całą miseczkę? Czy też tylko wybierał ziarna?

Nasze zaimprovizowane schrony zasłaniały od odłamków, lecz nie wytrzymałyby uderzenia granatu. Przy pomocy skrzyń z ziemią i chróstu zbudowaliśmy izbę opatrunkową, gdzie pięć do sześciu osób mieściło się wygodnie. Przy każdym nalocie granatów rzucało się do niej ze dwudziestu pięciu rannych, uniemożliwiając jakąkolwiek pracę. Z łokciami przyciśniętymi

do ciała, z gorączkowym pośpiechem, udzielaliśmy im pierwszej pomocy i czuliśmy przy tem jakieś podświadome zadowolenie, że mając zajęte ręce, jesteśmy zmuszeni myśleć o innych a nie o sobie w chwili, która być może jest dla nas ostatnia. Jak tylko który lekko ranny został opatrzony, natychmiast usuwano go na zewnątrz, aby dał miejsce bardziej nieszczęśliwemu. Jeden z nich poszedł tylko trzy kroki i padł z głową zmiażdżoną pociskiem.

Łoskot sądu ostatecznego towarzyszył naszej pracy. Niebo waliło się. Widziałem między tymi rannymi, słuczonymi w ciasnocie pomieszczenia, jakiegoś podoficera, który błąd jak widmo, trzymał swe wewnętrzności w obu rękach... — Ja chcę się położyć, — jęczał. Ale ten jego ostatni głos nie mógł być wysłuchany. Umarł stojąc... Duszę wraz z krwią wypłuł na twarz sąsiada...

Raz jeszcze zielona mgła chloru zakryła horyzont. Tym razem poza tą straszliwą zasłoną nieprzyjacieli posuwał się znacznymi siłami. Czynił ostatni wysiłek dla podjęcia ofensywy. Na szczęście zaskoczenie nie powiodło się. Każdy z nas otrzymał rodzaj pierwotnej maski, kwadratową chustkę ze sznurkami na rogach, którą zwilżało się wodą i wiązało na twarzy. Nie powiodło się więc Niemcom. Zostali odrzuceni, ale ponieśliśmy duże straty. Wielkie pociski dobijały na drodze rannych, którzy dążyli do punktu opatrunkowego. W kilka chwil jedenastu sanitariuszy zostało zabitych albo ciężko rannych. Fala okrwawionych i jęczących ludzi obległa nasze małe pomieszczenie, gdzie deptało się po skrzepłej krwi i kawałkach mózgu i skąd musieliśmy odpychać ostatnich przybywających.

Przerażające wytryski granatów rwących się obok zasypywały kurzem i ziemią wejście do naszego pry-

mitywnego schronu, cudem oszczędzonego w centrum dramatu.

Usłyszawszy straszną strzelaninę karabinów i ogłuszające okrzyki osądziliśmy, że nieprzyjaciół docho-
dzi już do nas. Ale był to tylko samolot niemiecki, krą-
żący nisko ponad głowami zebranych oddziałów, do
którego z wściekłością strzelano. Pociski kierowane
prostopadle do nieba, padały jak deszcz na wodę,
brzegi, nasz dach chróściany, gdzie grzęzły łamiąc ga-
łęzie. Samolot podziurawiony zwałił się przy mściwych
okrzykach tłumu. Był to jedyny, który widziałem ze-
strzelony przez karabiny piechoty podczas czterech lat
wojny. Prawie w tejże chwili, kiedy wszyscy zwa-
bieni tym rzadkim widokiem, rzuciliśmy się ku
niemu, olbrzymi pocisk 210 mm wybuchł o trzydzieści
kroków na środku kładki. Deski rozleciały się jak
żdźbła słomy. Powiązane beczki, które służyły za pły-
waki, poczęły spływać. Droga ewakuacji dla ran-
nych została odcięta. Najbliższy las, ostrzeliwany
zresztą przez artylerję, znajdował się o kilka tysięcy
metrów.

Próba ofensywy niemieckiej była skończona. Ogło-
szono zmianę na 3-go. Niemiec pobity na całej linii
stracił sposobność do przejścia kanału. Nasz biedny
pułk między innymi drogo opłacił swoją część powodze-
nia. Około 1500 ludzi było zabitych albo ewakuowanych,
korpus oficerski zmniejszony, zabrakło nawet dowódcy.
Pułk — cień.

Dano nam nadzieję na długi odpoczynek, konieczny
dla uzupełnienia strat... Jeżeli nie byłoby to rozpocze-
ciem innej historii, opowiedziałbym, jak próżna pozo-
stała ta nadzieja. Wieczorem, 9 maja (dzień ten po-
chłonął wielu ludzi), staliśmy znów twarzą w twarz
z nieprzyjacielem przed Mont — Saint Elois. Sam by-
łem nawet ranny jedenastego w Berthonval.

Nieświadomi tak bliskiej przyszłości, z ulgą opuszczaliśmy niewielkimi gromadkami o zmierzchu grobowy kanał Yperlée. Dano nam kwatery o kilka kilometrów wtył, w parku, w oficynach eleganckiego pałacu, zajętego przez sztab angielski. Nazywał się ten pałac — pałacem Trzech Wież. Kronika — czy też legenda — mówiła, że długo oszczędzały go pociski niemieckie i że ta długa wstrzemięźliwość nieprzyjaciela wydawała się podejrzana. Skończyło się tem, że Anglicy odkryli w pałacu ośrodek szpiegowski całego obszaru, skąd sygnalizowano światłem do nieprzyjaciela. Odtąd artylerja niemiecka zawzięła się na pałac i park. Mielśmy tam dodatkowe straty, tyleż oplakane co niepotrzebne. Niebo także było niełaskawe i usnęliśmy pod potokami deszczu, który przesączał się przez gałęzie pięknych drzew, skazanych na śmierć — nasze zgłodniałe konie doszczętnie ogryzły ich korę. Z niecierpliwością czekaliśmy odjazdu, ale w tym płaskim kraju widać wszędzie bardzo daleko. Należało czekać zmroku. Drugi marsz odbył się wreszcie. Szliśmy ścieżkami, na których kwitły tarniny i zieleń się świeża trawa, aż do odległej samotnej mleczarni, w nieznanej okolicy...

Obudziły nas koguty. O rozkoszy przebudzenia! Czyśmy to śnili o strasznem zjawisku — krwawej i oszałamiej wojnie? Nic nam jej nie przypominało oprócz dalekiego głuchego huku, jakby burzy poza horyzontem i małej plamki balonu, całkiem nisko, na skraju nieba. Byliśmy w zalanej wodami Flandrji, nad brzegami niezmiernego jeziora, gdzie ziemia wyłania się paru wysepkami zielonego aksamitu, haftowanego niezapominajkami, fiołkami i przetacznikiem. Bieleły się drzewa owocowe jak bukiety nowozaślubionych. Błękitne niebo oddychało idyllą. W czystej wodzie, którą marszczył lekki wietrzyk, chór żab kumkał

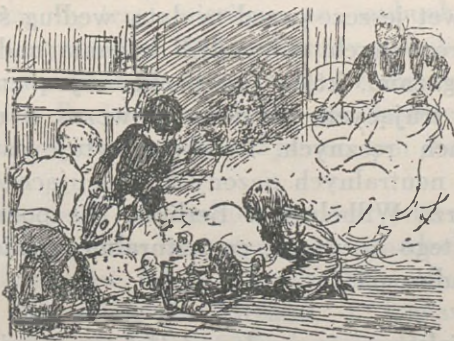
o wiosnie. Tysiące mew rzucało swe żałosne krzyki w nieskończoność oceanu. Tu i tam dzwonnice między drzewami, jak tuszem malowane, piętrzyły się ponad wioskami pokrytymi słomą. Jak kadzidła pokoju wznosiły się wątle dymki. Nieprzyjaciół tu nie doszedł. Nie dojdzie nigdy.

I serca nasze miękły. Wstępowały w nie spokój i życie...

Następnego dnia samochody ciężarowe czekały na nas w Roosebrugge....

Octav Béhard.

WOJNA GAZOWA W KARYKATURZE.



— Na Boga, co wy tu robicie?

— Co? — Urządzamy napad gazowy
(dowcip rosyjski z 1915 r.).

KIEDY NIEMCY POCZĘLI MYŚLEĆ O UŻYCIU GAZÓW.

W głośnej książce angielskiego majora Lefebure'a¹⁾, który podczas wielkiej wojny był oficerem łącznikowym w sprawach gazowych między wojskiem francuskim i brytyjskim znajdują się wiadomości, że Niemcy już od sierpnia 1914 roku pracowali w swych instytutach chemicznych nad użyciem gazów na wojnie. A nawet jeszcze przed tą datą, według świadectwa ludzi wiarogodnych, prowadzili badania nad fosgenem i innymi gazami, które już przed wojną znano z ich własności trujących. Myślano wówczas o użyciu ich w granatach ręcznych. Lefebure cytuje oświadczenie jednego z neutralnych uczonych, pracującego w Instytucie cesarza Wilhelma w Berlinie. Nie podaje jednak nazwiska tego uczonego, co naturalnie zmniejsza wartość oświadczenia.

...Wiedzieliśmy, że profesor Haber czyni w głębi laboratorium pewne doświadczenia w porozumieniu z władzami wojskowymi. Co rano przyjeżdżali odwiedzać go oficerowie w swych szarych samochodach... Pracowano z zapalem dzień i noc. Często około godziny 23 w nocy widziałem w budynku niezwykle ożywie-

¹⁾ The riddle of Rhin (tłumaczenie francuskie i niemieckie).

nie... Wszyscy wiedzieli, że Haber podniecał, ile się dało, zapal swych współpracowników...

Głównym pomocnikiem profesora Habera był Sachur. Pewnego ranka nastąpił wybuch w laboratorium, gdzie pracowano nad tym wynalazkiem wojennym... Sala wypełniła się gwałtownie gęstymi kłębami gazów... Odźwierni oczyścili salę przy pomocy prądownicy i wyciągnęli stamtąd profesora Sachura... Silnie zraniony zmarł wkrótce.. Sądzę, że po tym wypadku badania nad fosgenem ustały... Badano natomiast dalej użycie chloru. Siedmiu czy ośmiu chemików pracowało nad tem zagadnieniem, lecz nie słyszeliśmy nic więcej o nim aż do chwili, gdy Haber osobiście udał się na front pod Ypres.

Według źródeł niemieckich pierwsza próba użycia gazów odbyła się na froncie wschodnim, podobno pod Przasnyszem, w trzy miesiące po wybuchu wojny, a następnie w początku 1915 r. Niemcy puścili gazy trujące lecz w niewielkich rozmiarach i z niewielkim wynikiem, to też Rosjanie nawet ich nie dostrzegli. Jeden z autorów niemieckich¹⁾, daje o tem następującą wzmiankę.

...Działanie gazu na zaskoczone rosyjskie oddziały było przerażające, w lazaretach, na schodach i przed drzwiami lazaretów leżały nieszczęśliwe ofiary z niebieskimi, nabrzmiałymi twarzami, z krwawą pianą przy ustach i nosie. Około 90% doprowadziło do śmierci silne podrażnienie dróg oddechowych i obrzęk płuc, które przy wszystkich chorobach powstałych przy zatruciu gazami są głównem, względnie wtórnem zjawiskiem... *Wyższe dowództwo było z wyniku zadomolone.* W kilka miesięcy później, wiosną 1915 roku, no-

¹⁾ Woker. Der kommende Giftgaskrieg. Lipsk 1925.

wa metoda została wprowadzona na zachodzie, w osławionej bitwie pod Ypres.

Jak widać z tych faktów, metoda działania gazami była prawdopodobnie opracowana przez Niemców jeszcze przed wojną. Stanowiła wynalazek typu „mobilizacyjnego”, który dopiero z rozpoczęciem działań bojowych ukazano światu. Zastosowanoby go może i od pierwszego dnia, gdyby znalazł się odpowiednio ustalony odcinek.

W miesiąc po „czarnym dniu pod Ypres” drugi akt tragedji gazowej rozegrał się pod Warszawą.

WOJNA GAZOWA W KARYKATURZE.



— Panie kapitanie, jeszcze jeden urzędnik gazowy.

(Rys. Ricardo Florés, *Le Journal* 1915 r.).

POD WARSZAWĄ.

W maju 1915 roku Niemcy mieli zamiar po raz pierwszy dokonać większego napadu gazowego na froncie rosyjskim nad Bzurą i Rawką, na odcinku około 12 kilometrów. Butle w ilości 1200 zniesiono do okopów, tymczasem wiatr ciągle był niepomyślny. Zaskoczenie wobec tego pozostawało pod znakiem zapytania. W ciągu tak długiego okresu czasu Rosjanie mogli otrzymać wiadomość o czekającej ich niespodziance. Ale tak się nie stało i oddziałów swych ani nie uprzedzili, ani nie przygotowali do napadu gazowego.

31 maja wreszcie powiał niepomyślny dla Rosjan wiatr. Puszczono chlor między godziną 2 — 3 rano. Oddziały niemieckie nie były dostatecznie obznajmione z jego działaniem, sądzono powszechnie, że w okopach rosyjskich wszyscy odrazu zostaną śmiertelnie zatruci. Kiedy zaś tu i owdzie padły stamtąd strzały, Niemcy osądzili, że gaz nie działa i nacierali bardzo słabo.

Działanie gazu w głąb było duże. Jedna z syberyjskich dywizyj straciła, według źródeł niemieckich, 9100 ludzi, z czego 6000 martwych, jakoby wzięto 15.000 (?) jeńców. Według jednych źródeł rosyjskich otruto 1500 (?), według innych 2100.

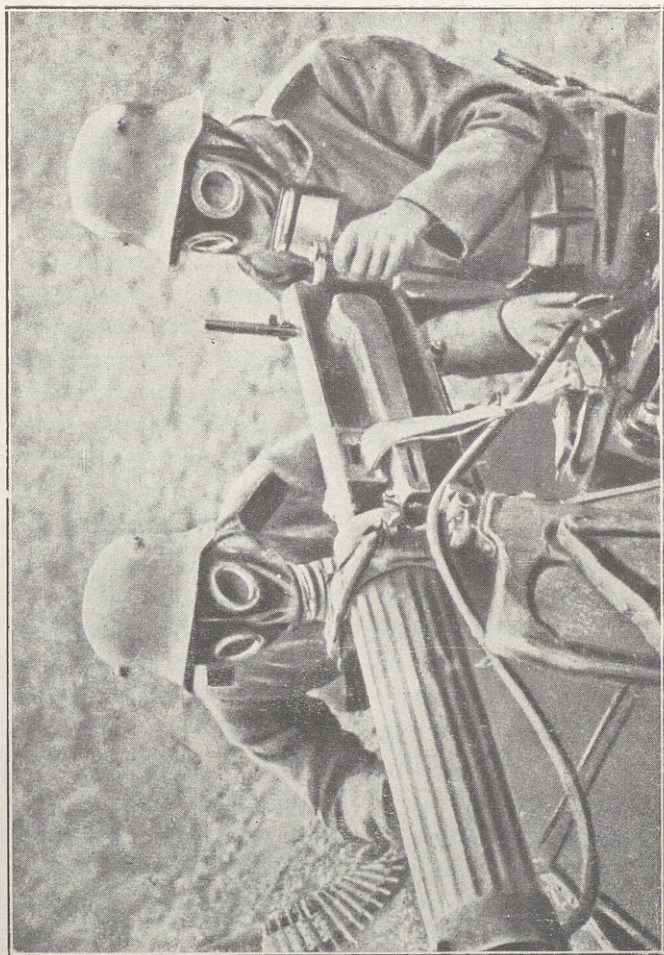
W literaturze rosyjskiej nie odnaleźliśmy opisu dokonanego przez świadka, natomiast podpułkownik lekarz Montrym Żakowicz ogłosił swe spostrzeżenia nad tym atakiem, zebrane od „licznych świadków”. Zetknął się z nimi w szpitalu w Warszawie. Podajemy spostrzeżenia, opuszczając szczegóły zbyt fachowe. Widać z nich, jak nowa broń chemiczna zaskoczyła nie tylko dowódców lecz również służbę sanitarną.

— Liczni naoczni świadkowie ataku zgodnie opowiadali, że o godzinie 3 rano w stronę rosyjskich okopów popłynęły, ścieląc się po ziemi, gęste chmury szaro-zielonego gazu. Pędzone lekkim wiatrem, dotarły one daleko za pierwszą linię.

Chociaż zdaje się, że dowództwo rosyjskie wiedziało o ataku gazowym na froncie francuskim z przed miesiąca (22.IV.15), było ono tym wypadkiem zaskoczone. Masek żadnych, przynajmniej na froncie nie było. W oficerskich kołach opowiadano, że jakoby były, lecz na tyłach. W okopach powstała panika, szczególnie wśród żołnierzy nie mających pojęcia ani o gazach wogóle, ani o możliwości użycia ich jako rodzaju broni.

Żołnierze, a nawet oficerowie, kładli się na ziemię, chowali się do rowów i dołów, gdzie gaz tem skuteczniej ich zatruwał. Tylko nieliczne jednostki wiedzione intuicją, lub obserwujące z zimną krwią nowe zjawisko, zdołały częściowo uchronić się od działania gazu, włącząc na dachy chałup, lub na drzewa, gdzie, jak słusznie zauważyli, koncentracja gazu była mniejsza. Byli tacy, którzy zakrywali sobie twarz chustką zmoczoną wodą, winem czerwonym, a w jednym przypadku — nawet moczem.

Według ówczesnych notatek moich w tym ataku ucierpiał rosyjskie: 10, 53, 54, 55, 56 syberyjskie puł-



Piechota niemiecka podczas wojny światowej.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO PRESS

ki strzelców, 217 i 218 pułki piechoty i 14 syberyjska brygada artylerji. Co do miejscowości, które najbardziej były objęte falą gazową, mam zanotowane: Wola Szydłowiecka, Tartak Bolimowski, Gradów, Gumin, wieś Sucha, Borzymów, Wola Miedzeniewska.

Wyraźny odór gazu miejscami można było wyczuć na odległości do 30 kilometrów poza pierwszą linią okopów. Świadczą o tem zupełnie wiarogodne opowiadania oficerów z tyłowych oddziałów oraz zachowanie się zwierząt (np. zajęcy i psów), które w popłochu uciekały z tych miejscowości. Należy przypuszczać, że straty wojska rosyjskiego procentowo były olbrzymie, wówczas, z zupełnie zrozumiałych powodów, żadnych liczb do publicznej wiadomości nie podano. Oficerowie z tego odcinka frontu opowiadali, że dwie dywizje rosyjskie wskutek tego ataku gazowego utraciły prawie całą swą piechotę.

Z przerażeniem opowiadano o stosach trupów, które pozostały po przejściu fali gazowej. Pierwsze partje ewakuowanych zatrutych przybyły do Warszawy, gdzie wówczas było większe skupienie szpitali wojskowych, około godziny 8 rano. Najwcześniejsze więc przypadki zatrucia, które otrzymałem do leczenia, przybyły w 4 — 5 godzin po zatruciu. Wszystkich przypadków kuracji po tym ataku miałem ponad 200.

O istocie gazu nikomu nic nie było wiadomo, wogóle zaś nikt z lekarzy nie miał do czynienia z zatruciami tego rodzaju. Tylko powłoka jakby rdzy, pokrywającej metalowe części ubrania i broń zatrutych, wskazywały na to, że gaz ten należy do rzędu chlorowców. Ubranie chorych o tyle było przesiąknięte gazem, że personel szpitalny po krótkim czasie pracy przy rozbieraniu chorych, począł uskarżać się na podrażnienie oczu, łzawienie, palenie w gardzieli i kaszel.

Stan chorych z małemi wyjątkami był bardzo ciężki. Na pierwszy plan występowały objawy zaatakowania dróg oddechowych i narządów krążenia krwi w postaci sinicy twarzy, duszności, kaszlu, rżenia w płucach. Według stopnia zatrucia i ciężkości porażen płucnych wszystkich chorych można było podzielić na trzy kliniczne grupy.

Pierwsza grupa najcięższych miała wybitną sinicę twarzy, a nawet i na skórze rąk sinica występowała wyraźnie, oddech przyśpieszony do 40 na minutę, głośnie rżenia w oskrzelach, kaszel częsty, męczący. Plwocina — w postaci śluzu i piany, zabarwionej na żółta-wo-zielony kolor. W płucach — przy osłuchiwaniu liczne głośnie rżenia różnego kalibru, suche i wilgotne, rozsiane po całej przestrzeni. Poza tem mniejsze lub większe ośrodki, które należało traktować jako będące w stanie obrzęku ze względu na liczne trzeszczenia.. Stanowiły tu one dominujący objaw wysłuchowy. Przypadki takiego obrzęku nie ogniskowały się specjalnie w dolnych lub w górnych płatach, lecz zbiorowo w jednych jak i drugich. Nieco rozszerzone granice płuc przykrywały w większości przypadków serce. Tętno małe, przyśpieszone do 100 i więcej, pierwszy ton serca osłabiony. O szmerach sercowych nie można było sądzić z powodu zagłuszających wszystko rzeń płucnych.

Ze strony innych narządów objawy chorobowe były mało wyraźne i nieswoiste. Tylko przekrwienie spojówki oka i łzawienie występowało wybitnie u wszystkich chorych, zaś na łukach i w gardzieli niekiedy wyraźne zaczerwienienie. Błon rzekomych w gardzieli w żadnym przypadku nie obserwowałem. Narządy trawienia nie okazywały żadnych objawów porażenia z wyjątkiem nielicznych skarg na bóle w dołku, które chorzy uważali za powstające w związku z zatruciem.

Poza tem chorzy skarżyli się na duszność, ogólne bóle w piersiach i w okolicy serca, na osłabienie, zawroty i bóle głowy. Objawów porażenia systemu nerwowego nie stwierdziłem, odruchy i źrenice normalne. Depresja psychiczna występowała wyraźnie. Mocz kwaśny, o wysokim ciężarze gatunkowym, niekiedy zawierał ślady białka, ilość na dobę znacznie zmniejszona. Badanie płwocin wykazało komórki nabłonkowe dróg oddechowych w znacznej ilości, oraz białe wielojądrowe ciała krwi. Jakichkolwiek swoistych dla tego zatrucia cech w płwocinie nie wykryto.

Następna grupa nieco słabiej zatrutych nie miała w płucach takich głębokich porażen, które możnaby traktować jako obrzęk, lecz mniejsze ogniska, rozsiane po mniejszych płatach, zdradzające objawy rozpoczynającej się bronchopneumonji. Poza tem w oskrzelach liczne rżenia, wskazujące na głęboki nieżyt. Wszelkie inne objawy zatrucia te same, co i u grupy uprzedniej, lecz w znacznie słabszym stopniu.

Rzeczywiście podział ten na powyższe grupy jest nieco sztuczny i różnica nie zawsze była wyraźna, lecz był on niezbędny dla ratowania i zabiegów około masy raptownie przybyłych zatrutych.

Chorzy z tych grup już przed upływem doby od czasu zatrucia mieli podniesioną ciepłotę ciała. Następných dni gorączka podniosła się w związku z wyraźnemi objawami zapalenia płuc na większej lub mniejszej przestrzeni. Takie zapalenie występowało przeważnie w różnych płatach w postaci mniejszych ognisk, rzadziej zaś zajmowało cały płat. Krytycznym czasem dla większości chorych były pierwsze trzy — cztery dni, gdy zapalenie płuc łącznie z zatruciem serca i zmianą osoczy krwi powodowały groźne objawy nieomogi sercowej. Lecz i po tym okresie następowały niekiedy raptowne pogorszenia w przebiegu choroby z powsta-

niem komplikacyj, zapaścią i śmiercią chorego. Sekcja w takich przypadkach wykazywała zawał płuc zakrzepowy, zapalenie wysiękowe opłucne, zapalenie osierdzia lub zatory w tętnicy płucnej. Zatory te pochodziły ze skrzepów krwi, które formowały się najczęściej w głębokich żyłach podudzia, rzadziej w innych naczyniach krwionośnych.

Przyczyną zaś skrzepów była nadmierna krzepliwość krwi, którą stwierdziliśmy w pierwszych chwilach przy próbach stosowania upustu krwi w celach terapeutycznych. Późniejsze obserwacje i sekcje wyjaśniły ogromne znaczenie tego objawu dla patogenezy i przebiegu choroby.

Niestety, wskutek warunków wojennych, w nawale pracy, nie można było przeprowadzić wszechstronnego i systematycznego badania krwi u zatrutych.

Dalszy przebieg porażień płucnych był bardzo podobny do zwykłego zapalenia zrazikowego płuc. Po trzech tygodniach gorączka oraz objawy płucne ustępowały powoli, stopniowo, dalej zaczynał się długi okres rekonwalescencji. W tym czasie zwracały na siebie uwagę pozostałe objawy powiększonej objętości płuc, pobudliwość serca przy najlżejszym wysiłku fizycznym i ogólna słabość. Subiektywnie chorzy określali ten stan jako utratę możliwości głębokiego oddychania.

Spotykałem swoich pacjentów przeważnie oficerów w kilka miesięcy po zatruciu. Skargi były te same, że nie mogą odzyskać tego swobodnego głębokiego oddychania, jaki mieli przed zatruciem.

Ostatnią grupę ofiar ataku charakteryzował lekki stopień ogólnego zatrucia, w płucach zaś tylko objawy głębokiego nieżytu oskrzeli, który przy obfitej wydzielinie śluzowo-ropnej po 1 — 2 tygodni kuracji kończył

się bez widocznych trwalszych uszkodzeń zdrowia. Inne narządy nie okazywały żadnych zmian chorobowych.

Wskutek zniszczenia w czasach wojennych większości nagromadzonych przeze mnie materjałów klinicznych co do zatruc gazami, nie mogę podać statystyki zmarłych od tego ataku chlorowego, opartej na kartach szpitalnych i sekcjach. Pozostały mi liczby ogólne zmarłych i z tego przypada na grupę pierwszą przeciętnie pięć procent, na grupę drugą trzy procent. Zmarłych z grupy trzeciej nie było.

(Zrozumiałe jest, że do szpitali dostali się tylko ci, którzy byli mniej zatruci i sami zdołali się wydostać poza obręb śmiertelnego działania fali gazowej. Prawdopodobnie były to jednostki bardziej odporne fizycznie na działanie trucizny, lecz główną masę obserwowanych stanowili bezwątpienia żołnierze znajdujący się w odwodach, poza pierwszą linią, tam gdzie koncentracja gazu była już słabsza.

Ciężko zatruci pozostali na placu boju i tam wprędce zmarli. W szpitalu według notatek autora zmarło w ciągu pierwszej doby — 11, w ciągu drugiej — 28, w ciągu trzeciej — 21, od czwartego do szóstego i pół dnia — 13, od siódmego do trzydziestego siódmego dnia — 49).

...Według stopniowania przyjętego w toksykologii gazów duszących, do rzędu których zalicza się chlor, przypadki obserwowane przeze mnie w szpitalu nie należą do kategorii najcięższych ostrych zatruc. Te ostatnie, jak to praktyka wojny wskazuje, kończą się śmiercią, w krótkim czasie na miejscu zatrucia wskutek albo gwałtownego skurczu głośni albo gwałtownego na całej przestrzeni obręku płuc. Ofiary tej kategorii tworzą w okopach te stosy trupów, o których wspominałem.

Zatrutych zaś, którzy wytrzymali ewakuację na odległość kilkudziesięciu kilometrów, należy zaliczyć do kategorii zatruc podostrych. Były to jednostki, które pozostały przy życiu dzięki większej indywidualnej odporności, czy też wskutek wypadkowo słabszej koncentracji gazu, która na nich działała naprzykład na wzgórzu i t. d. Obrzęk płuc, który powstawał jednak u pewnej liczby tych chorych, nie był ogólny, lecz częściowy i to minimum powierzchni oddechowej, która niezbędna jest do życia osobnika, pozostało wolne od obrzęku.

Jak wynika z zestawienia danych sekcij z obserwacją kliniczną, na całokształt objawów chorobowych u zatrutych chlorem składa się działanie dwóch czynników: działanie żrące chloru na nabłonek dróg oddechowych powodujące nieżyt ich, zapalenie toksyczne i obrzęk płuc oraz działanie chloru ogólne, wskutek przeniknięcia go do organizmu. To ostatnie wskutek małego obiegu krwi, powoduje głębokie zmiany osocza. Te zmiany osocza krwi, z których najbardziej zwraca uwagę nadmierna krzepliwość, bliżej jednak niezbadane, są przyczyną toksycznego zapalenia osierdza i formowania się w różnych naczyniach krwionośnych skrzepów powodujących w dalszym ciągu zatory i zawały.

Uszkodzona śluzówka dróg oddechowych jest łatwo dostępna dla zakażeń drobnoustrojami z jamy ustnej lub powietrza, z czego wynikają wtórne ciężkie nieżyty oskrzeli i zapalenie płuc.

Leczenie zatrutych każdy lekarz przeprowadzał, można powiedzieć, według własnej intuicji, gdyż nikt z nas nie przewidywał masowego zatrucia chlorem,znego zaledwie pobieżnie z doświadczeń nad zwierzętami. Wzorując się więc na leczeniu innych stanów chorobowych, podobnych z objawów do zatrucia chlorem,

zwalczałyśmy objawy najbardziej narazie groźne. Przedewszystkiem celem pozbycia się resztek gazu, które ulatniały się z ubrania zatrutych, oraz aby ulżyć dusznicy, dostarczaliśmy dużej ilości powietrza przez otwieranie okien i drzwi. W przypadkach groźnej dusznicy i sinicy stosowaliśmy upust krwi z żył, którego działanie było bezwzględnie dodatnie. Jako objawowe leczenie niedomogi sercowej, były stosowane zastrzyki kofeiny i kamfory, od porażeń płucnych środki wykrztuśne, lekkie narkotyki, okłady wilgotne, suche bańki i t. d. Morfiny z wielu względów nie stosowałem. Wlewania roztworu fizjologicznego wcale nie stosowałem, gdyż w przypadkach obrzęku płuc sądziłem, że byłby szkodliwy, w lżejszych zaś nie był potrzebny. Wdychania tlenu też nie używałem uważając, że byłby w każdym razie spóźniony i wątpliwy jako antidotum, zaś szkodliwy w przypadkach obrzęku płuc.

Po wyjaśnieniu znaczenia zwiększonej krzepliwości krwi zaczęliśmy stosować cytrynian sodu (wewnątrz 1 — 2 procentowy roztwór) jednak bez wyraźnych rezultatów. Podrażnienie oczu leczyliśmy zakrapianiem słabego roztworu kokainy. Leczenie powyższe, chociaż objawowe, jednak mam przekonanie, znacznie przyczyniło się do uratowania wielu ciężko zatrutych i sceptycyzm terapeutyczny lekarza z powodu braku leczenia swoistego, byłby przedwczesny.

P. S. Odcinek frontu rosyjskiego, który został zaatakowany chlorem 31.V.15 ciągnął się wzdłuż prawego brzegu rzeki Bzury i wpadającej do niej rzeki Rawki. Najbardziej północnym punktem zaatakowanego odcinka były wieś Sucha, południowym miejscowość Tartak Bolimowski. Odległość w prostej linii pomiędzy niemi wynosi 12 kilometrów. Miejscowości Jeżówka i Wola Miedniewska, z których otrzymałem pojedynczych chorych z wyraźnymi objawami zatrucia, leżą

przeciętnie o sześć — siedem kilometrów na wschód od pierwszej linii. Z tego można sądzić o olbrzymiej koncentracji gazu, użytego przez Niemców.

Dnia 12 czerwca tegoż roku Niemcy, widocznie zachęceni powodzeniem ataku z dnia 31.V ponownie wypuścili falę gazową chloru, tym razem na sąsiedni północny odcinek frontu, a mianowicie od m. Kozłów Biskupi do m. Sucha. Odległość w prostej linii pomiędzy nimi wynosi cztery kilometry.

Mam zanotowanych zatrutych z 23, 56 i 54 pułków strzelców syberyjskich oraz znowu z 218 pułku piechoty. Zdaje się, że dzięki atmosferycznym warunkom atak ten nie poczynił wojsku rosyjskiemu takich strat, jak uprzedni i nie przeniknął tak głęboko na tyły. Z tego ataku otrzymałem około trzydziestu lekko zatrutych. Objawy kliniczne były zupełnie te same, co i u zatrutych w pierwszym ataku.



WOJNA GAZOWA W KARYKATURZE.

Wojna współczesna.

— Jakże jeszcze na
rządzie mordercze mogą
zabierać ze sobą?

(Rys. N. Green Puck
nowojorski 1915 r.).

„ZNAKOMITY PROFESOR”.

Osobliwa opowieść o napadzie gazowym nad Rawką znajduje się we wspomnieniach oficera wywiadowczego Maxa Wilda. Osobliwa, ponieważ jest dokumentem mentalności pewnych sfer niemieckich, reprezentowanych tu przez profesora nie wymienionego z nazwiska, lecz niewątpliwie jest tu mowa o profesorze Haberze, inicjatorze i głównym kierowniku badań nad użyciem gazów trujących.

Wild opowiada.

— W działalności mojej, jako oficera wywiadowczego frontu, zdarzył się epizod, który do dzisiaj jeszcze jako najstraszliwsze przeżycie wojenne stoi w kalendarzu mych wspomnień. Mówię tu o pierwszym napadzie gazowym ze strony niemieckiej na froncie wschodnim, napadzie odbytym z powodzeniem ¹⁾. Bogu dzięki, że był jedynym, na który patrzyłem i w którym uczestniczyłem w szczególnych okolicznościach. Wcześniejszy napad gazowy nie miał powodzenia.

¹⁾ Jak wiadomo nie był to pierwszy napad gazowy, o czym Wild nie wiedział. O tym napadzie pod Przasnyszem (?) wspominaliśmy powyżej

Sam szef sztabu armji telefonował do mnie z zawiadomieniem, że następnego dnia odbędzie się napad gazowy przy Bolimowie. Otrzymałem zadanie zaprowadzić tam sławnego profesora, wynalazcę tego chemicznego środka wojennego i zdrowego a całego zpowrotem dostarczyć. Ostro powtórzył mi raz jeszcze generał, że osobiście jestem odpowiedzialny za życie i zdrowie słynnego człowieka, któremu w żadnym wypadku nie zdarzyć się nie może.

Nocą dotarłem do nacierającego korpusu. Profesor przybył nieco późno z Łodzi, lecz dość wcześniej, ażeby być obecnym przy przygotowaniu. Była „pomyślna” pogoda, wiatr dął w stronę nieprzyjaciela i butle z gazem znajdowały się już gotowe w czołowych okopach. Nasze oddziały opuściły je i nieco wtyłu oczekiwały „oczyszczenia” terenu. Lekki wiatr pociągał z zachodu do okopów nieprzyjacielskich, będących celem zatrucia.

Ja z profesorem znaleźliśmy się nieco na południu od „oczyszczanego” miejsca, skąd najlepiej dało się widzieć działanie gazów.

Jednocześnie rozpoczęła nasza artylerja ostrzeliwać granatami tyły nieprzyjacielskiej pozycji. Miało to na celu utrudnienie działania artylerji i zatrzymanie odwodów na czas, kiedy czołowe okopy będą „zadymiane”.

Tuż przed rozpoczęciem napadu profesor mówił ze mną bardzo uczenie o fizjologicznem działaniu wypuszczanych gazów. Zatrzęsło mnie i nie mogłem wytrzymać, aby nie powiedzieć:

— Wybacz pan profesor, lecz czyż nie jest rzeczą bestjalską w ten sposób mordować ludzi? Dotąd prowadzimy wojnę z Rosjanami jak ludzie z ludźmi. Teraz zaś zatrjuje się tych prostaków, wychowanych do walki bagnietem, trucizną, o której oni najmniejszego nie mają pojęcia.

Profesor milczał, a po chwili rzekł pobłaźliwie:

— Pan ma rację dla siebie. Ale w tej wojnie, kiedy cały świat z nami walczy, musimy wszelkie moralne wątpliwości odsunąć. Nie możemy postępować inaczej, jeżeli chcemy ocalić własnych ludzi.

Nie byłem wcale przekonany słowami profesora, miałem nieprzewyciężony wstręt do podobnego rodzaju walki. To, co w ten dzień jeszcze przeżyłem, pogłębiło to uczucie we mnie. Przez piekło prowadziła ta droga.

Kiedy osądzono, że gaz już podziałał na nieprzyjaciela i nacierającym oddziałom już nie zaszkodzi, wyruszyła nasza piechota. Szliśmy z profesorem z drugim rzutem natarcia. Wydawało się to całkiem bezpieczne, ze strony nieprzyjaciela nie padł ani jeden strzał, jego artylerja całkowicie zamilkła.

Gaz musiał dokonać swego dzieła.

Profesor kazał mi przeczuwać najgorsze, ale to, co zobaczyłem idąc tamtędy, to pobojuwisko będące rezultatem morderczej teorii — to była sama zgroza, która urągała wszelkiej ludzkiej fantazji. Ludzie zmagający się w śmiertelnej walce, wlekli się na czworakach i jak w obląkaniu rwali na ciele odzież. Jeden leżał, wszczerpiwszy palce w ziemię, drugi obok z szeroko rozwartymi żrenicami. W oczach jego tkwiło przerażenie przed niepojętem. Świszczące zatrute oddechy mówiły o niezmiernej męce konających. Niebieskie wargi, niebieskie to, co wcześniej białem było w oku, w kątach ust żółta piana. I nieopisana groza w twarzach! Czy to była jeszcze wojna? Czy też to było tylko prawdziwe oblicze wojny?

Nasi żołnierze musieli to samo odczuwać.

Widziało się, jak wzdłuż rosyjskich okopów zatruci Rosjanie zaściełali pole. Podejmowano ich z ziemi i od-

noszono wtył. To nie było natarcie, ale współczucie i pomoc dla haniebnie potraktowanego przeciwnika, dla umęczonego człowieka. Niektórych Rosjan odratowano.

Te akty litości były jedyną rzeczą, która mi w tym dniu nie pozwoliła zwątpić w ludzkość.

Pan profesor zachował w tych chwilach nieprzenikniony objektywizm nauki. Słuchałem półuchem, kiedy mi swoje uczone wywody o działaniu jadowitych gazów teraz na obiektach wyjaśniał.

— Tu, patrz pan, ma zaniebieszczone białko oczu! Typowe ciężkie zatrucie. Niestety, nie do uratowania!

Musnął przy tem mechanicznie dłonią policzek nieszcześliwego.

— Tak. Nie do uratowania.

I w dalszej drodze ciągle z tą samą spokojną pewnością.

— A ten! Kandydat do grobu... Niema co ratować... nie ma co. Możemy iść dalej.

Doszliśmy do rzeczki. Kilku chorych piło chciwie wodę.

— To błędne, co ci ludzie czynią. Każdy łyk zbliża ich do śmierci. Niech im pan to powie.

Napróżno! — chcieli zagasić płomień, który czuli w ciałach i gwałtem musiano ich odciągać.

— Chodźmy, panie profesorze, chodźmy, nie mogę dłużej patrzeć.

— Jeszcze chwilę.

Na drodze siedział rosyjski feldfebel. Nie mógł mówić, jakieś ostre świszczenie wydobywało mu się z płuc. Konwulsyjnie wyciągnął broń. Profesor obejrzał go.

— Hm, można jeszcze uratować. Ale niema tu niko-
go, aby go mógł zanieść.

— Możliwe, że go sam uniosę. Proszę mi pomóc.

Jak dziecko wziąłem ciężkiego mężczyznę na ramiona, objął mnie prawą ręką za szyję.

— Trzymaj się mocno — powiedziałem mu po rosyjsku.

Wyteżyłem wszystkie siły, aby to życie ludzkie uratować. Wkrótce charczałem podobnie jak Rosjanin, który bez przerwy wytrzeszczał na mnie przerażone oczy. Byłem u kresu swych sił, gdy go złożyłem na punkcie opatrunkowym. Tam poczęto go ratować, dano wdychać tlen i wkrótce oblicze Rosjanina nabrało innej barwy. Białka oczu znów stały się białe — był uratowany.

Obok niego szalał jakiś rosyjski kapitan, który wszelkimi siłami bronił się przeciw nałożeniu mu maski do oddychania tlenem, ale i jemu ten środek pomógł. Począł spokojnie oddychać.

— Dlaczego właściwie pan się tak bronił przeciw założeniu maski? — zapytałem go, kiedy zaczął oddychać już bez aparatu.

— Myślałem, że chcą mnie całkowicie zatruć.

Mojego profesora odszukałem w pobliżu rosyjskich rowów, które wspólnie obejrzelśmy. W powrotnej drodze zapytałem.

— Pan obserwował nie tylko ludzi, lecz i przyrodę panie profesorze, nieprawdaż? Liście zwiędły. Zieleń jest wyszana. Tak samo drzewa. Dokładnie można określić, jak wysoko doszedł gaz. Powyżej liście są zielone, poniżej szare, martwe. Bławatki są teraz czerwone. Żyto wpierv zielone i żółte teraz jest brunatne. Wszelkie życie jest zniszczone. Niech pan spojrzy na mój mundur, wszystkie metalowe części szerniały.

W dalszej drodze widzieliśmy grozę śmierci gazowej w jeszcze straszliwszej postaci. Nigdzie tchnienia życia.

Martwi oficerowie, martwi żołnierze, leżeli skurczeni jeden obok drugiego. W twarzach ich zastygła męka cierpienia. Śmierć zaskoczyła jednych czuwających, innych we śnie. Wszedłem na przedpiersie okopu i popatrzyłem przez lornetkę w stronę nieprzyjaciela. Leżeli tam ludzie, konie i znowu ludzie. Jakaś baterja chciała się ratować, lecz gaz nielitościwie powalił ludzi i zwierzęta podczas ucieczki.

— Czy pan nic nie słyszy? — zapytał profesor. Nie, nic nie słyszałem.

— Musimy wracać panie profesorze.

Myślałem o otrzymanym rozkazie, że mam profesora bezwzględnie cało doprowadzić zpowrotem. Kiedy schodziliśmy z przedpiersia okopu, usłyszałem charczenie dochodzące z pobliskiego zboża. Prosiłem profesora, aby poszedł naprzód, a sam zboczyłem chcąc zobaczyć, kto tam jest. Przełaziłem przez zaskie druciane, gdy zatrzymałem się przerażony. Przede mną siedział na słupku, opierającym się o zaskie, martwy Rosjanin — odziany w zimową odzież teraz w początku lata, w baski na głowie. Kolana zabitego tkwiły w dołku. Pośrodku czoła miał małą okrągłą czarną dziurę. Musiał się tu znajdować od wielu tygodni.

Z lekkim dreszczem poszedłem dalej. W zbożu czuć było jeszcze gaz, szczególnie, gdy przy przejściu łan się poruszał. Wokół słodki, mdły zaduch. Pośrodku żyta znalazłem siedzącego żołnierza rosyjskiego, który obiema rękami darł łodygi żytnie. Płuca jego ze strasliwym natężeniem pracowały. Gdy stanąłem przed nim podniósł na mnie oczy i ukrył głowę w ramiona.

— Nie bój się! Chcę ci pomóc! — rzekłem.

Chciałem przynajmniej donieść go do drogi, gdzie prawdopodobnie byli ludzie. Podniosłem go i z wielkim mozołem szedłem z nim przez gęste żyto.

O Boże! jakież ciężki był ten człowiek! I mnie samemu było tak dziwnie, tak słodko w ustach... czy ty nie jesteś także...? Lecz nie można tego człowieka tu pozostawić leżącego...

Czułem jak ze świstem wychodzi mój oddech... Przejęty trwogą porzuciłem Rosjanina i resztkami sił jak obłąkany pobiegłem przez zboże, aby dalej, aż do lasu, który widziałem przed sobą.

Dwóch ludzi wzięło mnie pod rękę, trzeci zarzucił mi maskę na twarz.

— To był najwyższy czas mój kochany, — rzekł lekarz. — Jak się pan czuje! — Opowiedziałem mu moją przygodę.

Feldfebel, którego przyniosłem na punkt opatrunkowy, przyszedł rozradowany.

— Pan mnie uratował. Będę panu całe życie dziękował. I moja rodzina będzie się za pana modlić.

Pocałował mnie w rękę i pokazał z dumą fotografię swej żony z trojgiem dzieci.

Mój profesor znalazł się także i dał mi dobrą radę na przyszły raz.

— Otwarcie się przyznam, panie profesorze, że podobnego dnia nie chciałbym raz jeszcze przeżyć. Gdybym mógł, wykreśliłbym go z mojego życia.

Był to dzień 12 czerwca 1915 roku ¹⁾.

Śpiesznie pożegnałem się z wielkim uczonym, który był bardzo sławny i któremu nie zazdroszczę sławy. W tym dniu miałem uczucie głębokiego wstępu i byłem szczęśliwy, kiedy znalazłem się znów w czystym powietrzu mego lasu nad Wisłą.

¹⁾ Wild mówi o trzech napadach gazowych pod Warszawą, Montyrm o dwóch, inne źródła niemieckie też tylko o dwóch. Istnieją polskie fachowe opisy zatruc z tych napadów, poczynione przez lekarzy warszawskich.

6 lipca podczas trzeciego napadu gazowego wydarzyło się nieszczęście. Tysiąc dwustu naszych żołnierzy padło ofiarą. Wiatr zmienił się i gazy uderzyły na własne okopy. Jak widać był to niepewny środek wojenny.

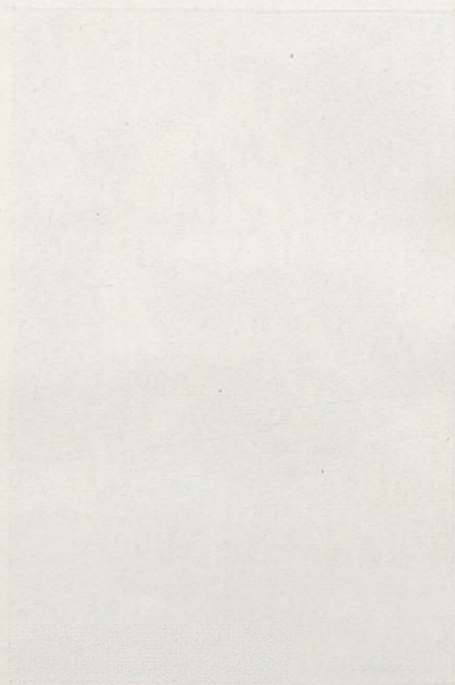
WOJNA GAZOWA W KARYKATURZE.



Bomby z gazem duszącym ludzkość. —
Czy są jeszcze jakieś granice „Kultury?”
(Daily Chronicle, Londyn 1915).



„Nettoyer” (oczyszczający rowy z zaczajonych w schronach nieprzyjaciół podczas szturm) z roku 1915. Uzbrojenie charakterystyczne dla tego okresu, zastosowane do walki wręcz w ciasnych rowach. Dla ochrony przeciw gazom — okulary i opaska na usta i nos. (Rysunek z *Sunday Tribune* 1915 r.).



THE
JOURNAL
OF
THE
ROYAL
ANTHROPOLOGICAL
INSTITUTE
OF GREAT
BRITAIN
AND IRELAND
VOLUME
LXXV
PART I
1945

ODPARCIE NATARCIA GAZOWEGO POD OSOWCEM.

24 lipca 1915 roku.

Niewielka twierdza Osowiec, znakomicie położona wśród bagien nad Biebrzą, dzielnie odpiera natarcia niemieckie. Przez wiele miesięcy komunikaty rosyjskie donoszą codziennie „Osowiec się broni!” Utrzymanie go, czy też zdobycie staje się do pewnego stopnia punktem honoru dla walczących stron. Najpotężniejsze środki techniki wojennej są tu stosowane ze strony atakujących, którym obrona przeciwstawia wytrwałość dowódców i męstwo żołnierza. Cnoty te pięknym tu zajaśniały blaskiem. Ani potworne działa, osławione 42 cm moździerzem, ani gaz nie zachwiały dowódcy obrony, generała Brzozowskiego(?)

Wreszcie Niemcy puszczają gazy. Jest to zaskoczenie zupełne. Przednia linja obrony jest niemal całkowicie wytruta. „Niemcy — donosi dowódca twierdzy — użyli aparatów do wypuszczenia trujących gazów. Gazy te o przerażającym działaniu *zabiły większość naszych żołnierzy* i spaliły całą roślinność na przestrzeni 15 kilometrów. Po wykonaniu napadu gazowego rozpoczął nieprzyjaciół potężny ogień artyleryjski, który zwiększył jeszcze jego skuteczność”.

Mimo to energia dowódcy nie dała się tem zachwiać. *Puszczają gazy, więc należy walczyć w gazach!...*

Twierdzę opuszczono dopiero na rozkaz Kwatery Głównej w związku z ogólnem cofnięciem frontu.

Jeden z uczestników obrony Osowca, B. Nikitskij, daje następujący ciekawy opis natarcia gazowego na twierdzę.

— Nie dało się Niemcom rozbić twierdzy Osowiec przy pomocy osławionych 42 cm moździerzy. Wówczas zdecydowali się wziąć forty szturmem, stosując gazy duszące.

W czasie tego natarcia czołową pozycję twierdzy na odcinku Białe Grądy — Sośnia zajmowało osiem kompanij, z czego trzy pospolitego ruszenia. W odwodzie pozycji stała jedna kompanja pospolitaków.

Naprzeciwko dwóch bataljonów rosyjskich Niemcy mieli około dwunastu. Do natarcia na odcinek Białe Grądy skierowali cztery bataljony, tyleż znajdowało się naprzeciw 1 i 2 pododcinka i trzy bataljony naprzeciw naszego lewego skrzydła w obszarze wsi Sośnia. Dla przygotowania szturm nieprzyjaciel ustawił powyżej trzydziestu baterij gazowych, składających się z kilku tysięcy butli.

Gazy wypuszczono rano, o godzinie 4. Gęsta chmura po 5 — 10 minutach dosięgła okopów rosyjskich. Gaz przeniknął wtył na odległość prawie dwudziestu kilometrów przy wysokości fali 10 — 13 metrów. W odległości 10 — 12 kilometrów działanie jego było już znacznie słabsze.

Garnizon zarządził wszelkie środki polecane dla walki z gazem, ale okazało się, że posiadane opaski przeciwgazowe na usta niewiele pomagają. Poza tem użycie ich w boju było trudne, wobec tego, że należało przytrzymywać tampon ręką celem mocniejszego przykle-

gania. Palenie pakul i słomy na przedpolu, wylewanie roztworu wapna również nie dało widocznego rezultatu.

Wskutek działania trujących gazów jako pierwsze ofiary padli żołnierze patroli zwiadowczych i czujki. Prawie wszyscy obrońcy 1, 2, 3, i w połowie 4-go pododcinka pozycji sośniańskiej zostali śmiertelnie zatruci, jak również duża część kompanji odwodowej.

Zniszczywszy przednie oddziały, jadowity gaz obezwładnił również załogę samej twierdzy, przenikając w szczelnie zamknięte pomieszczenia. Cała roślinność została spalona na przestrzeni ponad dwanaście kilometrów.

Działanie gazów częściowo zmniejszyły miejscowe warunki gleby i stan powietrza. Dzień był chłodny, wilgotny i mglisty. Gaz przechodząc nad błotem, rzeką i rowami odwadniającymi w dużej mierze rozrzedzał się, co uratowało załogę od olbrzymich strat.

Wnet po wypuszczeniu gazów czerwone rakiety dały sygnał do natarcia piechoty. Niemieckie baterje rozpozwały silny ogień na naszą całą pozycję i na twierdzę. Część artylerji strzelała pociskami gazowymi.

Pod osłoną ognia artylerji rozpoczęło się natarcie piechoty. Na przodzie posuwali się zwiadowcy — po dwustu z każdego pułku. Wślad za nimi szły dwa gęste łańcuchy tyraljerskie szturmujących oddziałów. Szybko osiągnęli Niemcy najbardziej wysunięty 1-szy pododcinek pozycji. Tu przy karabinie maszynowym zostało dwóch żywych żołnierzy, ale osłabieni gazem nie mieli siły rozpocząć ognia i zginęli w swem gnieździe.

Prześciągawszy szybko przejścia w trzech pasmach drutów kolczastych, Niemcy zajęli pozycję 1-go pododcinka i przeniknęli ze skrzydła na 2-gi pododcinek, również prawie zupełnie pozbawiony obrońców.

Jednocześnie nieprzyjaciel bez żadnego sprzeciwu

z naszej strony zajął wieś Sośnię, ale tu stracił od swego gazu około tysiąca ludzi. Jeden jedyny karabiniarz, który tu pozostał przy życiu, zdążył wystrzelić na bliską odległość do nieprzyjaciela dwie taśmy nabojów. Padł na swym karabinie maszynowym, nie zdążywszy założyć trzeciej.

Na całej pozycji, na południe od wsi Leonów, pozostał w naszych rękach 3-ci pododcinek, który mniej ucierpiał od gazów. Otoczony ze wszystkich stron, nie przestawał bronić się ogniem strzelców i karabinów maszynowych.

Czołowe oddziały niemieckie, idąc wzdłuż toru kolejowego, ukazały się już przed okopami odwodu. Pododcinek Białe Grądy, gdzie pozostało żywych dwudziestu ludzi z dwoma karabinami maszynowymi, odrzucił wszystkie natarcia nieprzyjaciela, a usiłowania Niemców oskrzydlenia tej pozycji z północy zostało sparaliżowane przez kompanję zwiadowców, wysłaną z pozycji sąsiedniego pułku, ze wsi Budy.

W tym czasie artylerja forteczna rozpoczęła silny ogień zaporowy. Rozproszył on tylne łańcuchy szturmujących i odciął oddziały przeciwnika, które wtargnęły w nasze pozycje z tyłu. W ten sposób przeciwnatarcie garnizonu zostało ułatwione.

Do przeciwnatarcia użyto 13, 14 i 8 kompanję Ziemiańskiego pułku piechoty. Pierwsza z nich atakowała wzdłuż linii kolejowej. Uderzeniem na bagnety zmiotła napotkanych Niemców i przy pomocy 8 kompanji owładnęła zpowrotem 1-ym i 2-im pododcinkiem. W rękach nieprzyjaciela pozostał jeszcze punkt oporu przy dworze Leonów, przygotowany przez Niemców dla obrony przeciw twierdzy.

Przeciwnatarcie rosyjskie nie mogło iść szerokim frontem z powodu zagród kolczastych. Trzeba było nacierać, posuwając się rowami łącznikowymi, prowadzić

walkę okopową, używając granatów ręcznych. Dla przyspieszenia działań na dwór Leonów skierowano ogień dziewięciu ciężkich i dwóch lekkich bateryj, a z Białych Grądów i z 1-go pododdziałka strzelano ogniem karabinów maszynowych na nieprzyjaciela.

Wkrótce Niemcy, którzy byli w okopach, zostali wybici i cała pozycja 1-go pododdziałka przeszła zpowrotem w nasze ręce. Jednocześnie 14 kompanja odebrała Sośnię. W ten sposób o godzinie 11, to jest w siedem godzin po rozpoczęciu natarcia gazowego, szturm został odparty i utracone części pozycji odzyskane.

Główne przyczyny odparcia ataku, oprócz męstwa załogi, były 1) wytrwałość obrońców 3-go pododdziałka, którzy nie zwracając uwagi na otoczenie ich przez Niemców, bronili się uporczywie, i w ten sposób rozcięli atakujących na dwie oddzielne grupy; 2) odparcie natarcia na Białe Grądy, co się powiodło dzięki pomocy sąsiedniego pułku z Bud, który nie dozwolił na oskrzydlenie pozycji; 3) rozpoczęcie we właściwym czasie ognia zaporowego przez artylerję, który pozbawił nieprzyjaciela pomocy odwodów w chwili przeciw, natarcia; 4) umiejętne wykorzystanie ognia artylerji celem zdobycia punktu oporu przy dworze Leonów.

W WINNICACH SZAMPANJI.

W październiku 1917 roku Niemcy wykonali kilka napadów gazowych w Szampanji na wschód od Reims przy forcie Pompelle, na styku IV i V armji francuskiej. Obaj dowódcy tych armij dali cenne sprawozdania, które przytaczamy.

Front natarcia wynosił 17 kilometrów. Niemcy zużyli w dniach 19 i 20 października 500 tonn chloru zmieszanego z fosgenem. W obu dniach wiał słaby wiatr, około 3 metrów na sekundę.

Straty w ludziach były duże.

General de Langle de Cary, dowódca IV armji do dowódcy grupy armij.

Sprawozdanie.

W dniu 19 października Niemcy nacierali na odcinek 60 dywizji piechoty, używając przy tem dużych ilości trującego gazu. Natarcie miało o tyle powodzenie, że nieprzyjaciół przeniknął w niektórych miejscach do redut pierwszej linii, skąd wyrzuciły go oddziały dywizyjne. O godzinie 17 akcja ta została zakończona i w całości odzyskaliśmy utracone części okopów.

Okolo godziny 7 nieprzyjaciół rozpoczął ostrzeliwać silnie front dywizji i prawie natychmiast fala trującego dymu przeszła przez nasze linje i posunęła się aż

do drogi z Chalons do Reims. Sądzone, że Niemcy strzelają pociskami z gazem duszącym, lecz jest teraz rzeczą pewną, że nieprzyjaciel przygotował na całej linii swych okopów specjalne aparaty do wypuszczania gazu. Trujące obłoki wychodziły gęstymi kłębowami z różnych punktów okopów nieprzyjacielskich i ogarniały szybko nasze pozycje, płynąc jako zielonawe chmury o wysokości 3 — 4 metrów, wydzielające silny zapach chloru. Z powodu mgły nie było widać punktów wysyłania gazów.

Nasi ludzie natychmiast włożyli tampony i okulary, oficerowie nakazali strzelać salwami i zażądali ognia artylerji na okopy nieprzyjacielskie.

Wszędzie, gdzie z naszej strony nastąpił gwałtowny ogień, wydzielanie gazu zmniejszyło się. W kilku ośrodkach oporu, gdzie stały oddziały terytorjalne, zdaje się, że oficerowie nie zastosowali tego środka ostrożności — oddawania salw przez żołnierzy, i w tych ośrodkach gaz trujący poczynił spustoszenia. Wielu ludzi odrazu zostało zatrutych i niezdolnych do działania.

Wszyscy ludzie posiadali tampony i okulary, ale pułki terytorjalne posiadały tampony starego typu, nasycone obecnie używanym roztworem chemicznym.

O godzinie 8.30 nieprzyjaciel przerwał wypuszczanie gazu i rozpoczął natarcie. Nie jest jeszcze rzeczą możliwą ustalić skład atakujących oddziałów, lecz wydaje się, że ograniczały się one do jednostek 14 korpusu niemieckiego.

Według zeznań jeńca, atak miał być wykonany na występ przy Marquises a mianowicie na punkt oporu Vidalet przez dwa bataljony 112 pułku i sześćdziesięciu pionierów. Oddziały te miały być zaalarmowane 19-go o godzinie 5, i podsunięte aż do okopów pierwszej linii, skąd wyszły do natarcia na nasze pozycje.

Natarcie nastąpiło na odcinku trzymanym przez 199 brygadę terytorjalną i 119 brygadę (60 dywizja piechoty).

Rezultat wiadomy, o godzinie 17 cały stracony teren został odzyskany.

Straty znane 20-go do godziny 16 wynosiły 492 ludzi, z których 69 rannych, a pozostali zagazowani. Spędzili oni dzień 19-go w ambulansie w Thuizy. Ucierpiał szczególnie 248 pułk, który miał: 8 zmarłych z zatrucia gazem i 1 zabitego, 3 rannych, 200 zatrutych.

General de Langle.

W y d a r z e n i a w d n . 1 9 i 2 0 p a ź d z i e r n i k a
1 9 1 5 r o k u .

D o w ó d c a V a r m i i d o w o d z a
n a c z e l n e g o .

19 października o świcie i 20 po południu nieprzyjaciół wykonał dwa nagłe natarcia z zastosowaniem gazu trującego na odcinku między Marquises i Reims. Oba ataki, poprzedzone długotrwałym wypuszczeniem fali gazowej na pierwszą linię i ogniem zaporowym z pocisków trujących na nasze tyły, miały raczej charakter próby zaskoczenia niż szturm. Nieprzyjaciół zamierzał widać przeniknąć w nasze pozycje i zniszczyć tam urządzenia obronne po uprzednim zatruciu załogi i zniweczeniu gniazd flankujących karabinów maszynowych.

Środki zapobiegawcze przyjęte przeciw natarciu gazowemu, opór naszej piechoty i ogień zaporowy naszej artylerji przeszkodziły mu w tem. Zaatakowany odcinek był trzymany przez 38 korpus. 97 dywizja terytorjalna zajmowała przestrzeń od Marquises do fermy Alger wyłącznie, dalej na lewo za nią stała 52 dywizja piechoty.

Front dziewięciu kilometrów w pierwszej linii obsadzało osiem bataljonów.

Co do nieprzyjaciela nie da się ocenić, jakie siły wyznaczył do natarcia, ponieważ ograniczyło się ono do kilku punktów frontu. Możliwe, że oddziały odwodowe czekały w pobliżu na wykorzystanie powodzenia, po gwałtownem bombardowaniu i wypuszczeniu wielkiej fali gazowej. Jednak nie rozwinęły się one do natarcia.

19 października nieprzyjaciel rozpoczął działania o świcie. Dał lekki wiatr z północy i dość gęsta mgła sprzyjała użyciu chloru. Na froncie armji fala gazowa na lewo nie przekroczyła fermy Jouissance. Na prawo natomiast rozciągnęła się daleko na odcinek 4-ej armji. Gwałtowne lecz mało skuteczne bombardowanie towarzyszyło temu puszczeniu gazów.

Wystąpienia piechoty nieprzyjacielskiej między Marquises i Sillery miały charakter zwykłej demonstracji. Bardziej zdecydowanie przedstawiały się działania przed fermą Alger. Wszystkie one nie powiodły się Niemcom. Zwłaszcza przy fermie Alger nieprzyjaciel wychodzący ze swych stanowisk został przetrzebiony przez ogień naszej artylerji (włączając działa okopowe 58), karabiny maszynowe i ogień strzelców.

Część Niemców miała na plecach skrzynki, były to albo aparaty tlenowe, albo też miotacze ognia, służące do oczyszczania okopów.

Rozpoczęta o godzinie 7.15 akcja ta skończyła się o godzinie 9.

20 października nieprzyjaciel rozpoczął natarcie o godzinie 16.

Fizjognomja natarcia była następująca.

1. Żywa strzelanina (karabinów powtarzalnych i maszynowych) rozpoczęta przez nieprzyjaciela między Cernay - les - Reims i Bois des Zouaves z zamiarem przytłoczenia ogniem naszej piechoty.

2. Wypuszczenie fali gazowej na tym odcinku.
3. Gwałtowny ogień artylerji, szczególnie z dział 210 mm na Pompelle i sąsiednie okopy.
4. Zastosowanie zapory ciągłej z pocisków trujących na wszystkie możliwe drogi dojścia naszych posiłków (szosy, mosty na kanałach i t. p.).
5. O zmroku wyszło na całym odcinku kilka silnych patroli nieprzyjacielskich, kierując się ku naszym pierwszym linjom z zamiarem raczej rozpoznania niż ataku.

Naprzeciw zaś fermy Alger nieprzyjaciół serjo próbował trzy razy nacierać.

Wtedy za każdym razem rozpoczynano ogień zaporowy, zwalczające artylerję nieprzyjacielską. Piechota i karabiny maszynowe utrzymały się na miejscu pomimo gazu.

Nieprzyjacielowi nie powiodło się nigdzie wejść do naszych okopów.

Walka skończyła się o godzinie 20.

Z użycia gazów trujących przez nieprzyjaciela i rodzaju ataku przez niego zastosowanego wynika, że liczył on bezwątpienia na zniszczenie naszych oddziałów pierwszej linii przez zatrucie. Wobec tego mniemał, że będzie mógł wtargnąć do naszych okopów wycinając kilka przejść w jeszcze nietkniętych zasiekach kolczastych.

Zamiar ten nie powiódł mu się, ponieważ oddziały pierwszej linii utrzymały swe stanowiska dzięki tamponom, okularom, pulweryzatorom Vermorela, w które były zaopatrzone. Następnie ponieważ artylerja była w stanie utrzymać stałą zaporę przed pierwszą linią i karabiny maszynowe flankujące działały bardzo dobrze.

Bombardowanie przyczyniło nam niewielkie straty—około setki ludzi.

Natomiast gaz trujący powodował poważne szkody i to często w kilka godzin po bombardowaniu.

Dzisiaj, 22 października, liczba ewakuowanych dosięgnęła 3.800 ludzi, z czego 47 oficerów. 280 zmarło bądź niezwłocznie bądź też później w zakładach sanitarnych.

Najbardziej ucierpiały oddziały znajdujące się w trzeciej linii, zajęte pracami obronnymi, względnie urządzeniem schronów. Nie miały one masek pod ręką.

Poza tem pewna ilość ludzi uległa zatruciu, wróciwszy do schronów w kilka godzin po przejściu fali gazowej.

Jest rzeczą konieczną wymagać, aby ludzie nosili swój przyrząd ochronny stale ze sobą.

Następnie należy zaopatrzyć gniazda karabinów maszynowych i kazamaty artylerji w aparaty tlenowe.

Jest również rzeczą niezbędną mieć kilka pulweryzatorów do skrapiania i oczyszczania okopów i schronów, ponieważ gaz pozostaje w nich przez kilka godzin.

Wreszcie trzeba przewidzieć pewną ilość zapasowych tamponów na pododcinkach, ponieważ tampony zużywają się szybko i tracą gwałtownie swą skuteczność po upływie pół godziny.

Strat nieprzyjaciela nie da się obliczyć. Pewna ilość trupów znajduje się zaczepiona wśród sieci drutów kolczastych. Nasze gwałtowne bombardowanie musiało też przynieść nieprzyjacielowi straty. Jeńca nie wzięto.

Oddziały sprawiały się dobrze. Oficerowie nie szczędzili się osobiście, wielu z nich, zmuszonych zdjąć maski, uległo ciężkiemu zatruciu.

97 dywizja terytorjalna złożona z ludzi starszych, o mniejszej odporności fizycznej, mimo to trzymała się dzielnie. Co do 117 pułku terytorjalnego i 215 pułku piechoty opierały się one twardo natarciu niemieckiemu na fermę Alger.

General Bizot, dowódca 97 dywizji terytorjalnej, jest lekko ranny odłamkiem pocisku.

Podpułkownik Nanta, dowódca 118 pułku terytorjalnego, jakkolwiek ciężko zatruty, nie pozwolił się ewakuować.

Reasumując — front został w całości utrzymany. Opór był energiczny i obrona dobrze prowadzona, lecz oddziały zostały wystawione na ciężką próbę.

97 dywizja terytorjalna została niezwłocznie zluzowana przez 126 dywizję piechoty. Po wypoczynku wróci na front.

General Franchet d'Espérey.

WOJNA GAZOWA W KARYKATURZE.



— Jakto, pięćdziesiąt franków za fotografję?

— Czy pani wie, jak zdrożały chemikalja z chwilą kiedy je zaczęto używać do gazów duszących?

(Pasquiono, Turyn, 1915 r.).

RAPORT O OKOLICZNOŚCIACH, W JAKICH ZOSTAŁ WYKONANY W DNIU 27 PAŹDZIERNIKA NAPAD GAZOWY NA FRONCIE IV ARMJI I JEGO NASTĘPSTWA.

Dowódca IV armji do Wodza Naczel-
nego. 31 października 1915 r.

I. Położenie ogólne przed atakiem.

Front natarcia (las Vidalet) był trzymany:

— Ośrodek F, G, H przez oddziały 120 brygady, które były już w natarciu gazowym w dniu 19 i 20 października.

— Ośrodki I, K, M zajęte były przez osiem spieszonych szwadronów i dwanaście drużyn karabinów maszynowych 7 dywizji kawalerji, przybyłych na odcinek nocą, oraz jeszcze cztery kompanje 100 dywizji terytorjalnej, znajdujące się na miejscu od kilku dni.

— Ośrodek N, zajęty przez oddziały 119 brygady, które były atakowane również w dniach 19 i 20 października.

Bogate w doświadczenie, zdobyte w tych natarciach, oddziały 60 dywizji piechoty miały się na baczności. Wszyscy byli przygotowani na atak gazowy, każdy

żołnierz nosił przy sobie, zaczepiony na guziku munduru, przyrząd ochronny w dobrym stanie i wiedział dokładnie, jak go użyć. Lekarze mieli na ten temat pogadanki i codziennie sprawdzali stan przyrządów.

Nie było tak jednak w 7 dywizji kawalerji. Zaledwie przybyli na odcinek, zmęczeni uprzednim marszem wieczornym, kawalerzyści nie byli przygotowani do odparcia tak szybkiego napadu gazowego.

Wszyscy jednak mieli przyrząd ochronny i wiedzieli, jak się z nim obchodzić. Ćwiczenia praktyczne i pogadanki na ten temat, nakazane specjalną instrukcją przez dowódcę korpusu, generała Mitry, były wykonywane codziennie od dnia 24 października począwszy.

Pułkownik, dowódca 7 pułku dragonów, dowódca oddziału, otrzymał od swego poprzednika wszystkie niezbędne wskazówki i podczas kilku godzin, któremi rozporządzał, uczynił to, co mógł, dla przygotowania obroty przeciwgazowej.

Niemniej jednak wydaje się, że użycie aparatu Vermorela nie było zbyt dobrze znane wszystkim kawalerzystom.

II. Warunki natarcia.

Około godziny 2.30 w nocy obserwatorzy 120 brygady usłyszeli wyraźnie hałas w okopach niemieckich i dostrzegli małe kłęby dymu, wznoszące się z nich pionowo ku niebu, zwłaszcza w Bois Banal i na wzgórzu 260.

Pułkownik, dowódca tej brygady, zawiadomiony niezwłocznie zaalarmował swój odcinek i zawiadomił sąsiadów.

Oddziały 60 dywizji znajdujące się na prawo i na lewo od kawalerzystów miały się na baczności.

Pogoda była chmurna, wilgotna. Z północnego zachodu dał lekki wietrzyk. Dość gęsta mgła o świcie przeszkadzała widzieć wyraźnie okopy nieprzyjacielskie.

Okolo godziny 7, nie jeszcze nie widząc, ani nie słysząc, pułkownik, dowódca 7 pułku dragonów, dał rozkaz, aby jego zmęczeni ludzie udali się do schronów na odpoczynek.

Okolo godziny 9 rozpoczęli Niemcy pierwszy atak. Z powodu mgły nie dało się dobrze określić punktów wyjściowych gazu. Chmura nie była ciągła i miała przerwy stumetrowe. Wiatr posuwał ją łagodnie na południowy wschód.

Nieprzyjaciel wypuszczał gaz trzykrotnie. Ostatnią falę o godzinie 10.15. Piechota nie nacierała.

Przy ostatniej fali gazowej wiatr gwałtownie wykreślił, powiał z zachodu i pchnął trujący obłok na wschód. Wydaje się, że część tego obłoku poszła na okopy nieprzyjacielskie. Niemcy natychmiast przerwali dalsze wypuszczanie gazu.

Z chwilą alarmu w 120 brygadzie uczyniono wszystko, co należy, dla zabezpieczenia się przeciw napadowi gazowemu. Dlatego, chociaż straty były bardzo poważne, zostały one jednak względnie zredukowane (4 oficerów i 80 żołnierzy zagazowanych).

Podczas napadu wszyscy musieli pozostać na swych stanowiskach. Straty powstały wskutek tego, że niektórzy żołnierze zdjęli maski za wcześnie, bezpośrednio po przejściu ostatniej fali gazowej. Następnie zostali zaskoczeni napadem kucharze, gdyż zmuszeni do chodzenia po rowach, nie usłyszeli w porę sygnału alarmowego, a oprócz nich jeszcze oficerowie i podoficerowie, którzy uchyłali tampony z ust przy wydawaniu głosem rozkazów i zarządzeń.

Oddziały 119 brygady nie były atakowane przez gaz. Nieprzyjaciół rzucił na ich odcinek tylko kilka wielkich min z gazem łzawiącym, które nie spowodowały żadnej szkody.

Inaczej przedstawia się położenie na froncie 7 dywizji kawalerji. Niesprzyjająca pogoda sprawiła, że nie dało się na czas zarządzić niezbędnych środków ochronnych. Większość ludzi spała w schronach i rowach. Obserwatorzy nie zdali sobie sprawy z nadejścia fali gazowej i sądzili poprostu, że mgła wisząca nad polami od rana zgęstniała. Oprócz kilku ludzi, przeważnie z karabinów maszynowych, którzy przezornie założyli maski czy też tampony, wielu kawalerzystów pomyślało o tem za późno, to jest wtedy, kiedy poculi, że powietrze jest zepsute. Pozostali wreszcie i to najliczniejsi, uśpieni w schronach, do których spływał ciężki gaz. Ludzie ci byli już ciężko zatruci w chwili obudzenia się. Budzili się bowiem wskutek braku powietrza, a więc wtedy, kiedy się dusili.

Nikt jednak nie myślał o opuszczeniu okopów. Brak paniki i ogólny spokój sprawił bezwątpienia, że klęska nie przybrała większego rozmiaru.

Jakkolwiek późno, jednak i na tym odcinku zarządzono odpowiednią akcję przeciwigazową. Zapalono przygotowane liczne stosy drzewa, rozpoczęto strzelaninę karabinową, zażądano ognia artylerji, która go niezwłocznie dała. Gaz miał już jednak dość czasu (około kwadransu), aby rozpocząć swą niszczącą działalność.

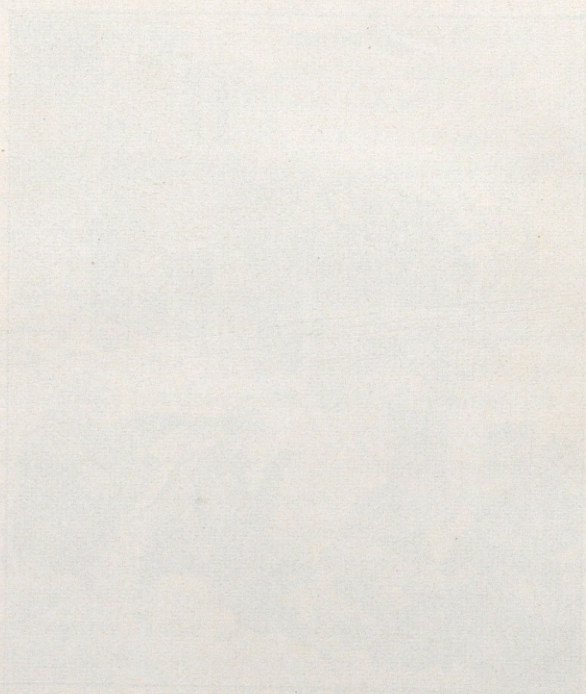
Gwałtowną śmiercią zginęło kilku oficerów i podoficerów, którzy zdjęli maski i tampony dla wydania rozkazu, względnie telefonowania. Wielu ludzi nieprzyzwyczajonych do dłuższego przebywania z tamponem na ustach i nosie, sądziło, że od czasu do czasu mogą go uchylić dla łatwiejszego zaczerpnięcia powietrza.



Drużyna francuska w maskach w 1916 roku.

Eigentum
Heeresarchiv - Zweigstelle
Danzig

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
1100 EAST 58TH STREET
CHICAGO, ILL. 60637
TEL. 773-936-5000



UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
1100 EAST 58TH STREET
CHICAGO, ILL. 60637
TEL. 773-936-5000

III. *Następstwa i spostrzeżenia.*

Straty 7 dywizji kawalerji wynoszą:

stan oddziałów		straty	
kawalerja 1348	piechota 494	kawalerja 530	piechota 150
1842		680	

Z tych 680 zmarło 107, a 50 było poważnie chorych w chwili pisania raportu.

Oprócz wyżej wymienionych przyczyn tych ciężkich strat, wymienić należy jeszcze niedoskonałość środków ochronnych, która dużą rolę w tych wypadkach odegrała.

Wielu żołnierzy zatrutych zostało poważnie, chociaż mieli oni przyrząd ochronny w dobrym stanie (tampon i okulary) i założyli go dobrze we właściwym czasie. Niemniej jednak odczuli szkodliwe działanie gazu.

Następnie doświadczenie wykazało, że po przebywaniu przez godzinę w zatrutej atmosferze, przyrząd zabezpieczający całkowicie tracił swą skuteczność.

Okazało się przytem, że pewne ilości gazu, mimo powyższych środków ochronnych, pozostają w powietrzu długo po ich wypuszczeniu i w niewielkich nawet ilościach są szkodliwe przez kilka godzin.

Żołnierze powinni więc mieć przyrząd, który zabezpieczy ich na te godziny. Istniejący dzisiaj jest bardzo niewygodny.

Mimo całej pilności i wprawy, którą żołnierz nabywa w zakładaniu tego przyrządu, trudno go dobrze umieścić bez pomocy towarzysza.

Poza tem najmniejszy ruch przesuwając tampon i narażając człowieka na oddychanie otaczającym go zatrutem powietrzem.

Działając jak prawdziwy knebel — tampon utrudnia wkrótce samą czynność oddychania. Trzeba mieć wyjątkowo silną wolę, żeby nie szukać ulgi przez odchylenie czy też przesunięcie tamponu.

Wreszcie należy dodać, że konstrukcja tego przyrządu czyni go bardzo wrażliwym i trudnym do przechowania w warunkach, w jakich przebywa żołnierz w okopach.

General de Langle.

WOJNA GAZOWA W KARYKATURZE.



Nowe ćwiczenie przy nauce żołnierza.

Sierżant: — Kompanja... wdech..., wydech... wdech... wydech:

(Punch, Londyn 1915).

W r. 1915 uważano podobne ćwiczenia za godne śmiechu, obecnie nikt się już z nich nie śmieje.

PIERWSZYCH DWADZIEŚCIA TYSIĘCY.

Wyprodukowanie indywidualnych przyrządów ochronnych przeciw gazom nie było rzeczą łatwą. Dwa lata minęło, zanim ustalono typ maski indywidualnej. Pierwsze użycie gazu nastąpiło w początku 1915 roku, a w 1917 roku, gdy Amerykanie zabrali się do fabrykacji masek, napotkali na poważne trudności, które opisuje pułkownik Barrely. A przecież już korzystali z doświadczeń angielskich i francuskich. Dowodzi to, jak konieczną jest rzeczą drobiazgowo przygotowanie do wojny. Naród, który nie zaopatrzy swego wojska dość prędko w odpowiednią maskę, narażony jest na klęskę.

...W początku maja 1917 r. amerykańskie Biuro Badań otrzymało terminowe zamówienie wykonania dwudziestu tysięcy masek do wysłania za ocean. Nie było to zamówienie duże, a my, nie biorąc pod uwagę trudności, na jakie się napotyka przy fabrykacji masek, przyjęliśmy je chętnie. Od tej chwili rozpoczęła się wojna z fabrykantami puszek, sprzączek, tasemek, gumy, okularów, pochew i t. p. Rozmawialiśmy z różnymi firmami na całej przestrzeni kraju od Atlantyku do rzeki Missisipi, które były zdolne do podjęcia się dostarczenia części masek w określonym czasie.

Węgiel drzewny z cedru miało przygotować Chemiczne Towarzystwo Dey i Westlayne z Pensylwanji, inne chemikalja Powszechne Towarzystwo Chemiczne, futerały — Simons Harwerw w St. Louis, części gumowe — Gumowe Towarzystwo Hudrycza w Akronie, puszki — Amerykańskie Towarzystwo Pudełkowe.

Autor niniejszego artykułu nie może opisać wszystkich wątpliwości, strachu, optymizmu i radości, kolejno przeżywanych przez różnych członków organizacji przy wykonaniu tych pierwszych dwudziestu tysięcy masek. Noce zamienione zostały w dzień. Niektórzy z naszych inżynierów nie wychodzili z pociągów i z taką łatwością telefonowali z Waszyngtonu do St. Louis czy Bostonu jakby mówili ze stacją miejską.

Spodziewaliśmy się, że w niejednym ulepszymy maskę angielską. Zwiększyliśmy puszkę, a później żałowaliśmy tego. Zrobiliśmy próbę z chlorem, fosgenem i t. d., i otrzymaliśmy pożądane unicestwienia tych gazów. Ale niestety nie wiedzieliśmy, że chloropikryna stała się już jednym z najczęściej używanych gazów przez obie wojujące strony. Następnie nie doceniono, że tkanina gumowa, osłaniająca twarz, powinna być bardziej nieprzenikliwa dla gazów i że masa izolacyjna powinna być na tyle silnie sprasowana, aby wytrzymywała wstrząsy i okrucy jej nie zatykały pochłaniacza, uniemożliwiając przez to oddychanie. W tym czasie nikt ze sprzymierzonych nie rozumiał jeszcze, że maska powinna być sprzętem bojowym, w którym żołnierz mógłby pracować, biegać i nosić go godzinami bez większego zmęczenia.

Tych pierwszych dwadzieścia tysięcy masek wykonaliśmy prędko. W porównaniu z francuskimi, okazało się, że są w lepszym gatunku, lepiej chroniły od chloru, fosgenu, i t. d. Przez francuskie maski chloropikryna przenikała z szybkością pocisku. W chwili wy-

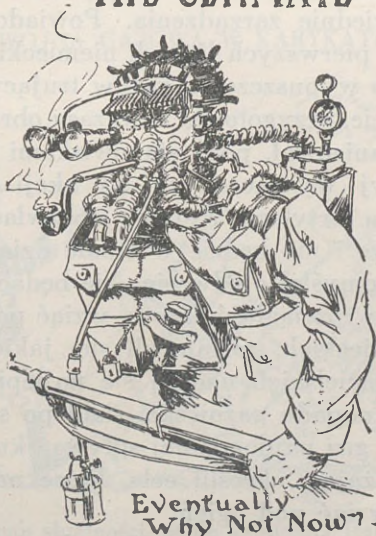
syłania masek otrzymaliśmy niepokojące słuchy o użyciu chloropikryny w dużych ilościach.

Po wysłaniu masek zagranicę z nerwowym niepokojem oczekiwaliśmy oceny. Wreszcie nadeszła. Krótki kablogram mówił, że nasi angielscy bracia myślą o nas. Pracowali oni nad tem zagadnieniem już $2\frac{1}{2}$ roku. Gorzkim doświadczeniem, na polu wojny zdobytem, doszli do przetworzenia kiepskich masek w lepsze, znali ich historję lepiej od nas i po zasadniczem wypróbowaniu, niemiłosiernie skrytykowali typ naszej maski.

To niepowodzenie stało się bodźcem do pracy dla naszego Biura Badań.

WOJNA GAZOWA W KARYKATURZE.

THE ULTIMATE



1. W przyszłości.
2. A dlaczegożby nie obecnie?
(dowcip amerykański z 1918 r.).

POD VERDUN.

Źle jest, kiedy nieprzyjaciel dowie się o planowanym natarciu gazowym. Tak było w listopadzie 1915 r. pod Verdun. Generał Dubail, dowódca grupy armji Wschód, meldował o tem wodzowi naczelnemu.

— Zameldowano mi o groźbie niemieckiego natarcia gazowego, co wywołało z naszej strony koncentrację ognia artyleryjskiego na lewym brzegu Mozy, w okolicy Forges, Bethincourt. Dowodzący tam generał Herr wydał odpowiednie zarządzenia. Powiadomiony przez jeńców, że w pierwszych linjach niemieckich ustawione są aparaty do wypuszczenia gazów trujących i że atak nastąpi o świcie, przygotował zawczasu obronę. W szczególności zorganizował, poza stanowiskami artylerji, zaporę z baterij wyznaczonych do akcji w razie, gdy pierwsza linja artylerji zostanie obezwładniona przez pociski gazowe i nie będzie w stanie działać.

Poza tem pomyślał o odwecie. Nie będąc w możności, ze względu na rozciągłość frontu, wziąć pod ogień całości linij niemieckich, zastanowił się, jakie części okopów nieprzyjacielskich nadają się najlepiej do wykonania z nich napadu gazowego, skąd po stokach i wąwozami może gaz najdogodniej spływać ku nam. W ten sposób rozważając, określił cele, które należy przede wszystkim wziąć pod ogień.

Podobna organizacja przygotowania przeciwgazowego powinna być stosowana ogólnie, dlatego nakazałem swoim armjom:

1. Zbadać i określić części odcinków najbardziej narażone na atak gazowy.

2. Uprzedzać groźbę, wzmacniając w punktach niebezpiecznych zapory artyleryjskie, gniazda karabinów maszynowych (które bezwzględnie powinny wytrzymać przejście fal gazowych) i w razie potrzeby tworzyć nowe stanowiska flankujące. Zbędne jest dodawać, że na tych odcinkach przyrządy ochrony zbiorowej i indywidualnej powinny być w komplecie i żołnierze z nimi obznajmieni. O tem trzeba się często upewniać.

Dla wykonania napadu gazowego nie tylko trzeba go długo i pilnie przygotować, ale trzeba znać odpowiednie warunki atmosferyczne. Przekonał się o tem z przykrością znany obrońca twierdzy Verdun, generał Pétain, o czem melduje swemu dowódcy.

WOJNA GAZOWA W KARYKATURZE.



— Niema pan słuszności, panie kapitanie. Jestem przekonany, że najlepsze uspokajające działanie będzie miała lewatywa przy pomocy tego nadzwyczajnego aparatu.

(Rys. Radiget 1915 r.).

NIEPOWODZENIE.

General Pétain, dowódca II armji do
dowódcy grupy armij.

Mam zaszczyt przedstawić raporty odnoszące się do przygotowania natarcia gazowego w obszarze wzgórza Têtu.

Z raportów tych wynika, że niepowodzenie operacji należy przypisać nie pogodzie, która bez przerwy od drugiej połowy listopada panuje w Szampanji.

Z drugiej strony, raporty oficerów technicznych ustalają, że cały materiał gazowy jest obecnie nie do użycia, nie może być poprawiony na miejscu i dlatego należy go wycofać.

Dodaję, że narazie wobec uporczywego deszczu stan okopów i rowów łącznikowych nie pozwala na niezwłoczne przeniesienia wtył materiału do reparacji. Trzeba czekać, dopóki bardziej przyjazna pogoda nie pozwoli nam poprawić komunikacji.

Czy w tych warunkach można liczyć, że operacja da się wykonać w obszarze wzgórza Têtu?—Sądzę, że nie. Zmęczenie oddziałów 16 dywizji piechoty jest zbyt duże — ilość chorych i ewakuowanych wzrasta codziennie. Ludzie kompanji Z (chemicznej) również są wyczerpani.

Nie sędzę też, aby można dokonać tej operacji w jakimś innym punkcie II armji. Front o nieregularnej formie, jaki posiada, przedstawia się niekorzystnie dla akcji gazowej. Jesteśmy ulokowani dotąd nieszczególnie i mamy zbyt wielkie trudności z transportami wszelkiego rodzaju, ażebyśmy mogli podjąć się uciążliwej pracy, jakiej wymaga ustawianie butli gazowych na pozycji.

Proszę nie widzieć w tych rozważaniach, które są wynikiem dokładnego zbadania warunków, w jakich się obecnie znajdujemy, jakiegokolwiek oporu wobec rozkazów wyższego dowództwa.

Przeciwnie, bardzo chętnie zgodzę się wykonać doświadczenie z wypuszczeniem gazów, doświadczenie, które może być użyteczne dla całego wojska.

Szaruga rozpoczęła się przy pierwszym przenoszeniu butli do okopów. Rowy są wypełnione rzadkiem błotem, które je czyni całkiem nie do użycia.

Po pięciu czy sześciu nocach nadludzkiego wysiłku trzeba było zaprzestać przenoszenia butli. Udało nam się przenieść dwie trzecie. Ponieważ niepogoda trwała ciągle i nie widziało się jej końca, prosiłem dowódcę grupy armij Środka o zezwolenie na wypuszczenie gazów przy pierwszym pomyślnym wietrze, ale bez obowiązku bezpośredniego nacierania piechotą. Nie było bowiem rzeczą możliwą przez kilka dni i nocy utrzymać w stanie pogotowia w bezwartościowych, lichych schronach, oddziałów wyznaczonych do ataku.

Generał Castelnau nie zgodził się na puszczenie gazów bez wykonania jednoczesnego natarcia. Ta decyzja miała tę konsekwencję, że z powodu niepogody, musiałem dać kilka dni odprężenia oddziałom zdenerwowanym oczekiwaniem. Sprowadziłem je na stanowiska w cztery dni później. Znalazły się one tam 10 grudnia rankiem. W nocy z 11 na 12 powiał pomyślny wiatr. Sa-

perzy wzięli się do butli i odkręcili tuby, lecz w chwili otwierania kranów wiatr wzmógł się i począł padać deszcz. Operację należało wstrzymać. Stwierdzam jednak, że wszyscy chcieli wykonać jak najlepiej swe zadanie i pragnęli, aby przedsięwzięcie się powiodło.

Nie chcąc dać powodu do rozczarowania oficerom i szeregowcom, wydało mi się rzeczą roztropniejszą zrzec się pierwszego naszego doświadczenia w warunkach, kiedy niepowodzenie było pewne i nasze oddziały mogły być przytem wystawione na wielkie niebezpieczeństwo.

General Pétain.

WOJNA GAZOWA W KARYKATURZE.



„To nie karykatura, a przyjęty w armji niemieckiej model pochłaniacza. Komentarze zbyteczne”.

(The Bystander. Londyn, 1915 r.).

ZATRUTE POWIETRZE.

Kapitan Delvert prowadził dziennik. Jest to jeden z najcenniejszych pamiątek wojennych. Część jego wydał pod tytułem „Historja pewnej kompanji”. Opisuje tam w krótkich, lapidarnych zdaniach swoje przeżycia. Pod Verdun pozostało mu zaledwie kilku ludzi i skończyła się historja kompanji. Urywek przytoczony poniżej daje obraz zatrucia przez gazy bojowe i... przez gazy, którym Niemcy nadali nazwę „Truppengaz” (gaz wydzielany przez oddziały), a na co w naszym języku niema odpowiedniego terminu.

Pod Verdun, środa 24 maja 1916 r., godzina 20. Nieprzyjaciół rzuca pociski z gazem łzawiącym.

Godzina 23. Idziemy na zmianę do okopów.

Pierwszy pluton — mój — zebrał się przed schronami, w wąwozie, gdzie potok wypływa ze stawu Vaux.

Na potoku jest kładka w postaci deski piętnaście centymetrów szerokiej. Ludzie obciążeni plecakiem, karabinem i w całym swym rynsztunku mają po niej przejść.

Następnie ścieżka wije się między lejami po pociskach, potykamy się tu na każdym kroku. Niemcy co chwila rzucają rakiety oświetlające, co zmusza ludzi do schylania się.

Zaduch trupów i siarki chwyta za gardło. W płucach mnie piecze. Na prawo, na lewo, przed nami padają pociski. Idziemy „wąwozem śmierci”.

Z tamponem maski na ustach przebiegamy go szybko, jak tylko się da. Wyczerpani docieramy do miejsca postoju dowódcy bataljonu. Wejście jest zapchane rannymi, pełne krwi i jęków. Przy słabym blasku świecy różniam nosze, wyciągnięte ciała, rozmałowane z białymi plamami — to są bandaże. Na białych plamach świeża czerwona krew.

Major L..., dowódca luzowanego bataljonu, wydaje mi się przybity, zgnębiony. Bezwątpienia dzisiejsze straty. Dowiaduję się szczegółów. Dwie kompanie 124 pułku poszły do szturm na okopy szwabskie. Bez strzału wdarły się do nich. Ale posiadały za mało granatów (trzy na strzelca, cztery na grenadjera). Szwaby wykonali przeciwdzierzenie granatami. Obie kompanie bez możliwości obrony zostały zniszczone. 3-ci bataljon przybył na odsiecz i został starty na miazgę ogniem zaporowym artylerji w rowach łącznikowych. Ogółem około pięciuset zabitych i rannych.

Można być smutnym.

Wychodzimy.

Kolki skręcają mi wnętrzności. To następstwo gazów.

Skręcamy w rów łącznikowy Etang. Ma on metr głębokości ale nie wszędzie, wkrótce zmuszeni jesteśmy iść po polu. Przechodzimy równinę Souville. Wchodzimy znów w rów, aby dojść do zadrzewionego wąwozu, który nas doprowadzi do tunelu.

Mam tak gwałtowne bóle brzucha, że muszę się zatrzymać poza parapetem, o kilka kroków od ścieżki, która prowadzi do rowu łącznikowego.

Ulżyłem sobie. Pocisk 77 mm padł na ścieżkę, oślepił mnie płomień wybuchu. Szczęśliwie zgiałem się i otrząski przeleciały mi ponad głową. Jakiś biedak wił się w pobliżu z bólu i wył.

— Ratunku! Nogę mam strzaskaną. Nie zostawiajcie rannego!

Nikt nie szedł mu z pomocą. Czuło się, że ludzie zbyt są pochłonięci, aby nie zgubić swej kompanji, jak również, aby nie pozostać w tej okolicy, gdzie śmierć chodzi.

Wreszcie go podjęto.

Naciągnąłem spodnie i począłem schodzić.

Przybyłem do tunelu kolejowego.

Nic tu nie było gotowego na nasze przyjęcie. Po trudach dnia ludzie spali na szynach. Ziemia jest wilgotna, wszędzie detritus. W tunelu o długości tysiąca pięćset metrów nic nie jest urządzone. Ani jednego wentylatora. Jeden zaczęto robić kilka dni temu.

Powietrze w tym tunelu jest trucizną.

Gaz, który sprawił, że nasze luzowanie było tak uciążliwe, pochodzi z min rzuconych przez nieprzyjaciela. Przy wybuchu miny te tworzyły obłok fosforyzujący. Gaz z nich wydzielany spalał płuca. Zwłaszcza 5 kompanja była zatruta.

Charakterystyczną rzeczą dla tego gazu jest, że skutki jego dają się odczuwać długo po wdechu.

B... zachorował dzisiaj po południu. Trzeba go ewakuować. Jeden z jego ludzi zmarł. Pułkownik i jego adjutant muszą ssać butle z tlenem. I ja powinienem iść za ich przykładem.

Czwartek, 25 maj.

Ten tunel! Co za pobyt. Godny odcinka!

Wysokie sklepienie szerniało od dymów lokomotyw. Pod tem sklepieniem, nocą, na narach skleconych w trzy piętra na długości stu do stu pięćdziesięciu metrów, a przedzielonych pustemi przestrzeniami, ludzie mają do odpoczynku tylko belki i deski.

W tych przestrzeniach między narami stoją wiadra, kałuże moczu, kał. Powietrze jest pełne zaduchu, ciężki odór potu i wydzielin przyprawia o mdłości. Po nocy ludzie są bladzi, wyczerpani, nie mogą utrzymać się na nogach.

Rankiem miałem pięćdziesięciu trzech chorych. Duża cyfra. Groziłem sądem wojennym tym, którzy nie będą za nich uznani przez lekarza. Nieszczęśliwi. W rzeczywistości cała kompanja jest chora...

Po przebyciu nocy bez powietrza — ludzie nie odpoczęli, nic nie jedli. Co noc wychodzą na robotę w okopach.

— My tu wszyscy zdechniemy — jak powiedział pułkownik.

WOJNA GAZOWA W KARYKATURZE.



W LABORATORJUM.

— Co za niepowodzenie! W chwili, kiedy wynalazłem najbardziej zabójczy gaz na świecie, wybuch urywa mi głowę. Hindenburg nigdy się nie dowie, jak zastosować mój wynalazek.

(Mucha).

PRELUDJUM BITWY NAD SOMMĄ.

Porucznik Ernst Jünger napisał bodaj najbardziej ciekawy dziennik wojenny, jaki się ukazał w języku niemieckim. Jünger, czternaście razy ranny, odznaczony orderem „pour le merite”, najwyższą odznaką wojskową pruską, był dowódcą plutonu szturmowego. Opisy jego odznaczają się szczerością i rzadko spotykanym zrozumieniem nowoczesnego boju. W „Preludjum bitwy nad Sommą” notuje wrażenia ze swego pierwszego zetknięcia się z gazami.

...Rankiem wyrwano nas ze snu. Otrzymałem rozkaz prowadzić mój pluton do okopów na odcinek C. Przydzielono mnie do kompanji 6. Wróciłem do lasu, aby być tam przy cięciu drzew. W powrotnej drodze doszedłem do mego schronu i chciałem odpocząć z pół godziny. Jednak daremnie. W tych dniach nie dało się znaleźć chwili spokoju. Zaledwie ściągnąłem but, kiedy nasza artylerja ze skraju lasu zaczęła gwałtownie strzelać. Jednocześnie zjawił się mój ordynans, Paulik w wejściu do podziemia i krzyknął: — Napad gazowy!

Porwałem maskę, wsadziłem but, zapiałem sprzączki i wybiegłem nazewnątrz. Tam zobaczyłem, jak olbrzymi obłok gazowy w gęstych, białych kłębach walił przez Monchy i toczył się po ziemi aż do wyniosłości 124.

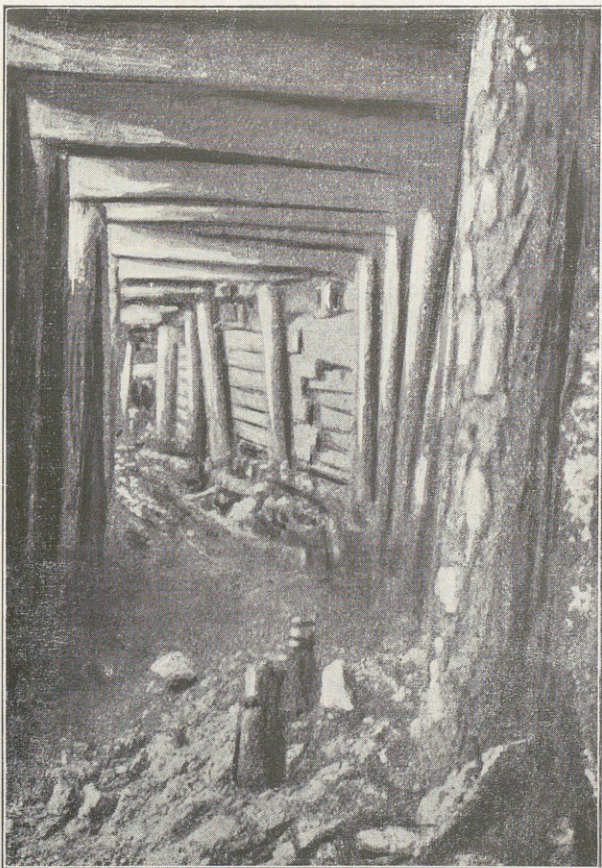
Większość mego plutonu była już w okopach. Nie miałem co się długo namyślać, natarcie nieprzyjaciela było bardzo prawdopodobne. Przeskoczyłem przez zaskie drugiej linii okopów, pobiegłem przed siebie i wnet znalazłem się w środku chmury gazowej. Nałożyłem maskę, lecz musiałem ją zdjąć natychmiast. Biegłem tak prędko, że mi zbrakło powietrza, które za słabo przez nią dochodziło. Okulary również okryły się parą i stały się zupełnie nieprzejrzyste. Poczułem kłucie w boku. Pomyślałem wtedy, że należy jak najszybciej przebyć falę gazową.

Przed skrajem wsi musiałem przejść jeszcze strzałę ognia zaporowego, którego błyski, upstrzone licznymi chmurkami szrapneli ciągnęły się jak długi i regularny łańcuch ponad pustynniami i zniszczonymi polami.

Ogień artyleryjski w takiej otwartej okolicy, gdzie się można swobodnie poruszać, nie ma tego materialnego ani, moralnego działania co w osiedlach czy też w okopach. Pośpiesznie przedostałem się przez linię ognia i znalazłem się w Monchy. Szrapnele leciały na wioskę gęsto jak grad. Mrowie kul, odłamków i zapalników świstało i przelatywało przez konary drzew owocowych zdziczałych sadów i stukało o resztki rozwalonych murów.

W schronie, znajdującym się w ogrodzie, zobaczyłem siedzących dwóch moich towarzyszy z kompanji, Siwersa i Vogla. Rozpalili oni ognisko z drzewa chcąc, aby oczyszczające działanie ognia rozpędziło mgłę chlorową. Siedziałem z nimi przy tem ognisku, dopóki ogień nie osłabł i poszedłem następnie rowem dobiegowym 6 zpowrotem.

Po drodze widziałem małe zwierzątka zatrute chlorem, leżące na dnie rowu. Myślałem przytem. — Jeżeli ogień zaporowy znowu się rozpocznie i dalej będzie



Butle z gazem, zakopane w dnie okopu, przygotowane do rosyjskiego natarcia gazowego pod Rygą (str. 133).

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

tlukł po okopach, wówczas złapie cię tu bez schronu jak w pułapkę.

Mimo to nie opuściła mnie moja niepoprawna flegma.

I rzeczywiście, w odległości pięćdziesięciu metrów od schronu kompanji, znalazłem się pośród nowej nawały pocisków. Rzeczą niemożliwą zdawało się przebyć nawet tak krótki odcinek rowu nie będąc trafiony. Na szczęście dostrzegłem w pobliżu, w ścianie rowu, wnękę, w której chronili się gońcy. Trzy ścianki, nie było to wiele, ale zawsze coś. Wcisnąłem się tam i czekałem aż się nawałnica przewali.

Zdaje mi się, że wyszukałem najgorszy kąt. Lekkie i ciężkie miny, kuliste, podłużne, szrapnele, granaty wszelkiego kalibru leciały tutaj.

Chwilami piekielny łoskot wraz z towarzyszącym mu płomieniem ogłuszał zupełnie. Następnie nieprzerwany, ostry świst dawał wrażenie, że setki wybuchów następuje z niewiarogodną szybkością.

Później znowu krótkie, urwane uderzenie pocisku, pod którem drżała ziemia. Tuzinami padały szrapnele, delikatne jak trzaskające świecidelka, siejąc lotki gęstemi chmurami, rozrzucając z warczeniem puste czerepy. Jeżeli w pobliżu padł granat, rozrzucał ziemię i błoto spadało z hałasem jakby spływając, a tymczasem, odłamki zagłębiały się w grunt z suchym trzaskiem.

Lżej to wszystko opisać niż przeżyć, ponieważ każdy dźwięk wirującego żelaza wiąże mózg z myślą o śmierci i nerwy są stale bez żadnej osłony wystawione na najsilniejsze napięcie. Tak siedziałem w kucki w mej dziurze, z ręką na oczach, podczas gdy wyobraźnia rysowała przede mną wszelkie sposoby, jakimi mogę być porażony. Znalazłem porównanie, które dobrze oddaje uczucie, jakiego się doświadcza w położeniu, które przeżywałem tak często, jak zresztą wszyscy żołnierze

na wojnie. Wyobraźmy sobie, że się jest bardzo mocno przywiązany do słupa i stoi się pod stałą groźbą młota, którym wywija tęgi chłop. To młot oddala się wtył dla wzięcia rozmachu, to przybliża, prawie dotyka czaszki i uderza w słup z taką siłą, że drzazgi z niego lecą.

Takiego wrażenia doświadcza się pod silnym ogniem artyleryjskim, nie będąc w schronie. Na szczęście zawsze żywiłem osobiście pewne uczucie ufności, że jakoś to będzie, podobnie jak się to ma przy grze. Niczem nie jest ono usprawiedliwione, lecz mimo to sprawia ulgę nerwom. Kiedy bombardowanie się skończyło, ruszyłem dalej w drogę. Przebyłem ją bardzo szybkim krokiem.

W okopie wszyscy ludzie byli zajęci. Częste ćwiczenia w zachowaniu się podczas napadu gazowego stosowane w myśl instrukcji sprawiły, że teraz smarowali tłuszczeniem swe zupełnie czarne karabiny. Chorąży pokazał mi z bolesną miną swój zupełnie nowy temblak. Stracił on swój wspaniały błysk i miał teraz kolor zielonkawej czerni.

Po uspokojeniu się nieprzyjaciela wróciłem z moimi drużynami do Monchy. Przed punktem opatrunkowym siedziało mnóstwo zagazowanych, z załzawionymi oczami. Jęczeli i rżęzili. Nie była to rzecz niewinna, ponieważ w kilka dni później niektórzy z nich zmarli w straszliwych męczarniach. Nieprzyjaciel wypuszczał chlor, gaz gryzący, który spalał płuca.

Począwszy od tego dnia postanowiłem nie roztawiać się z maską. Do tej chwili popełniałem często tę niewiarogodną lekkomyślność, że wychodziłem ze schronu, biorąc ze sobą tylko pudełko od maski, w które kładłem jedzenie.

Przechodząc wszedłem do kantyny II bataljonu, aby coś kupić. Sprzedawca, chłopiec, stał zrozpaczony po-

śródm rozbitych towarów. Pocisk, który przebił dach, wybuchnął w sklepiu i zamienił jego skarby w oryginalną mieszaninę marmelady, konserw i mydła. Z iście pruską sumiennością oszacował, że straty wynoszą 82 marki 58 fenigów.

Wieczorem mój pluton, dotąd umieszczony w drugiej linii, został ze względu na niepewność położenia, podsunięty aż do wsi. Otrzymałem rozkaz zająć podziemny kamieniołom. Przygotowaliśmy sobie spanie w licznych wnękach tam się znajdujących i rozpaliliśmy ogień. Ponieważ rozdzielono ożywczy rum, usiedliśmy wokół ogniska na blokach kredy, pijąc i paląc.

Okolo północy rozpętał się piekielny hałas na odcinku Monchy. Dziesiątkami dzwoniły dzwony alarmowe, strzelały setki karabinów, a zielone i białe rakiety bez przerwy wzbijały się ku niebu. Natychmiast runął też ogień zaporowy naszej artylerji, poleciały z trzaskiem ciężkie miny, ciągnąc poza sobą ogony iskier. Wszędzie, gdziekolwiek w chaosie ruin zamieszkała jakakolwiek dusza ludzka, rozległ się przeciągły krzyk.

Gazy! Gazy!

Biaława ściana gazu toczyła się w świetle rakiet przez wieś. Mocny zapach chloru dał się odczuć w naszym podziemiu. Zapaliliśmy przed wejściem wielkie ognisko ze słomy. Gęsty i duszący dym wygnał nas prawie z naszego schronu i zmusił do zmiany powietrza przy pomocy machania płaszcami i płótnami namiotowymi.

Nazajutrz mogliśmy obserwować ślady napadu gazowego we wsi. Większość roślin zwiędła, na ziemi leżały martwe ślimaki i krety. Konie łączników, znajdujących się w Monchy, miały załzawione oczy, z pysków sączyła im się piana. Pociski i odłamki, wszędzie potrochu rozsiane, pokrywała piękna zielona patyna. Gaz odczuto daleko wtyle aż w Douchy. Zaniepokojeni cywilni mieszkańcy zebrali się przed kwaterą podpułkow-

nika von Oppena i prosili o maski. Załadowano ich na samochody ciężarowe i przewieziono do miejscowości położonych bardziej w tyle.

Następną noc spędziliśmy jeszcze w kamieniołomie. Wieczorem zawiadomiono mnie, że kawa będzie rozdana o godzinie 4.15. Dezerter angielski zeznał, że o godzinie piątej nastąpi atak. Rzeczywiście, rankiem ledwie mnie przebudzili ludzie, którzy przynieśli kawę, rozległ się dobrze już znany krzyk — Gazy!

Na dworze w powietrzu unosił się słodki zapach fosgenu. Na odcinku Monchy rozpętał się gwałtowny ogień, lecz wkrótce wszystko się uspokoiło.

WOJNA GAZOWA W KARYKATURZE.



Niemcy zastosowali maskę ochronną przeciw własnemu gazom duszącym.

— Zadziwiające, jak wam z tem do twarzy.

(Rysunek C. Pavisa *Le journal et croquis du front*).

W BITWIE NAD SOMMA.

...20 lipca 1916 r. na północ od Sommy 153 dywizja piechoty z XX korpusu posuwała się zwycięsko aż do Maurepas. Centralny punkt opatrunkowy dywizji znajdował się pod kierownictwem lekarza Bisconsa w ruinach browaru Maricourt.

Biscons opowiada.

...W nocy z 23 na 24 gwałtowny ogień artyleryjski zważył się na browar i obok stojące baterie. Rozpoczęty o godzinie 22 trwał aż do 2 rano. Oprócz zwykłych pocisków nieprzyjaciół miotał łzawiące i nowego typu pociski 105 mm z materiałem trującym. Nasz (francuski) posterunek alarmowy dostrzegł w porę niebezpieczeństwo i mieliśmy czas nałożyć maski. Niestety obok znajdujące się oddziały terytorjalne, pochwycone w głębokim śnie, dostarczyły ponad sześćdziesiąt ofiar.

Kiedy ogień osłabł, w atmosferze nasyconej gazem o słabym zapachu chlorowym, przyniesiono kilku ludzi z objawami zaduszenia i sinicy twarzy. Nie zdążyliśmy ich rozebrać, kiedy zmarli.

Kilku żołnierzy szło za sanitariuszami i chociaż mieli zaledwie sto metrów do przejścia, szli chwiejąc się i padali bez możliwości powstania. Inni, którym brakło tchu w natłoczonej izbie, powlekli się do drzwi i tam skur-

czeniu, zgięci, z łokciami wspartymi na kolanach starali się zaczerpnąć powietrza oddychając z wysiłkiem. Ramiona ich przy każdym oddechu podnosiły się silnie. Z twarzami wykrzywionymi i oczyma wytrzeszczonymi przez strach patrzyli wprost przed siebie, nie zwracając na nic, ani na nikogo uwagi, nie odpowiadając na pytania. Szukając sposobu zerwania z szyi imaginacyjnej duszącej ich pętli, nie chcieli o czemkolwiek innym pomyśleć.

Inni, słabiej zagazowani, kaszlali silnie aż dopóki nie wykrztusili wydzieliny w postaci śluzu i krwawej piany. Badanie stwierdziło u nich silny obrzęk płuc. Obfite krwawienie przyniosło im widoczną ulgę. Kilku ludzi zostało ewakuowanych z oznakami zwykłego bronchitu i byliśmy zdziwieni dowiedziawszy się w dwa dni później, że były między nimi wypadki śmiertelne.

„Pierwszy niemiecki atak gazowy nastąpił 22 kwietnia 1915, pierwszy ze strony sprzymierzonych (angielski) 15 października 1915. Trzeba więc było czekać pięć miesięcy na odmet. Niemcy zostali zaskoczeni i ponieśli ciężkie straty”.

DUSICIELE.

Przygotowania do ofensywy rosyjskiej, planowanej na wiosnę 1916 roku, a rozpoczętej dopiero w początkach czerwca, tak zwanej „brusiłowskiej”, rozpoczęły się już w marcu, jak tylko ziemia, po łagodnej zresztą zimie, dała się poruszyć łopatą. Staliśmy w pięknej okolicy na granicy Besarabji i Bukowiny, opierając się skrzydłem o kręty malowniczy jar Dniestru.

Front był zaciszny, sielski niemal. Wtyle tuż za okopami znajdował się głęboki wąwóz, którym potoczek Onut spływał do Dniestru. W tym wąwozie kryły się odwody, zamieszkując wzorem troglodytów wydłubane w glinianych stokach pieczary. Rzadko też zaleciał tam pocisk, wszystkie przenosiło na drugi pusty stok, gdzie o zmierzchu Austriacy dawali istne koncerty ogniowe. Szukali tam jakichś nieistniejących baterij i gradem ciężkich pocisków chcieli je rozgromić. Wiele uciechy było z tego powodu, uciechy jaką sprawia żołnierzowi widok granatów lecących... nie na niego. Widok taki szczególnie po dobrym napchaniu żołądka usposabia człowieka błogo i nad wyraz pobłażliwie...

Gdzieś w dalszym wąwozie, jakich nie brak nad rzeką, stała brygada piechoty, która do spółki z naszą dywizją co noc wychodziła na roboty na przedpole. A było kopania coniemiarą. Przygotowywano olbrzymi „place

d'armes", złożony z nieprzeliczonej wprost ilości okopów i rowów łącznikowych. Miały one pomieścić atakujące oddziały, zatrważającą wprost ilość ludzi. Na brak ich nie można było się uskarżać. Kompanje uzupełnione do dwustu pięćdziesięciu bagnetów. W taborach czekały setki chłopów „kompanij marszowych”, których narazie nie było gdzie włączyć. Czekali aż się znajdzie broń po zabitych czy rannych — dla nich.

Wysuwano się sapami do nieprzyjaciela, chcąc skrócić do minimum odległość szturmową.

Od czasu do czasu artylerja austriacka, zniecierpliwiona nocnem włóceniem się mas ludzi po przedpolu, otwierała gwałtowny ogień oczyszczając płaskowyż i, jakby żałując pocisków, wnet milkła. Trzaskały żałośnie nocami karabiny maszynowe, szukające w ciemności ofiar.

Co dwa co trzy dni, a później już i codzień lotnik nieprzyjacielski przepływał nad „pozycją” i jak dobry gospodarz pilnie poglądał, a notował, ileż to pracy przez ten okres czasu od jego ostatniej bytności wykonano. Kilka baterij artylerji przeciwlotniczej posyłało mu wnet pozdrowienia. Ptactwo szrapneli goniło po niebie za jasną sylwetą samolotu, osnuwało go wielką elipsą dymków białoszarych. Ścieśniała się ona coraz bardziej nad pozornie niefrasobliwym lotnikiem, który wreszcie wydostawszy się w którymś miejscu wyżej, czy też znurkowawszy kilkaset metrów w dół wywijał się z śmiertelnej obręczy i uchodził. Kilka spóźnionych szrapneli, które gdzieś na uboczu pękały, zdawało się, wyrażały swój żal z tego powodu.

Widzowie siedzący przed norami czy też leżący bez troski na trawie zbocza wąwozu wracali do kart i niekończącej się nigdy gawędy o niczem, sprawach błahych, głupich obiedzie, kolacji i najbliższem natarciu.

W miarę, jak płynęły beczynn timeracowite dni i pracowite no-

ce, nastrój stawał się bardziej ożywiony. Słońce przygrzewało coraz silniej. Z rozkoszą każdy zrzucił z siebie ospałość zimową.

Porankami wstrzeliwały się nowe ustawione baterje. Pojawiły się ciężkie, dotąd niespotykane na tym odcinku, dalekonośne działa. Któregoś dnia kilka z nich biło do oddalonej o kilka kilometrów stacji kolejowej w Oknie. Przez lornetkę widać było błyski pożaru. Coraz to ostrzeliwano jakieś nowe cele. Tematu do gadania nie brakło.

Wraz ze słońcem w zawody szła też spotęgowana praca ludzka. Noc stawała się krótsza, a niecierpliwość rosła. Zbliżał się dzień wyjścia z rowów na płaszczyznę do szturm, tem samem zbliżała się dla wielu chwila zgonu. Śmierć gościnnie zapraszała do wejścia we wrota, skąd niema drogi wycofania.

Jakoś w pierwszej połowie maja zjawili się na odcinku pułkowym nieznani oficerowie. Przyszli z szefem łączności pułku. Niewiele na nich zwracano uwagi, kręciło się dosyć artylerzystów i saperów.

W kilka dni potem ordynans — Rusin powiedział mi z tajemniczą miną, że do artylerji wożą dziwne pociski, jakich on jeszcze nie widział.

— Zbudowano dla nich głębokie schrony za dowództwem pułku. Wożą a wożą. Będzie czem strzelać — rozważał rzeczowo.

W połowie maja siedziałem o zmierzchu przed swym schronem, wcale porządnym domkiem z belek, wbudowanym całkowicie w strome zbocze wąwozu. Na ścieżce na dole zobaczyłem idący łańcuch żołnierzy. Każdy z nich niósł na ramieniu jakąś tubę, coś w rodzaju pocisku.

— Co oni niosą? — zapytał jeden z moich kolegów.

— Jakież pociski.

— Nie, to nie są pociski.

Wkrótce zobaczyliśmy, że rzeczywiście nie są to po-eiski. Żołnierze szli z trudem, uginając się pod ciężarem stalowych butli, przypominających pospolicie używane butle z tlenem.

Zapytani żołnierze odpowiedzieli, że nie wiedzą co w nich jest.

— Jakiś gaz — orzekłem. — Lecz jaki i na co?

Nagle zrozumiałem — bezwątpienia jest to gaz trujący.

O wojnę gazowej wówczas w roku 1916 niewiele naogół wiedziano na tym froncie, o którym gadka żołnierska niemiecka pogardliwie mówiła:

„Im Westen kämpft das tapfere Heer

„Im Osten kämpft die Feuerwehr¹⁾).

Dowództwo rosyjskie, nie posiadając żadnych środków dla ochrony wojska przed gazem, nie ogłaszało publicznie o swych stratach, poniesionych pod Warszawą, czy Osowcem. Sam sposób prowadzenia walki gazowej osłaniała nieprzenikniona tajemnica. Wiadomości były mętne, niejasne.

— A więc na naszym odcinku będą puszczać gazy! — Zobaczymy!

Przypatrywaliśmy się z zaciekawieniem przygotowaniom. Nowych przybyszów, kompanię chemiczną ochrzczono krótko i węzłowato mianem „dusicieli”. Niezbyt pochlebna ta nazwa przyrosła do nich odrazu i ogół żołnierski nawet nie umiałby nazwać ich inaczej.

„Dusiciele” poczęli się włączyć wieczorami, nosząc butle i składając je początkowo w schronach, a później przenosząc do czołowych okopów.

Do wykonania napadu wybrano niewielki wyżynny odcinek, przy „kordonie Rżawińce”, zupełnie płaski,

¹⁾ Na zachodzie walczy dzielne wojsko, na wschodzie zaś — strażacy.

porosły skąpą trawą. Do okopów nieprzyjacielskich było tu od czterystu do sześciuset metrów. Międzypole zapchane było zasiekami koleczastymi w nieprawdopodobnej wprost ilości. Kiedyś, chcąc obliczyć rzędy drutów, doliczyłem do stu, a jeszcze daleko było do końca. Obie strony drutowały się tu przez dłuższy okres czasu z idjotyczną wprost gorliwością, jakby nagie poletko mogło skusić kogoś do natarcia.

„Dusiciela” wykonywali swe prace przygotowawcze, a pośród tłumu żołnierskiego wzrastało zdenerwowanie. Właściwe jest ono wszystkim okresom przed natarciem. Tu dało się jednak odczuć szczególnie. Żołnierz od miesięcy zasiedział się w norach. Miesiącami je rył, żyjąc pod grozą min i bomb wszelkiego kalibru i pocisków artyleryjskich, a teraz widział, miał pewność, że niedługo każą mu porzucić bezpieczne schrony i wyjść między zasieki. Przejść je! Ustawiać je nocami (ileż się strachu przytem najadł) a ma przebyć w dzień! Dokładnie wiedział, ile tam jest drutu napłatanego na kołkach.

Niepokój dręczył serca. Mimo pięknej pogody czarne myśli łatwo snuły się po głowach. Czuło się to już w rozmowach.

Wiadomość o gazach wszędzie przenikających, które mają każdego zabić, przepełniała czarę goryczy, znużenia i niewyspania. Zbiegostwo do nieprzyjaciela stało się chlebem powszednim. Uciekali Moskale pochodzący z centralnych gubernij, mniej Ukraińcy. Dopiero w ostatnim tygodniu zdezerterowało dwóch Polaków z kompanji saperskiej, pracującej na odcinku.

Żadne pilnowania nic tu nie pomagały. Żołnierz, wysyłany na przedpole, pracujący w ciemności i padający plackiem na ziemię przy każdej rakiecie, wysuwał się z rąk dowódców. W ostatnich też tygodniach Austrjacy urządzili kilkakrotnie silne napady artyleryj-

skie o północy, podczas których wszyscy robotnicy roz-
pierzchnęli się. Do rana ich nie zebrano. Szczególnie je-
den napad artyleryjski podczas wyjątkowo parnej, peł-
nej błyskawic nocy, przy użyciu olbrzymiej wprost ilo-
ści pocisków wywarł na nas przynębiające wrażenie.
Zdawało się, że świat się wali. Artylerja rosyjska nie-
zorientowana należycie, sądząc, że nieprzyjaciel nacie-
ra, uprzedzając ofensywę, poczęła odpowiadać. Dotąd
nikt jeszcze z nas nie słyszał ognia o podobnej mocy ¹⁾.
Noc zamieniona została w dzień od nieustannych bły-
sków wystrzałów, wtórujących błyskawicom. Huk przy-
tłaczał ludzi do ziemi. Drżeli jak listki trawy. Twarze
były trupio blade. Jakimś trafem okazały się nawet po-
ważniejsze straty w ludziach, jak na strzelanie po-
omacku.

A tu jeszcze gazy! Opowieści o nich jedna głupsza od
drugiej trwożyły masę żołnierską. Wydane prymitywne
przyrządy ochronne dokonały reszty.

Indywidualny przyrząd ochronny stanowiła mała po-
duszczenka z merli z włożoną wewnątrz watą, nasyoną
chemikaljami, barwiącemi ją na różowo. Sznurki do
przywiązania tamponu do twarzy i to wszystko! Natu-
ralnie podobny przyrząd spotkał się z ogólnem niedo-
wierzaniem. Próby oddychania przez tampon dały mar-
ny wynik. Po kilku już wdechach człowiek się dusił.
Mniemano też powszechnie, że w razie potrzeby będzie
można tampon odchylić i zaczerpnąć choćby zatrutego
powietrza. Co do zatrucia pojęcia były bardzo mętne.

Jak widać własne oddziały nie miały odpowiednich
środków ochronnych. Posiadała je jedynie kompanja
chemiczna w postaci maski Kumanta-Zielińskiego,

¹⁾ Na froncie korpusu, długości około 6 — 8 km, stało z obu stron
540 dział, 240 moździerzy piechoty i 700 karabinów maszynowych.
Liczby te wzięte są z opracowania bitwy pod Okna, pułkownika
austriackiego Maxa Pitreicha. Wiedeń 1931 r.

w którą później zaopatrywano całe wojsko. Niektórzy z „dusicieli” sprzedawali te maski w cenie kilku rubli, lecz amatorów i to wyjątkowo trwożliwie usposobionych, wielu się nie znalazło.

Prostu nikt nie wiedział istotnie jak wygląda, co to jest i czem grozi zatrucie gazowe. Nieudolność, lekceważenie przez dowództwo wyższe własnych wojsk było w oczy. W tym czasie już od roku używali Niemcy gazów, a wojsko rosyjskie, które doświadczyło ich boleśnie na własnej skórze nie było o nich należycie, albo też wcale poinformowane. Większość oddziałów nic o nich nie wiedziała. Każde więc niemieckie natarcie gazowe musiało dawać góry trupów.

Zbliżał się dzień natarcia. Jutro, pojutrze!

Przy lada żywszym ruchu w okopach rosyjskich artylerja nieprzyjacielska reagowała silnie. O każdej porze dnia zrywały się nagle kanonady i częściej niż kiedyś ukazywał się samotny lotnik w błękitach.

Zbiegowie donosili Austriakom o przygotowaniach i jak się później okazało powiadomili ich dokładnie o natarciu gazowem. Przygotowali tam grunt do paniki.

Wreszcie pewnego dnia o zmierzchu oznajmiono.

— Natarcie o świcie!

Rozkaz ten wydał się czemś nieprawdopodobnem. Jakto, już jutro!

Nie będę opowiadał o samem natarciu, o długotrwałym ogniu artylerji, która przed świtem jeszcze rozpoczęła swą pracę. Ograniczę się do samego napadu gazowego.

Tamponów nikt nie zakładał. Nawet nie wyprowadzono ludzi z czołowych okopów. Życie własnych żołnierzy w niewielkiej miano cenie.

Butle ustawiono w rowach czołowych. Ktoś bardzo naiwny uplanował sobie, że jeszcze w pomroce, przed świtem „dusicieli” wyjdą bohatersko na przedpiersia,

przed okopy, trzymając węże od balonów w rękach. Wyjdą i będą stali kilkanaście minut dopóki gaz z butli nie wyjdzie.

Tylko człowiek absolutnie nie rozumiejący wojny mógł uroić sobie, że ktokolwiek potrafi stać kilkanaście minut nieruchomo pod ogniem i czekać, aż go zabiją.

„Dusieciele” byli to ludzie starszych roczników. Z wyjściem opóźniali się. Któż chciałby wyjść dobrowolnie na śmierć? Szarże wypchnęły wreszcie „chemików”.

Świt szybko rośnie w czerwcu. Nie czekał aż oni wyjdą. Przy pierwszych obłoczkach dymów chlorowych, pojawiających się przy okopach rosyjskich, masa dział polowych austriackich rzuciła się na nie gwałtownie. Grad pocisków dobrze wstrzelanej artylerji zasypał okopy. Lotki szrapneli sypały się jak groch. Granaty ryły ziemię z piorunowym trzaskiem. Nietylko ludzie nieprzyzwyczajeni do ognia artyleryjskiego, jakimi byli „dusieciele”, lecz najwięksi bohaterowie wielkiej wojny nie wytrzymaliby podobnego gradu żelaza.

Nic dziwnego, że wszyscy „dusieciele” zrobili co mogli najrozsądniejszego, to jest porzucali węże, a sami skryli się, kto zdążył w okopy.

Część węzów zsunęła się przytem za nimi, część porzucona w dalszym ciągu wydzielala gaz na powierzchnię „no man's land'u”.

Słaby wietrzyk niósł kłęby oparów ku nieprzyjacielowi...

W godzinę później znalazłem się w okopach austriackich. Gdzieś w jednym miejscu w rowie odczułem słabą woń chloru.

Trawa na przedpolu zżółkła zupełnie.

W okopach nie spotkałem ani jednego zabitego, ani

też zatrutego¹⁾). Słaba fala gazowa niewiele zapewnie uczyniłaby tam szkody, lecz strach, który szedł przed nią, sprawił, że oddziały austriackie na tym odcinku pierzchły niemal bez wystrzału..

Ogień artylerji i gęste zasieki przez kilka godzin powstrzymywały tu natarcie, słabo zresztą idące naprzód. Dopiero posunięcie się oddziałów z prawej i lewej strony doprowadziło do zajęcia tego odcinka.

Żołnierze austriaccy nie mieli masek. Przy schronie dowódcy pułku zobaczyłem kilka skrzyń. Jedną dopiero zdążył ktoś otworzyć — były w niej piękne nowe maski zdaje się niemieckie.

W kompanji mojej zostało kilkunastu zatrutych ludzi, ale w nieznacznym stopniu. Szczęśliwie, wycofali się oni śpiesznie z okopu, który napełnił się gazem z porzucanego węża.

Poza tem pułk strat od gazu podobno nie miał.

Tak wyglądał pierwszy bodaj napad gazowy ze strony rosyjskiej.

R. U.

¹⁾ Pitreich mówi o tym napadzie gazowym: „Po godzinie 4 nieprzyjaciół wypuścił gazy przy wsi Onut... Wynik był mizerny. Mielśmy dwóch zatrutych śmiertelnie, a dwunastu łżej...” Cyfry te należy przyjmować z wielkiem zastrzeżeniem. Austriacy a wraz z nimi pułkownik Pitreich znajdowali się przez szereg dni po tem natarciu w tak pośpiesznym odwrocie, że wszelkie dane liczbowe, zbierane w podobnych warunkach, mogły być tylko „papierowe”. Ciężej zatruci żołnierze, niezdolni do biegu (nie marszu, a biegu) musieliby wpaść w ręce rosyjskie w masach branych przy tej okazji jeńców. Pułk rosyjski, na odcinku którego puszczone gazy, wziął tych jeńców w pierwszym dniu blisko tysiąc.

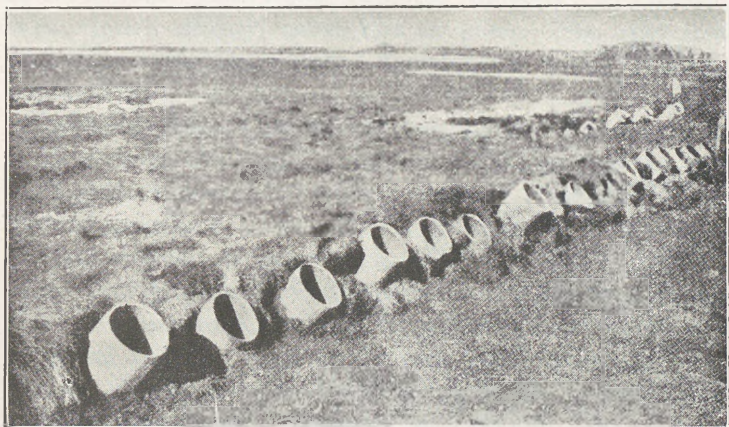
PRZEDMOŚCIE IXKÜLL.

Jeden z najskuteczniejszych ataków gazowych w wojnie światowej na froncie rosyjskim miał miejsce na przedmościu Ixküll. Wykonali go Niemcy 25 września 1916 roku. Coprawda zdarzały się ataki i na większym obszarze, ale żaden nie osiągnął takiego powodzenia i przerażającego w swych skutkach działania.

Natarcie gazowe pod Ixküll jest i pozostanie głośne. Terenowo przedpole dla podobnego napadu przedstawiało się pomyślnie. Już z powodu samego ukształtowania terenu istniał naturalny prąd powietrza w kierunku ku rzece, do rosyjskich rowów strzeleckich. Pochylenie ku Dźwinie, płaszczyna z jamami i wądołami, brak zwartej roślinności oraz położenie pozycji niemieckiej na wyższym poziomie — wszystkie te okoliczności dawały pewność, że przedsięwzięcie się uda.

18 września Niemcy postawili butle gazowe w okopach. I pewnej cichej zimnej nocy, kiedy księżyc skrył się, a podniósł się lekki wiatr, ruszyły fale gazowe. Wypuszczono je o godzinie 4,35. Towarzyszyło im syczenie i hałas, do czego dołączył się natychmiast żywy ogień niemieckich karabinów powtarzalnych, maszynowych i moździerzy piechoty.

Posterunki rosyjskie słyszały dobrze wypuszczenie gazu, ale żołnierze nie zorientowali się dość szybko



Inżynier angielski, porucznik Lievens, wynalazł miotacze, zwane od jego imienia miotaczami Lievens'a. Zdając sobie sprawę, że obłoki gazowe są skuteczniejsze od pocisków, powziął myśl rzuca-
nia dużych cylindrów z gazem w głąb ugrupowania nieprzyjacielskiego. Takich moździerzy ustawiono dużą ilość i zapomocą elektryczności powodowano jednoczesne oddanie strzału. Silna koncentracja gazu powstawała w ten sposób w odległości kilkuset metrów od miejsca wystrzałów.

Jeden z pisarzy niemieckich, Jünger, spotkał się z miotaczami Lievens'a pod Cambrai, zimą 1917 roku, pisze:

„Częste bombardowania przez zaskoczenie minami gazowemi powodowały u nas duże straty. Wykonywano je przy pomocy kilkuset rur żelaznych, zakopanych końcem w ziemię. Wystrzeliwano je elektrycznie, jedną salwą, wytryskującą w płomieniach. Kiedy tylko u nas dostrzeżono błysk, bito na alarm. Kto nie założył maski przez nadlotem min, był w złym położeniu. W niektórych miejscach gęstość gazu dosięgała takiego stopnia, że maska traciła swą wartość, ponieważ nie było tlenu do oddychania. Stąd mieliśmy duże straty”.

w istocie zjawiska, wobec czego wszystkie sygnały ostrzegawcze (czerwone rakiety, dzwony alarmowe, telefoniczne alarmy) nastąpiły za późno. Nie były one w stanie odwrócić złego. Zaskoczenie było zupełne i straszliwe.

Pierwsza fala gazowa (w odstępach półgodzinnych wypuszczono ich trzy) posuwana lekkim wiatrem południowo-wschodnim szybko dosięgła rosyjskich rowów strzeleckich i opuściła się na żołnierzy, śpiących w przepelnionych schronach. Wielu z nich dopiero przed chwilą powróciło z pracy na przedpolu. Spali głęboko i mocno. Obudzeni krzykiem towarzyszy, napół senni szukali masek ale w ciemności trudno je było znaleźć. Przy wielu maskach założonych w pośpiechu popękały sprzączki i gumowane tasiemki.

Mgła gazowa gęstniała i coraz ciężiej było oddychać. Oficerowie śpieszyli do schronów, chcąc pobudzić żołnierzy. W pośpiechu nie mieli czasu na szukanie masek i po drodze czy też w schronach znaleźli śmierć.

Chociaż większość żołnierzy znajdujących się na pozycji padła od gazu, pozostali nie bacząc na zatrucie odpowiadali na ogień niemiecki i walczyli jeszcze przez kilka godzin.

Wszystkie schrony, rowy strzeleckie i łącznikowe wypełnił gaz. Wielu żołnierzy, a zwłaszcza oficerów zrzuciło maski, ponieważ utrudniały a nawet uniemożliwiały one oddychanie.

Po wypuszczeniu fal gazowych Niemcy rozpoczęli silny ogień, na który Rosjanie odpowiadali, pozostając nadal w okopach wypełnionych gazem. Pochłaniał on coraz to nowe ofiary. Chcąc rozprężyć gazy, napadnięci pozapalali przygotowane poprzednio stosy chróstu. Wielu żołnierzy wdrapało się na drzewa bądź dostało się na wyższe miejsca w poszukiwaniu ratunku, o ile im na to ogień Niemców pozwalał.

Natarcie nieprzyjaciela na przedmoście zostało odparte. Próba spuszczenia na rzekę łodzi i tratw zawiodła. Żołnierze z załzawionymi oczami, ledwie trzymając się na nogach, nie wypuszczali z rąk karabinów. Lekko zatruci w podnieceniu bojowym nawet nie zauważyli oznak zagazowania. Ale powoli zaczęli podążać ku punktom opatrunkowym, gdzie wprędce u wielu okazały się ciężkie objawy zatrucia. Pomoc lekarska była skąpa. Dwaj lekarze Streis i Mienkin oraz jedna siostra miłosierdzia mimo, że sami byli zatruci, pracowali do wyczerpania sił, nie będąc jednak w możności udzielić pomocy wszystkim potrzebującym. Ewakuować ofiar nie dało się. Na Dźwinie leżał ogień ciężkiej artylerji niemieckiej. Dopiero wieczorem rozpoczęto przewożenie za rzekę.

Doktor Jaroszewicz piszę w oficjalnym meldunku, co następuje:

— O zmierzchu 25 września przedostałem się na lewy brzeg Dźwiny na przedmoście. W dzień przejazd przez rzekę był niemożliwy. Widok, jaki tam ujrzałem, uczynił na mnie straszne wrażenie. Na punkcie opatrunkowym leżało około pięciuset zatrutych gazem i trzysta trupów. Cały lewy brzeg Dźwiny na przestrzeni ćwierci kilometra zaścielały trupy i chorzy, tak że trudno było przejść. Błoto tam było nie do przebycia, a w tem błocie tarzali się jęczący, kaszlący żołnierze. Jęki były tak głośne, że słyszało się je już z drugiego brzegu rzeki.

26 września zakończono przenoszenie rannych i zatrutych. Około sześciuset mniej lub więcej zagazowanych odesłano do Rygi. 6,1 procent z nich zmarło. Śmiertelność w różnych szpitalach Rygi wahała się od 3,2 do 13,7 procent.

Podczas przewożenia zauważono, że u stosunkowo mniej się czujących żołnierzy przychodziło nagle ostre pogorszenie, które kończyło się często śmiercią. Na dro-

dze do Rygi leżeli ciężko zatruci i martwi, którzy początkowo czuli się na tyle dobrze, że pragnęli pieszo dojść do szpitala w mieście. Z 64 zatrutych, którzy pieszo dotarli do szpitala Jerzego w Rydze, następnego dnia zmarło od 5 do 8 procent.

Śmiertelność pod Ixküll wyniosła 64 procent.

Na przedmościu stał 173 krzemieniecki pułk piechoty, jego kompanje karabinów maszynowych i moździerzy piechoty utraciły prawie 60 proc. stanu.

Według doktora Łudziłowskiego wielkie powodzenie osiągnięte przez Niemców miało następujące przyczyny.

1) Maski a szczególnie tampony z merli były źle wykończone. Żołnierze nie umieli się z nimi obchodzić.

2) Szybkość napadu gazowego oraz nieświadomość siły i działania gazu nie tylko wśród żołnierzy lecz również wśród oficerów. Sądono ogólnie, że można przebywać bez maski w atmosferze zawierającej niewielkie ilości gazu i że przy tem nie grozi niebezpieczeństwo, a tylko oddech jest zlekka utrudniony.

Później dopiero przekonano się o opóźnionem i często śmiertelnem działaniu gazu. Wielu żołnierzy za wcześnie zdjęło maski, a szczególnie ci, którzy brali udział w boju. Przez brawurę żołnierze lekceważyli możliwość niebezpieczeństwa napadu gazowego.

3) Niemożliwość odesłania we właściwym czasie zatrutych oraz okoliczność, że punkty opatrunkowe, gdzie leżeli, znajdowały się również pod działaniem fali gazowej.

O naturze gazu użytego pod Ixküll nic pewnego powiedzieć się nie da. Jaroszewicz mówi, że rodzaj gazu nie jest mu znany, ale że powodował zatrucie krwi, działając na naczynia i serce. Łudziłowski mniema, że nie był to chlor ale jakiś gaz o charakterze fosgeny. Płaszczce żołnierskie nie miały zapachu chloru, a metalowe przedmioty nie poczerniały. Żołnierze mówili

Łudziłowskiemu, że gaz miał zapach częściowo owoców, częściowo formaliny bądź też likieru. W masce jednego z jeńców niemieckich stwierdzono także silny zapach owoców ¹⁾.

Barwy gazu z powodu ciemności nie dostrzeżono.

Dokładnie określić gaz, dałoby się tylko na podstawie komunikatu niemieckiego.

Dzień 25 września pod Ixküll nie był dniem wielkiej bitwy, lecz mimo to w dziejach wojny światowej zajmuje poczesne miejsce.

Doktór Adelheim.

...W rok później, 1 września 1917 roku, odbył się ponownie gazowy napad niemiecki pod Ixküll. Tym razem strzelało 80 baterij pociskami gazowymi, z których 35 strzelało przez dwie godziny, a pozostałe w przeciągu pięciu godzin, ostrzeliwując główne baterje rosyjskie. Ostatnie znajdujące się na skrzydłach natarcia były ostrzeliwane przez siedem godzin. Następnie po dwóch godzinach, po rozpoczęciu napadu gazowego, wkroczone w ostrzeliwaną strefę bez żadnego wypadku zagazowania. Obezwładnienie artylerji rosyjskiej było zupełne. Obsługa rzuciła się do ucieczki wkrótce po rozpoczęciu ostrzeliwania pozostawiając działa. Sprzyjał temu nastrój rozkładającego się już wojska.

...W rok później pobojowisko to oglądał autor niniejszego artykułu, docent ryskiego uniwersytetu Adelheim i co zauważył? Oto długotrwałe ostrzeliwanie pociskami gazowymi oraz przejście fal gazowych sprawiło, że

¹⁾ Kilku lekarzy i oficerów upewniało dr. Łudziłowskiego, że przy natarciu gazowem na przedmoście Ixküll zapach chloru był wyraźny. Możliwe że butle gazowe miały różną zawartość.

roślinność była tu w uderzający sposób wynędzniała. Najmniej stosunkowo ucierpiał las iglasty, ale liściasty miał bardzo skąpo liści w porównaniu z wspaniałem ulścieniem lasu znajdującego się poza strefą bojową.

WOJNA GAZOWA W KARYKATURZE.



Profesor Gaz. — Stój! Stój! Tego niema w artykułach konferencji haaskiej.

(Vallaton, *La grande guerre par les artistes*).

POD BARANOWICZAMI.

Jesienią 1916 roku wykonali Niemcy napad gazowy na południe od Baranowicz. Rosjanie, uprzedzeni o nim, zarządzili daleko idące środki ostrożności, a mimo to połowa załogi odcinka, na który wykonano napad, uległa zatruciu. Dowódca rosyjski, Noskow, według którego długiego i suchego sprawozdania streszczamy historję tego napadu, mniema, że główną przyczyną dużych strat był niski poziom żołnierza.

Sprawozdanie Noskowa wskazuje, z jakimi trudnościami walczyć musiał, mając przed sobą bierną i mało kulturalną masę żołnierską.

— Napad miał miejsce na odcinku trzy kilometry długim. Pośrodku znajdowała się zburzona ogniem artyleryjskim w poprzednich walkach wieś Adachowszczyzna. Odcinek był właściwie przedmościem na rzece Szczarze. Głębokość jego wynosiła 600 do 1000 kroków. Połączenie z tyłem słabo zapewniały trzy nieszczególne mosty na rzece, do których artylerja nieprzyjacielska wstrzelała się dokładnie.

Szczara miała w tem miejscu około czterech — siedmiu metrów szerokości, do czterech metrów głębokości i była poważną przeszkodą. Ogólnie warunki miejscowe pozwalały przewidzieć możliwość natarcia gazowego.

Na jakiś tydzień przed napadem gazowym obserwatorzy całego odcinka zaczęli meldować o niezwyklej hałasie u nieprzyjaciela, a nawet o wyraźnym brzęku ustawianych butli metalowych. Odtąd stacje meteorologiczne skrupulatnie notowały sprzyjające dla nieprzyjaciela warunki atmosferyczne.

Cały szereg widocznych objawów, wskazujących na przygotowanie przez Niemców napadu gazowego, pomógł w dużym stopniu do zwalczenia bierności dowódców i żołnierzy, którzy dotąd ze skrajnym sceptycyzmem odnosili się do podobnej możliwości.

Poczęto sprawdzać umiejętność wkładania maski i wogóle obchodzenia się z nią. Okazało się, że chociaż wszyscy je mieli, to jednak niewszyscy wiedzieli, względnie zapomnieli jak ich używać. Zaznaczyć należy, że odcinek nie posiadał komory gazowej, nie było więc możliwości praktycznie przekonać żołnierzy o konieczności troskliwego obchodzenia się z maską.

W okopach w myśl instrukcji znajdowały się pęki chróstu do rozniecenia ognia i wywołania prądów powietrznych, dopomagających do rozproszenia gazów. Praktyka wykazała, że przyniosły one raczej szkodę.

Do smarowania broni i uchronienia jej od rdzy rozdano specjalny smar, w niedostatecznej coprawda ilości.

Autor wspomnień, będący dowódcą odcinka, wydał specjalne zarządzenia dla zapewnienia łączności w razie napadu.

Jako objaw charakterystyczny, obserwowany przy założeniu maski i przebywaniu w niej, notuje autor uczucie samotności i całkowitej izolacji. Z chwilą włożenia maski żołnierz jakby wpadał w studnię. Uczucie to potęgowało się zwłaszcza nocą, przy słabym blasku lampki albo świecy, jedyne go oświetlenia w okopach i na bliskich im tyłach. Rozmowy telefoniczne było

trudno prowadzić, nawet podczas ciszy, w razie zaś boju należało się liczyć z hukiem artylerji.

Ze wszystkich będących w rozporządzeniu dowódcy odcinka środków łączności najlepszy, mimo swych braków w razie napadu gazowego, był telefon. Na gońców nie liczył. Pierwszym warunkiem oddychania w ówczesnej masce była, jeżeli nie absolutna nieruchomość, to w każdym razie największa powolność poruszeń. Wszelki szybki ruch, a tem bardziej bieg, prowadził do zguby, ponieważ powodował przyspieszone nerwowe oddychanie i jako rezultat — duszenie się. Wówczas nie pozostawało nic innego jak zerwać maskę i poddać się działaniu gazu. Sygnały światłem i chorągiewkami odrzucono, jako niemożliwe do użycia w nocy i niepewne w dzień.

Łączność telefoniczna na odcinku odznaczała się prymitywnością. Istniało wprawdzie kilka płytko zakopanych podziemnych przewodów, co je chroniło od nóg przechodniów ale nie od pocisków. Przez rzeczkę przewody te przechodziły na tyczkach.

Nie należało być bardzo przenikliwym, aby odgadnąć, że w czasie boju łączność ta zawiedzie i dlatego należało opracować schemat łącznych działań, chociażby na pierwszy okres napadu gazowego, kiedy żołnierze zostaną izolowani od dowódców, a ci od sztabów.

Przy opracowaniu tego planu zastanawiano się dłużej nad działaniem artylerji własnej i w konkluzji postanowiono, że w razie wypuszczenia gazu przez Niemców, o ile artylerja nie dostanie szczegółowego rozkazu od piechoty, będzie strzelać na wieś Adachowszczyznę. Osądzono więc, że wieś ta i najbliższe jej sąsiedztwo ma najlepsze warunki do napadu gazowego.

W razie gdyby napad był wykonany nocą, lub gdyby w dzień gęsta chmura dymu nie pozwoliła daleko widzieć, strzelcy otrzymali rozkaz strzelania wprost przed

siebie. Do zaalarmowania odcinka, sąsiadów i tyłów o napadzie gazowym w czołowych okopach znajdowały się gongi, dzwony i wiechy ze słomy, nasyczone smołą albo oblane naftą.

W razie masowych zatruć pomoc sanitarna nie była dostateczna. Na pozycji nie miano ani jednego większego schronu z dobrą wentylacją i z zapasem tlenu dla zagazowanych. Brak schronów jako tako urządzonych i dobrze się zamykających był dużym minusem. Większość pomieszczeń były to zwykłe jamy wykopane w ziemi, wejścia do nich zasłaniały płótna namiotowe.

Tak wyglądały przygotowania i urządzenia odcinka.

Dzień 24 października niczem się nie różnił od tuzina poprzednich. Od rana ze strony nieprzyjaciela pociągał niewielki wietrzyk równy i stały. Kolejne biuletyny meteorologiczne niezmiennie i podobnie jak w dni poprzednie donosiły, że stan atmosfery „bardzo sprzyja napadowi gazowemu ze strony nieprzyjaciela”. Biuletyny te przesyłano naprzód aż do czołowych okopów włącznie. Jednak z powodu ich stereotypowości (od dłuższego czasu brzmiały one jednakowo) nikt nie zwracał na nie już uwagi. Ze strony nieprzyjaciela nie widziało się jakichkolwiek nadzwyczajnych przygotowań.

Dla podniecenia czujności załogi dowódca odcinka zarządzał inspekcje. Naogół nie dawały one dobrych wyników. Żołnierze byli przemęczeni — duży odcinek i związana z tem ciężka służba, nie nastrajała ich pogodnie. Częste kontrole, jak sądzili, niepotrzebne, nużyły. Wrażenie otrzymane przy kontroli 24 października przez dowódcę odcinka przedstawiało się nieróżowo. Wszędzie dostrzegł przygnębienie i niewiarę w możliwość napadu gazowego. Ogólnie panował pogląd, że sztab „straszy niewiadomo który już dzień”.

Dowódca odcinka nie był zadowolony ze swego miejsca postoju, znajdującego się o trzy kilometry w tyle, ale bliżej odpowiedniego schronu brakowało. Mimo to Noskow zdecydował się na czas, dopóki będą wiały wiatry sprzyjające przeciwnikowi, przenieść się bliżej oddziałów. Dokonano tego właśnie 24 października o godzinie 16.

O tej godzinie również ze źródeł wywiadowczych otrzymano wiadomość, że nieprzyjaciel skierował na Baranowicze partję butli z gazem.

Przez cały dzień artylerja przeciwnika zachowywała się dość spokojnie. Praca lotnictwa również nie przekraczała codziennej normy.

Około godziny 20 sztab dywizji zawiadomił dowódcę odcinka, że warunki atmosferyczne na całym odcinku są „niezwykłe sprzyjające” dla Niemców. Rzeczywiście z ich strony dał ku okopom rosyjskim lekki, jednostajny wiatr bez żadnych większych przerw. Wieczór był jasny. Czyste niebo wskazywało, że nocą nie będzie deszczu. Późniejszy biuletyn meteorologiczny wskazywał na zmniejszenie się siły wiatru.

Rzeczywiście więc warunki napadu kształtowały się „wyjątkowo sprzyjająco”.

Około godziny 23 dowódca odcinka wrócił do swego schronu z kontroli wykonanych zarządzeń. Wypytani specjalsni obserwatorzy gazowi jednogłośnie oświadczyli, że przez cały dzień nic szczególnego nie widzieli ani słyszeli. Dowódca odcinka, będąc osobiście w czołowych okopach, również nic nie słyszał. Mimo to nakazał jak najdalej posuniętą czujność. Żołnierze mieli trzymać maski na piersiach otwarte i nie spać.

Ale trudno było do tego zmusić ludzi przemęczonych służbą i pracami ziemnymi. Z chwilą odejścia oficerów rozłazili się po swych norach i zasypiali twardo. Przy wiadomej szybkości rozchodzenia się gazu ten ciężki

sen zmęczonych ludzi w ciasnych, marmie zasłoniętych dziurach mógł się okazać wyjątkowo niebezpieczny.

Po godzinie 23 dowódca odcinka znalazł się w swym schronie, zbudowanym w odległości 600 kroków w prostej linii od okopów czołowych. Telefon znajdował się o dziesięć kroków w schronie sztabu. W dobrze nagrzanym pomieszczeniu dowódcy było duszno, więc uchylono drzwi nazewnątrz.

Nagle do schronu wniknął mdły, bardzo lekki zapach chloru. Początkowo dowódca pomyślał, że być może, jest to płód pobudzonej wyobraźni, jak to już nieraz zdarzało się w ostatnich dniach. W tejże chwili we drzwiach ukazał się telefonista i dysząc, zdążył powiedzieć: — Gaz!

Szybkość rozprzestrzenienia się gazu, który wyprzedził nawet meldunki telefoniczne, zdumiewała, tem bardziej, że wiatr osłabł i ucichł prawie.

Nastąpiła zupełna cisza. Na tle płomienia rakiet przez szkła maski widać było ciężką jasno-zieloną chmurę pełną ze strony nieprzyjaciela. Zdawało się, że górny jej skraj ogranicza ostro zarysowana linja.

Przez kilka minut telefon nie dawał żadnych wyjaśnień. Wszyscy zakładali maski i zabezpieczali swe źle bronione nory przed działaniem gazu. Gongi i dzwony milczały. A kiedy wreszcie zahuczały i zapłonęły pierwsze wiechy, na które liczono jako na najlepszy środek ostrzegawczy, gaz już wykonywał swą niszczącą pracę daleko w głębi ugrupowania rosyjskiego.

Mimo to, że przez pierwszych kilka minut nie dało się z telefonu korzystać, to jednak niektórzy telefoniści zdążyli podać wtył wiadomość o napadzie. Opóźnienie sygnalizacji świetlnej i dźwiękowej, okazało się zabójcze w głównej mierze dla pojedynczych żołnierzy i drobnych oddziałów, które dokonywały nocnych prze-

marszów. Na szczęście były one bardzo nieliczne, ale ta przyczyna zwiększyła ilość ofiar.

Powodem spóźnienia sygnałów było zaskoczenie. Zamiast z chwilą stwierdzenia gazu bić w gongi i dzwony oraz zapalić wiechy jak tego uczono ludzi w myśl instrukcji, obserwatorzy najpierw chwyтали za maski i dopiero po włożeniu ich wypełnili swe zadanie. Rozumie się byli i tacy, którzy postąpili jak należało, ale w pośpiechu uderzali za słabo i głos sygnałów nie dochodził się dość daleko.

Alarm nie rozprzestrzeniał się z błyskawiczną szybkością, jak należało. Coprawda brak było urządzeń, aby obserwator mógł dawać sygnały mechanicznie wraz z jednoczesnem nakładaniem maski.

Na pozycji królowała cisza i niepokój mimowoli zakradł się do serca. Taka cisza mogła przecież oznaczać, że obrońcy okopów ponieśli masowe straty. W takim wypadku front był przerwany i z chwilą zneutralizowania gazu nieprzyjaciel może wdrzeć się na tyły. Telefon, jak powiedziano wyżej, przez pierwsze minuty nie odpowiadał. Jedynym sygnałem mogła być strzelanina. I kiedy po dwóch czy trzech minutach rozległy się wystrzały karabinów powtarzalnych i maszynowych, każdemu ulżyło na sercu. Było jasne, że ludzie zdążyli włożyć maski i że okopy nie są na tyle puste, aby nieprzyjaciel mógł przez nie bezkarnie przejść.

Prawie jednocześnie z rozpoczęciem ognia zahuczały i zadzwoniły sygnały dźwiękowe, zapłonęły nie tylko wiechy ale i kępy chróstu, przygotowane do oczyszczenia okopów i zapola od gazów.

Zabrzączały telefony.

Podobne położenie trwało dwie — trzy minuty. Dotąd milcząca artylerja niemiecka rozpoczęła naraz silny ogień po okopach i sztabie odcinka, wykorzystując nie tylko poprzednie rezultaty wstrzeliwań, lecz i płonące

w okopach ogniska. Obrońcy okopów poczęli je gasić, ale do gaszenia brakło wody. Zadeptywanie zaś zmoczonego w smole chróstu niełatwa to rzecz, i wymagająca czasu, co wykorzystwała artylerja przeciwnika. Ogniem jej została częściowo porwana sieć telefoniczna. Zresztą i tak rozmowy telefoniczne przez maskę niewiele dawały korzyści, a zdjęcie maski wywoływało duszący kaszel.

Schron sztabowy przedstawiał się dość solidnie i przy zamkniętych drzwiach oraz zapalonem wewnątrz ognisku dla przyspieszenia przepływu powietrza, możnaby do niego nawet zupełnie nie dopuścić gazu. Cóż, kiedy coraz to do wnętrza wpadali jacyś pojedynczy ludzie, zaskoczeni w drodze, bez masek. Każdy taki osobnik przynosił ze sobą w odzieży chlor i wkrótce powietrze w schronie stało się niemożliwe. Aby zatelefonować, adjutant dowódcy odcinka spróbował zdjąć maskę. Ale już po pierwszych dwóch, trzech wdechach dostał takiego spazmu kaszlu, że dopiero dłuższe wdychanie tlenu pozwoliło go stłumić.

Do tego wybuchy pocisków nie dozwoliły korzystać z telefonu. Wogóle w czasie pierwszego kwadransa od chwili wypuszczenia gazu (od 23.55 do 0.10) dowódca został izolowany od swych podkomendnych. Urywkowe wiadomości z okopów nie dawały możności uprzytomnić sobie, co się tam dzieje. Ogólnie podawano, że przy wybuchach rakiet świetlnych widać przybliżające się do zasiek koleczastych łańcuchy piechoty nieprzyjacielskiej w maskach. Ponadto żądano ognia artylerji, ponieważ w okopach pozostało mało ludzi i w wielu wypadkach broń — karabiny maszynowe i powtarzalne okazały się niezdadne do użytku. Najbardziej prawdopodobny i naturalny był meldunek dowódcy pododcinka naprzeciw wsi Adachowszczyzna. Jeden z jego obserwatorów, doskonale ulokowany, widział dokład-

nie leżących między zasiekami żołnierzy nieprzyjacielskich oraz ruch pojedynczych ludzi i grup w prawo od wsi.

W tem położeniu ogień artylerji na Adachowszczyznę był pożądaný. Niestety łączność telefoniczna z artylerją nie działała. Szczęśliwie, choć z opóźnieniem, artylerja w myśl otrzymanych instrukcyj wykonała ten ogień.

Przyniósł on podwójną korzyść. Pociski powstrzymały nacierającego nieprzyjaciela a następnie wpłynęły na szybsze rozproszenie się gazu zebranego w okopach i we wgłębieniu przed niemi. Wskutek powietrznych prądów wywołanych wybuchami, chmura gazuwa po ostrzale do tego stopnia szybko zrzedła, że dało się zdjąć maski. Była to już duża korzyść. Na najważniejszym punkcie przyczółka znów widziało się gołem okiem, co dozwoliło dowódcóm zdać sobie sprawę z położenia.

Kilkakrotny późniejszy napływ gazów na tym pododcinku zmusił do ponownego nakładania maski. Ale trwało to krótko i nie przeszkadzało w obserwacji przedpola.

Gęsta mgła gazowa wobec zacichnięcia wiatru utrzymała się na przedmościu około godziny. O 1-ej w wielu miejscach odcinka dało się zupełnie zdjąć maski. W miejscu umieszczenia sztabu, który znajdował się w lasku i w sadzie, między owocowymi drzewami, gaz wskutek słabego prądu powietrza zatrzymał się dłużej. Jednak i tutaj o godzinie 1.30 chodzono już bez maski po bardziej odsłoniętych miejscach. Niemniej jednak należało być ostrożnym i nakładać ją, gdy tylko zapach gazu połaskotał nozdrza. Lekceważenie przez masę żołnierską szczątków gazu pozostałych bardzo długo (do 10 godziny) w dołach i trawie zwiększyło wydatnie liczbę ofiar. Okazało się, że wielu jest zatrutych

z pośród ludzi, którzy bez żadnej szkody przeszli przez pierwszy, najcięższy okres napadu. Zaufanie do maski było zupełne, ale wielu sądziło, że nie warto jej zakładać dla byle głupstwa.

W czasie pierwszej godziny napadu nieprzyjaciel korzystając z ciemności usiłował wtargnąć w okopy rosyjskie. Powiodło mu się to w jednym miejscu, lecz został wyrzucony. Wzięto przytem do niewoli jednego ciężko rannego Niemca.

O godzinie 1-ej artylerja nieprzyjacielska przerwała ogień. Od czasu do czasu tylko rzucała po kilka pocisków na okopy przy wsi Adachowszczyzna.

W nocy kilkakrotnie podnoszono fałszywy alarm, że nieprzyjaciel ponownie puszcza gaz. Okazało się, że są to szczątki wypędzane wiatrem z zagłębień. Zapytywani obserwatorzy meldowali, że podczas wypuszczenia gazów słyszeli syk chloru ulatniającego się pod ciśnieniem z butli, lecz obawiali się trwożyć daremnie. Zanim zdążyli sprawdzić swe spostrzeżenia, gaz doszedł już do okopów.

O świcie rozpoczęto pośpieszną ewakuację zatrutych na przysłanych osobowych i ciężarowych samochodach. Mimo, że Niemcy musieli wyraźnie słyszeć warczenie samochodów dojeżdżających do sztabu odcinka — artylerja ich milczała. Bez trudności więc wywieziono otrutych i rannych, których przy sztabie zebrało się nie mniej niż 250 — 300.

Ogółem straty wskutek zatrucia wyniosły 500 ludzi. Oprócz tego było 100 rannych od ognia artylerji. Na odcinku w okopach i w bliskich odwodach znajdowało się ogółem 1.200 żołnierzy, czyli straty osiągnęły prawie 50 procent.

Większość zatruc okazała się lekkimi, jednak powrót zagazowanych do służby wymagał dłuższego okresu czasu. Liczby zmarłych z zatrucia nie da się ustalić, po-

nieważ ewakuowani jako lekko zatruci nieraz umierali nagle w szpitalu. Jednak bez obawy popełnienia dużego błędu można powiedzieć, że umarło wszystkiego 12 — 15 ludzi, to jest nieco ponad 2 procent ogółu zatrutych.

Straty te są duże, zważywszy, że uczyniono wszystko, co się dało do przygotowania odparcia napadu. Cały szereg przyczyn złożył się na tę dużą cyfrę strat. W okopach brakowało jakichkolwiek pomieszczeń dobrze zamykanych i oświetlonych — stąd wypadki śmierci na miejscu. W niektórych norach byli ciężko zatruci, ponieważ przebudzeni nagle w ciemności nie mogli odnaleźć masek i, kiedy jeden począł się gorączkować i rzucać w ciemności, tem samem uniemożliwił innym znalezienie masek.

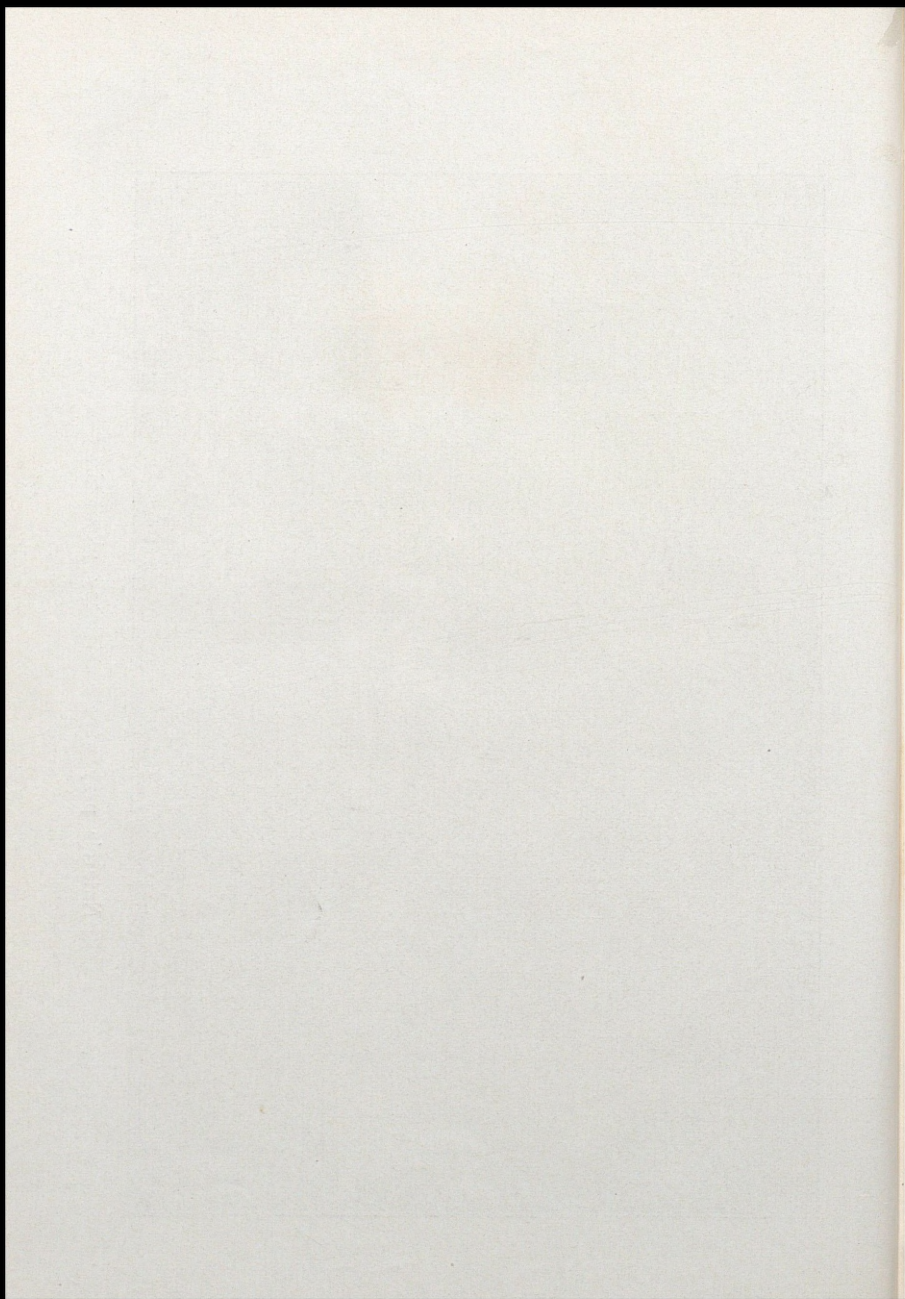
Z braku odpowiednich pomieszczeń nie można było zmusić ludzi do całonocnego czuwania. Wtedy ilość zatrutych byłaby bezwąpienia mniejsza. Zdarzały się i nieszczęśliwe wypadki. I tak jeden z bardziej rozgarniętych oficerów, wybiegających ze schronu oderwał maskę z tasemek, schylił się po nią i został śmiertelnie zatruty.

Drugą przyczynę wielkich strat widzę w niedoskonałości systemu sygnalizacji, wskutek czego nie zaalarmowano odrazu całego przedmościa.

Trzecią przyczyną było niedostateczne uświadomienie masy. Zdarzyły się wypadki paniki. Wbrew kategorycznym nakazom i naukom o szkodliwości biegania i wykonywania gwałtownych ruchów, niektórzy chcieli uciec przed nadchodzącą mgłą gazową i ginęli. Jeden z wzorowych podoficerów, który sam nieraz uczył żołnierzy obchodzić się z maską oraz wskazywał, jak mają się zachować wobec napadu gazowego, kiedy ten napad się zdarzył, nie włożył maski i wlaźł na drzewo. Zginął.



Natarcie przy użyciu miotaczy płomieni.



Zdarzały się również wypadki wprost przeciwne. Niektórzy żołnierze, zaskoczeni bez maski, okręcali głowę płaszczem czy też ciepłą kurtką i oddychając równo a wolno wyszli cało z niebezpieczeństwa.

Niemcom, jak powiedziałem, nie udało się zająć naszych okopów. W zasiekach drucianych znaleźliśmy dużo granatów przygotowanych do walki wręcz i trzy trupy. Rannych jak widać nieprzyjacieli uniósł ze sobą.

Intensywny ostrzał mostów na Szczarze dowodzi, że nieprzyjacieli liczył się z możliwością zajęcia przedmościa. Sądzić należy, że przeszkodził mu w tem rozpoczęty przez Rosjan we właściwym czasie żywy ogień z karabinów maszynowych i powtarzalnych.

„Faktem jest, że mimo wszystko, dziś, tak jak i przed wojną, krajem najwięcej zdolnym do podjęcia działań zaczepnych zapomocą gazów, działań najskuteczniejszych i najstraszliwszych są Niemcy.

Istotą bowiem tej gotowości nie jest człowiek w mundurze, człowiek na koniu, człowiek w zwartej czwórce, miarowym krokiem idący za dobrą muzyką wojskową, lecz jest to profesor chemik, inżynier - chemik, majster - chemik i robotnik - chemik, którzy razem stanowią sztab oficerów, podoficerów i szeregowych najpotężniejszej w świecie armji chemicznej Niemiec”.

*mjr. inż. F. Sarnek
w „Bellonie”.*

Z DZIENNIKÓW I LISTÓW ŻOŁNIERSKICH.

Co myśleli Niemcy o użyciu gazów? Notatka znaleziona przy podoficerze Eck z 7 pułku piechoty, wziętym przez Francuzów do niewoli w maju 1917 r. rzuca światło na tę sprawę.

— Wobec niemożności dostatecznego zalania pociskami artylerji sieci nieprzyjacielskich okopów rozciągających się daleko w głąb, a tem samem niemożności obezwładnienia wszystkich obrońców powzięto myśl, że da się to osiągnąć jedynie przez zatrucie ich. Należało wynaleźć środki praktyczne, działające na kilometry i tak skuteczne, ażeby wszystkie znajdujące się na tym obszarze istoty żyjące zostały zatrute. Po długich badaniach zatrzymano się na idei walki gazowej. Największe zasługi w tej mierze położył profesor Haber z Berlina. Ale należało jeszcze wykonać olbrzymią pracę, ażeby rzecz doprowadzić do pomyślnego rozwiązania...

Dzienniczek znaleziony przy zabitym żołnierzu Otto nie Volkmanie z 23 pułku piechoty dnia 23 czerwca 1918 roku następująco uzupełnia te rozważania.

— Jakim warunkom powinien odpowiadać gaz przeznaczony do walki?

1. Powinien być trujący, zabijać jak można najszybciej.
2. Musi być cięższy od powietrza.

3. Powinien mieć nikły zapach, żeby go trudno było wyczuć powonieniem.

Dlaczego zdecydowano się użyć gazów?

Ponieważ otrzymuje się maksimum wyniku przy najmniejszym zużyciu amunicji. Przed pociskami zwykłymi chroni sześć metrów sklepienia, tymczasem promień działania gazu od punktu upadku pocisku jest dość duży. Dzięki swej gęstości gaz przenika najsilniejsze schrony i dosięga ukrytych tam ludzi. Wreszcie jeden kilogram materiału wybuchowego kosztuje 2 marki 40 fenigów, a jeden kilogram chloru tylko 18 fenigów.

Wyjątki podane z listów przejętych u jeńców niemieckich świadczą o strachu, jakim gazy przejmowały żołnierza. Wyjątki te podawało do wiadomości wojskowe biuro prasowe, aby okazać że gazy sprzymierzonych również nie są zabawką.

I tak pisze pewien żołnierz z 10 kompanji 107 pułku rezerwowego niemieckiego:

— Dzisiejsza noc z 11 na 12 marca 1917 r. była nocą strachu. Przez dwie godziny nosiłem maskę — to było przerażające. Rankiem odniesiono wtył wielu chorych, jak również zabitych przez gaz żołnierzy. II bataljon stracił 218 ludzi.

Inny pisał w końcu czerwca 1917 roku:

— w 225 dywizji w czasie pogadanki o gazach upewniano, że maska niemiecka chroni przeciw nowemu gazowi francuskiemu, lecz żołnierze, wielu podoficerów i niektórzy oficerowie nie uwierzyli temu.

Rozkaz dowódcy XVIII korpusu niemieckiego gani beztroskę oddziałów wobec napadów gazowych, dorzucając z pewną melancholją.

— Ilość zatrutych wskutek bombardowania iperytem na odcinku jednego bataljonu w dniu 1 lipca 1918 roku wyniosła 117, w czem trzech oficerów. To wskazuje, że

karność gazowa jest niedostateczna... Czynię wszystkich przełożonych osobiście odpowiedzialnymi za szczególne przestrzeganie przepisów.

Jak widać z tych głosów żołnierzy i dowódców osiągnięcie moralnego pogotowia gazowego w oddziale jest rzeczą trudną, a stąd wymagającą niezwyklej karności i uświadomienia masy żołnierskiej i dowódców.

WOJNA GAZOWA W KARYKATURZE.



Na cmentarzu w Ypres.

— „I poco myśmy się właściwie tak nawzajem mordowali?”

(Rys. Rittermana w *Bilder aus Alltagsleben*).

DWA NAPADY GAZOWE NA FRONCIE RYSKIM W 1917 ROKU.

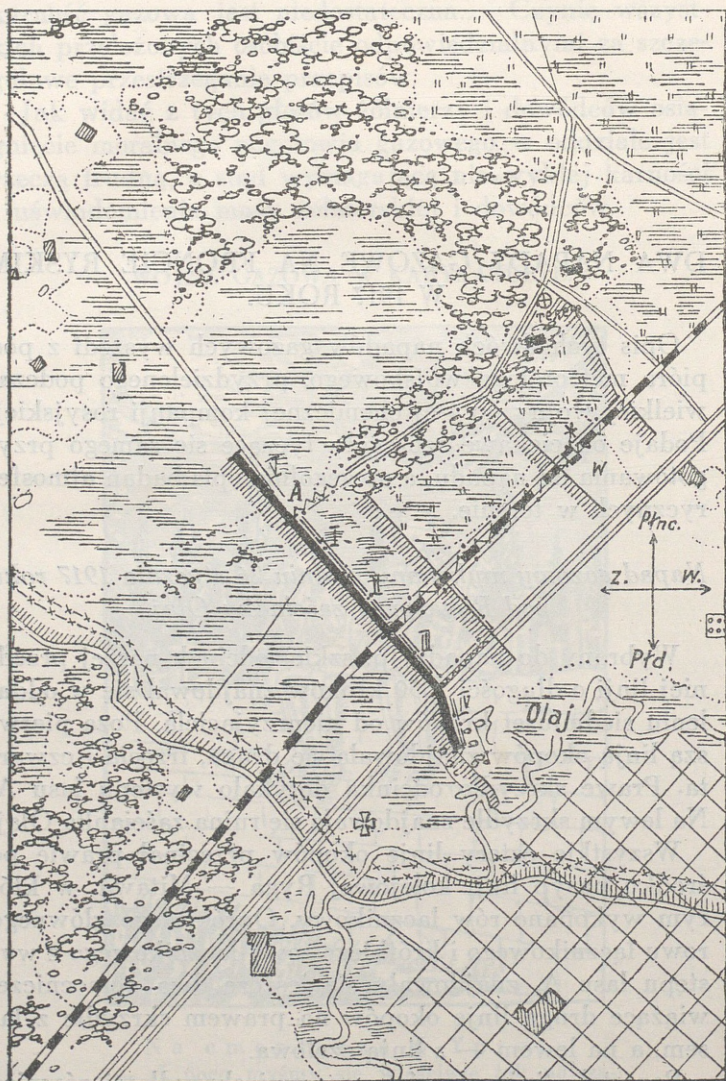
Opis tych dwóch napadów gazowych wyszedł z pod pióra meteorologa wojskowego, przydzielonego podczas wielkiej wojny do 4-ej chemicznej kompanii rosyjskiej. Podaje on ciekawe szczegóły dotyczące się samego przygotowania do napadu, a szczególnie opis badań atmosferycznych w terenie.

*Napad gazowy wykonany w dniu 26 stycznia 1917 roku
pod Rygą przy zaścianku Olaj.*

Wybrany do napadu (p. szkic) odcinek naszej przedniej linii o długości 1550 kroków znajdował się w oddaleniu siedmiuset kroków od nieprzyjaciela. Poza pierwszą linią okopów znajdowała się druga, trzecia i czwarta. Prawe skrzydło odcinka dotykało występu lasu A. Na lewym skrzydle znajdowała się ruina zaścianka Olaj.

Wszystkie cztery linie okopów przecinał prawie po środku nasyp linii kolejowej Ryga — Mitawa, w którym wykopano rów łącznikowy. Oprócz tego głównego rowu łącznikowego i krótkiego rowu łącznikowego z występu lasu A, znajdowały się jeszcze dwa pomocnicze, wiążące drugą linię okopów na prawym skrzydle z lasem, a na lewym — z linią czołową.

Pozostałe linie okopów prawymi skrzydłami również dotykały lasu. Kierunek odcinka gazowego był z NW na



Szkic pozycji przy zaścianku Olaj.

SE. Front nieprzyjacielski miał w tem miejscu mniej więcej ten sam kierunek do zaścianka Olaj, gdzie skręcał z W na E.

Oprócz miejsc zalesionych wszędzie było błoto, pokryte gdzie niedzie drobnemi krzakami. Teraz w zimie błoto zamarzło i pokrył je śnieg, co w dużym stopniu sprzyjało pracom saperskim na odcinku: poprawianiu okopów, ulepszaniu rowów łącznikowych i dostarczaniu butli z gazem do czołowej linii okopów. Butle te przewożono na małych ręcznych saneczkach.

Długi i wąski występ lasu, dochodzący w pobliże czołowej linii, dał możność umieszczenia skrycie tuż przy odcinku gazowym ludzi i całego chemicznego inwentarza kompanji. Z drugiej strony kierunek tego występu był jednocześnie pożądanym dla nas kierunkiem wiatru przy puszczaniu gazu (z NE na WS), chociaż można było zużytkować każdy wiatr odpowiedniej siły z kierunków między N i E.

Okopy nieprzyjacielskie znajdowały się nieco przed skrajem wielkiego lasu. Równinny teren między nieprzyjacielem i nami pokrywał śnieg, co sprzyjało zachowaniu koncentracji fali gazowej. Dopływ prądu powietrznego w pożądanym kierunku (NE) do odcinka gazowego był wszędzie swobodny oprócz kilku miejsc przy występie lasu A, gdzie dostrzeżono tworzenie się kilku drobnych ruchów wirowych. Podobne spostrzeżenia uczyniono przy ruinie zaścianka Olaj.

Stacja meteorologiczna kompanji mieściła się w schronie ziemnym, wykopanym w nasypie kolejowym w pobliżu trzeciej linii okopów. Do okopów czołowych było stąd 1350 kroków. Schron znajdował się na otwartej przestrzeni i w bliskości odcinka gazowego, co dozwalało z dostateczną ścisłością według czynionych przy schronie obserwacyj wiatru, sądzić o szybkości i kierunku wiatru na samym odcinku. I rzeczywiście rozpo-

znanie anemometryczne nie stwierdziło widocznej różnicy w obserwacjach przy schronie i na samym odcinku gazowym, oprócz wspomnianych już dwóch miejsc — przy występie lasu i zaścianku Olaj. Zaobserwowane w tych miejscach wahania jak co do swej siły i kierunku wiatru, nie przekraczały dopuszczalnego odchylenia. Zauważyć należy, że centralne umieszczenie schronu meteorologicznego w stosunku do odcinka gazowego dawało również dużą korzyść przy kierowaniu stąd wypuszczeniem gazu. Nad schronem, na drągu wysokości około dwóch metrów znajdował się pomalowany na białło wiatromierz. Oprócz niego mieliśmy następujące instrumenty — barograf, aneroid, psychrometr Assmana, sześć anemometrów Fusa ¹⁾, sześć zegarków, sześć sekundomierzy, jedną połowę pryzmatyczną lornetkę, aparat fotograficzny i telefon. Meteorolog miał do swego rozporządzenia dwunastu żołnierzy, których nauczył robić obserwacje meteorologiczne. Prowadzono je systematycznie co godzinę. Oprócz tego czyniono częste obserwacje na odcinku gazowym, aż dopóki nie załadowano tam butli z gazem w rowach.

Wobec znacznej rozciągłości odcinka dla ułatwienia kierownictwa przy wypuszczaniu gazu podzielono ten odcinek na cztery pododcinki plutonowe, które połączono telefonicznie między sobą jak również ze schronem meteorologicznym. Oprócz tego jeden przewód telefoniczny prowadził od tych pododcinków do schronu dowódcy kompanji, znajdującego się w lesie obok schronów kompanji chemicznej i do schronów dla butli z gazem. Schron meteorologiczny był połączony ze schro-

¹⁾ Barograf — barometr samopiszący, notujący zmiany ciśnienia atmosferycznego, aneroid — barometr metaliczny, psychrometr albo higrometr — przyrząd do oznaczania wilgotności powietrza, anemometr — przyrząd wskazujący szybkość wiatru.

nem dowódcy kompanji, skąd istniało połączenie ze sztabami aż do sztabu dowódcy armji włącznie.

Odcinek gazowy został załadowany dwoma tysiącami butli. W każdej z nich znajdowało się w przybliżeniu około dwóch pudrów (32 kg) płynnego chloru. Butle po wkopaniu połączono tak zwanymi kolektorami w baterje, po sześć sztuk w każdej. Niektóre baterje miały tylko pięć butli.

Przy wyjściu gazu z kolektora przechodził on do węża, zakończonego pulweryzatorem, skąd już dostawał się do atmosfery. Jak pokazało doświadczenie, baterja opróżniała się przeciętnie w trzydzieści pięć minut. Z tych danych nietrudno obliczyć koncentrację fali gazowej, która niewątpliwie była śmiertelna. Wężę przymocowano do kolektorów dopiero przed samem wypuszczeniem gazu, a przed tem jeszcze o zmierzchu przeciągnięto wyloty ich przez strzelnice. Do pracy w ciemności, w okopie, żołnierze posiadali latarki ze świeczkami.

Jak wyżej powiedziano, pożądany kierunek wiatru dla wypuszczenia fali gazu, był NE, chociaż mógł być wykorzystany każdy wiatr z kierunków między N i E. Dopóki szły prace przygotowawcze, udało mi się zauważyć kilka razy następujące zjawisko. Kiedy barograf notował przechodzenie cyklonu przez miejsce obserwacji i kiedy przy zniżającej się części barogramu dał SudEst, to przy przejściu do rosnącej części barogramu wiatr przekładał się na Nord Est, albo blisko niego, przy czem długotrwałość tego wiatru w przybliżeniu równała się długotrwałości pierwszego. Zjawisko to tłumaczyłem sobie tem, że drogi cyklonów miały w tym czasie stały charakter, wobec czego środek cyklonu przy jego przemieszczeniu znajdował się za każdym razem w określonym stosunku do miejsca rozmieszczenia bojowego odcinka. Zadowoliliśmy się dość dużą ilością obserwacyj,

potwierdzających słusność mego wniosku, mogłem z dużym prawdopodobieństwem oczekiwać powtórzenia tego zjawiska również w przyszłości. Przytem zdecydowałem się wykorzystać każdy wiatr z kierunków NE, jeżeli, jak według barogramu należało oczekiwać, NE będzie miał dążność do utrzymania się przynajmniej w ciągu kilku godzin.

24 stycznia zakończono prace przygotowawcze w okopach. Pozycja została załadowana i otrzymano rozkaz wykorzystać pierwszy przyjazny wiatr. Dnia 26 stycznia o godzinie 11 miałem możność na podstawie rozważań podobnych do podanych, przepowiedzieć zmianę wiatru na Nord Est wieczorem tego dnia. O godzinie 17 ustalił się słaby wiatr tego kierunku. Kompanja była gotowa do działania i obserwatorzy z pododcinków poczęli regularnie co pięć minut komunikować telefonicznie o kierunku i sile wiatru z każdego pododcinka. Wobec słabości wiatru i jego dążności do przejścia z NE na NNE, zaproponowałem niezwłocznie, po ukończeniu wszelkich przygotowań, przystąpić do wypuszczenia gazów.

O godzinie 17.55, po wycofaniu znajdujących się na przedzie czujek i placówek oraz piechoty z przedniej linii, dowódca kompanji chemicznej dał ze swego schronu na pododcinku rozkaz — „gaz!”

Temperatura wynosiła minus 6 stopni Celsjusza. Przez postrzępione na niebie obłoki przeglądał księżyc, który dozwolił nam dostrzec z miejsca, gdzie znajdował się nasz schron, jak gęsta chmura gazu początkowo podniosła się na wysokość 3 — 4 metrów w górę i jakby zastygła na miejscu. Następnie poczęła powoli pełznąć w kierunku nieprzyjaciela, zachowując jednak swój zarys.

Nie wszystkie baterje zostały jednocześnie otwarte. wobec czego wypuszczenie trwało 65 minut. Kierunek

wiatru chwiał się między NE a NNE i szybkość zmieniała się od 1,5 do 2,5 metrów na sekundę.

Do chwili wypuszczenia gazów na froncie panowała zupełna cisza. Nieprzyjaciół jak zwykle oświecał nasz okop białymi rakietami.

Po kilku minutach od wypuszczenia gazu przeciwnik wyrzucił kilka zielonych rakiet, a następnie czerwonych, poczem jego artylerja znajdująca się poza strefą fali gazowej, rozpoczęła chaotyczny ogień na nasz odcinek. Nie przyniósł on nam żadnych szkód.

Okopowa zaś artylerja nieprzyjaciela, która znalazła się w strefie gazowej, nie strzelała zupełnie. Przy pierwszym wystrzale działowym przeciwnika nasza artylerja, jak to było umówione, rozpoczęła intensywny ogień i wkrótce baterje niemieckie zamilkły.

Strzelaniny karabinów powtarzalnych i maszynowych nie było zupełnie.

W czasie wypuszczenia gazu i ożywionego strzelania odcinek oświecał zdaleka reflektor nieprzyjacielski ze strony Mitawy, lecz wkrótce zagaś.

Na odcinku przeciwnika, na który poszedł gaz, panowała zupełna cisza. Nawet rakiety przestały się pokazywać i tylko widziało się je na lewo i na prawo od tego odcinka. Było rzeczą oczywistą, że front przeciwnika na długości około jednego kilometra został przerwany. Pozostawało tylko zakończyć sprawę z takim powodzeniem rozpoczętą.

Oprócz mnie i dowódcy kompanji działaniu gazu przypatrywali się jeszcze zebrani obok mego schronu dowódcy oddziałów piechoty, ubrani w białe płaszcze. Otrzymali oni od dowódcy armji rozkaz w razie udania się napadu gazowego wykorzystać powodzenie. Zauważyłem, że natarcie gazowe wywarło na nich silne wrażenie. Urządzili też zaraz naradę, na której zastanawiali się, w jaki czas po wypuszczeniu gazów będzie można

nacierać bez obawy zatrucia. Dowódca kompanji i ja wskazywaliśmy, że piechota powinna iść niezwłocznie wślad za falą gazową — ryzyka przytem niema żadnego, ponieważ żołnierze mają maski.

Narada odbywała się dość długo i dopiero przed świtem zdecydowano się posłać pięciu zwiadowców z oficerem. Wrócili oni bardzo szybko z meldunkiem, że ich przeciwnik ostrzelał. Wiadomość tę przyjęli dowódcy bez żadnych oznak niezadowolenia...

Nie warto jednak zatrzymywać się dłużej na tym smutnym obrazie zupełnego rozkładu korpusu dowódców, który był pierwszą oznaką rozkładu wojska.

Rankiem 27 stycznia obserwatorzy artyleryjscy zawiadomili, że na całej długości linii przeciwnika widać ożywione prace, mające widocznie na celu zneutralizowanie gazu, a na drogach masowy ruch wozów sanitarnych. Z okopów widzieliśmy, że wzdłuż frontu i w lesie płonęły liczne ogniska. Całą okolicę zasnuły dymy, zwłaszcza że wiatr ucichł zupełnie. Około godziny 20 słaby przeciąg powietrza ze strony przeciwnika przyniósł do nas dym i zapach chloru. W okopach rosyjskich uderzono na „trwogę gazową”. Wkrótce słaby prąd powietrza, już z naszej strony, poniósł cały ten dym znów ku nieprzyjacielowi.

W tydzień po wypuszczeniu gazu u przeciwnika ukazały się dwa balony na uwięzi — obserwatorzy artyleryjscy meldowali o ustawieniu przez niego nowych ciężkich baterij. O świcie 10 lutego bez żadnego widocznego powodu ¹⁾ nieprzyjaciel ostrzeliwał nasz odcinek pociskami 9 calowemi (23,5 cm). Ostrzeliwanie trwało cały dzień i znacznie uszkodziło nasze okopy i rowy łącznikowe.

¹⁾ Później już dowiedziałem się, że z naszej strony przeszedł do nieprzyjaciela jakiś żołnierz i ten prawdopodobnie zawiadomił go o nowych przygotowaniach do natarcia gazowego.

Napad gazowy 9 marca 1917 roku.

W czasie pierwszego natarcia na skrajnem lewem skrzydle, na pododcinku czwartym, wkrótce po wypuszczeniu gazu z butli, ludzie musieli odejść do drugiej linii okopów. Zdarzyło się tam, że fala gazowa wskutek znacznej ilości ruin i słabego wiatru, zatrzymała się i nawet poczęła cofać wtył. Wobec tego przy planowanym drugim napadzie gazowym wybrano odcinek frontu bardziej w prawo. Poza tym odcinkiem las był dość odległy, wobec czego dostęp mas powietrza przy wietrze z Nord Est nie napotykał tu żadnej przeszkody.

8 marca załadowano na pozycji 1557 butli gazowych. O godzinie 20 ustalił się NNE średniej siły, oczywiście antycyklonicznego pochodzenia. Zameldowałem, że nocą będzie można wypuścić gaz. Natychmiast posłano ludzi do okopów. Od północy 9 marca, regularnie co pięć minut, poczęły do schronu meteorologicznego przychodzić meldunki o sile i kierunku wiatru, kolejno ze wszystkich pododcinków. Obserwacje przy schronie prowadził mój pomocnik.

Wypuszczenie gazów rozpoczęto o godzinie 3.15 i ukończono po godzinie 4.15. Wiatr co do kierunku chwiał się od NNE do N, siła wiatru od 2,6 do 3,8 metrów na sekundę. Pogoda była dość chmurna, temperatura 8,5 stopnia poniżej zera.

Jak tylko fala gazowa doszła do nieprzyjaciela, wzdłuż całego frontu wzbily się w niebo zielone rakiety. Ciężka artylerja przeciwnika, znajdująca się za zaściankiem Peterhof, rozpoczęła strzelać, ale wkrótce obłok gazowy dotarł do niej, więc ogień przerwała. Nasza artylerja nie strzelała zupełnie.

Tym razem fala gazowa przeszła nieco naukos od linii wypuszczenia gazu i sunęła na dość dużej odległości wzdłuż okopów nieprzyjacielskich.

Należy powiedzieć, że przy tym drugim napadzie gazowym nie widziałem tego entuzjazmu co przy pierwszym. Nastrój był taki, że raczej dążyliśmy do odczepienia się od niepotrzebnego balastu, niż staraliśmy się o zadanie klęski nieprzyjacielowi. Na drugi dzień kompanja zebrała swe chemiczne manatki i następnie ruszyliśmy do Rygi. N. Jakobi.

WOJNA GAZOWA W KARYKATURZE.



Niemiecki Olimp.

Mars w nowym rynsztunku. Karykatura wojny gazowej. (K. Reimer *Fantasio* 1916 r.).

Mars w masce, z aparatem gazowym, czy też miotaczem płomieni na plecach.

Przestraszony gołąb pokoju ucieka.

DRAMAT NA MONT CORNILLE.

Czy trzeba gazów trujących — chloru, fosgenu, chlo-ropikryny, iperytu do porażenia nieprzyjaciela? Nie. — Czasami zwykły pocisk wypełniał to samo zadanie.

30 maja 1917 roku czwarta armja, pod rozkazami generała Anthoine'a, rozpoczęła atak celem owdładnięcia wzgórza Mont Cornille na masywie Moran Villiers. Nocy poprzedzającej, podczas bombardowania, pociski zawa-łyły wejścia do obszernego tunelu, o którym wiadano, że istnieje na północnym stoku w kierunku na Nauroy. Podczas ataku, rozpoczętego o godzinie 16.25 przez 1 pułk żuawów, wzięty do niewoli oficer niemiecki opowiedział, że ku swemu zdziwieniu nie widząc, aby kto wychodził z tunelu, pobiegł wtył chcąc zaalarmować załogę, ale napróżno krzyczał przez kanał wentylacyjny. Dobiegłszy do wejść tunelu znalazł jedno z nich zawa-lone, a dwa inne zapchane trupami. Załoga tunelu nie dawała żadnego znaku życia.

O godzinie 17.30 zbadano sprawę na miejscu i wyja-śniono tajemnicę. Stwierdzono mianowicie, że jeden z naszych pocisków 400 mm, wystrzelonych rankiem, wdarł się do kanału wentylacyjnego galerji i zatrul tlen-kiem węgla dwa bataljony. Zbadanie tunelu przez leka-rzy Forestiera i Lumiéra odsłoniło straszną tajemnicę.

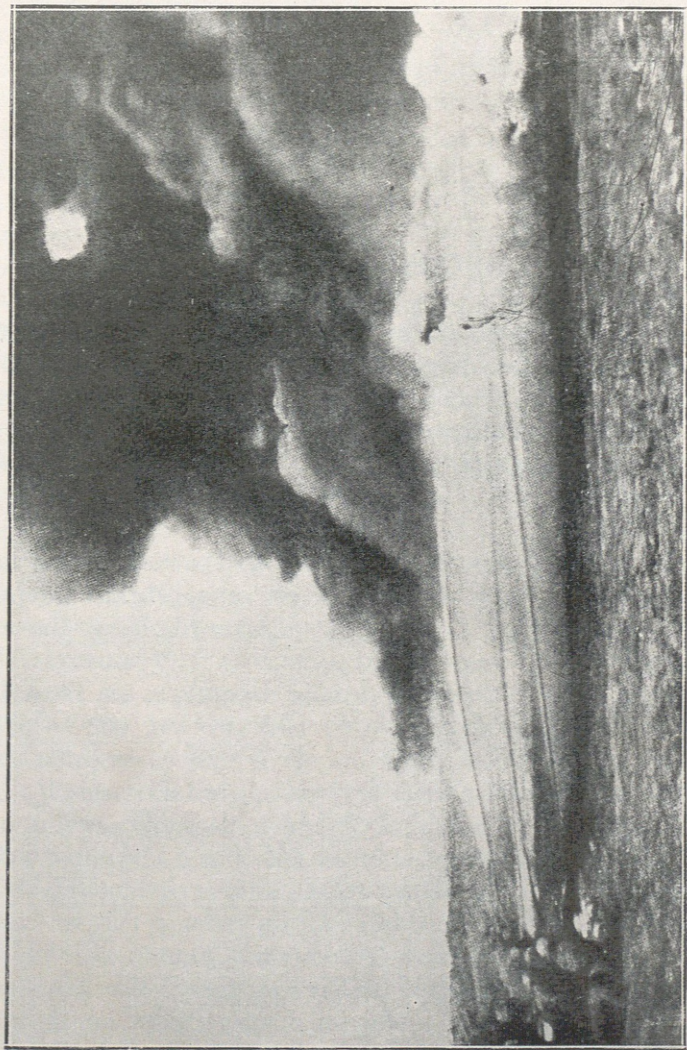
Niemcy, przygotowani do przeciwnatarcia, pod grozą zatrucia rzucili się ku wyjściom, przez które nie zdołali się już przedostać, zatykając je zwałem trupów.

Ostatni pocisk zawałił skrzyżowania galerji poprzecznej i zmiądzzył izbę, gdzie znajdowali się dwaj dowódcy bataljonów. Z tej jaskini śmierci lekarze wyprowadzili nazewnątrz tylko jednego żyjącego.

Zatrucie kilkuset ludzi w ciasnym schronie przez duży pocisk nie przedstawia nic osobliwego zważywszy, że jeden kilogram materiału wybuchowego, którym są ładowane pociski, np. trójnitrotoluolu daje przy spaleniu 800 litrów gazu.

„Ten, kto podlega możności zagazowania, a teraz jest nim każdy — powinien wiedzieć, że nigdy nie znajdzie się na łasce napadu gazowego o ile będzie umiał praktycznie posłużyć się środkami ochronnymi, jakie ma do dyspozycji...”

Dr. Büscher.



Baterja miotaczy płomieni.

Printed and bound by

PIĘĆSET TONN CHLORU.

Napad niemiecki, wykonany w styczniu 1917 roku, w Szampanji był ostatnim skutecznym napadem gazowym przy użyciu fali trującej. Odcinek gazowy miał 9,3 kilometrów. Niemcy użyli chloru zmieszanego z chłopikryną. Wypuszczono dwie fale w odstępie 80 minut, po 40 minut każda.

...Fala chlorowa była straszliwą bronią przeciw oddziałom, znajdującym się w okopach, a nie posiadającym odpowiedniej maski.

31 stycznia 1917 r. u stóp płaskowyżu Moronvillers podniosła się z okopów nieprzyjacielskich, oddalonych o 150 — 900 metrów, fala gazowa. Była ładna pogoda przy temperaturze — 5 stopni. Słaby wiatr dał prostopadle do naszych linii, pokrytych cienką warstwą zmarzłego śniegu. Odcinek uchodził za spokojny i cisza zupełna panowała u nas. Nie zainteresowano się też kłopotami białawymi dymkami, które podniosły się nad okopami nieprzyjaciela, nie zainteresowano się też ani szczękaniem metalu, ani pracami ziemnymi, które w poprzedzających dniach prowadzili tam Niemcy. Uszło to wszystko uwadze naszych czujek.

Po południu artylerja nieprzyjaciela rozpoczęła gwałtowny ogień na północ od Prunay — Baconnes, na od-

cinku dziesięciu kilometrów. Ogień karabinów maszynowych był tak silny, że wszyscy obserwatorzy musieli schronić swe głowy. Nagle o godzinie 16 bez dostrzeżenia żadnych świstów przy wyjściu, zobaczono posuwający się ku naszym linjom obłok białawego dymu. Człowiek, który się śpieszy, nie siedłby prędzej od niego. Początkowa wysokość obłoku jeden metr wzrosła wkrótce do sześciu. Był on tak gęsty, że pewien porucznik, idąc torem kolejki 60 cm, nie widział szyn.

2
— Fala gazowa o zapachu chloru utrzymywała swą gęstość około czterdziestu minut. Po przerwie dziesięcominutowej, znów wzmocniona na nowo, trwała ponownie czterdzieści minut. Poza ostatnimi strzępami fali chlorowej posuwały się patrole nieprzyjacielskie, odziane w białe bluzy i zaopatrzone w maski. Przeniknęły one do naszej pierwszej linii dla zabrania dokumentów i upewnienia się, że chlor wypełnił swe dzieło śmierci.

Działaniu tego napadu gazowego było poddanych dziesięć tysięcy ludzi¹⁾. Dwustu pięćdziesięciu żołnierzy zmarło natychmiast w okopach. Byli między nimi bohaterowie. Tak na przykład podoficer Richard, z 75 kompanii artylerji okopowej, który zdjął maskę, żeby móc lepiej strzelać. — Padł na dziale. Podobnie nie troszcząc się o swoje życie nieznanego nazwiska trębacz z 27 pułku terytorjalnego trąbił na „alarm gazowy” aż do śmierci.

Zatrucia nie wystąpiły w jednym czasie. Maksimum zagazowanych ewakuowano w cztery godziny po napadzie gazowym, a nawet na drugi i na trzeci dzień.

Z sześciu pułków, dotkniętych tym napadem, dwa stojące na skrzydłach najmniej ucierpiały. Jeden z nich był tylko muśnięty skrzydłem fali a drugi znajdował się o 900 metrów od nieprzyjaciela. Największe straty

¹⁾ Piątą część z nich została zatruta.

poniósł pułk terytorjalny, który zajmował Prosnes — miał on 644 zatrutych, to jest 44 procent swego stanu. 14 procent pułku zmarło.

Fala gazowa była tak silna, że zanotowano cztery zatrucia śmiertelne w Somme-Suippe w odległości 16 kilometrów od frontu. Zapach chloru dotarł do Aure, miejscowości położonej o 30 kilometrów w tyle.

Ogólna ilość zmarłych wyniosła 531, z których 281 zmarło w szpitalach, pozostali jeszcze w okopach. Ogółem zagazowanych było 2062 żołnierzy, czyli piąta część załogi całego odcinka została dotknięta, z czego 25 procent śmiertelnie.

Na froncie francuskim był to najpotężniejszy napad gazowy, przy którym wypuszczono 500 tonn chloru, ale nie był on najbardziej zabójczy.

Najwięcej ucierpiały oddziały terytorjalne, słabsze fizycznie, z drugiej strony sanitariusze noszący zagazowanych. Z czterdziestu sanitariuszy dwunastu należało ewakuować, ponieważ maska M2 nie chroniła dostatecznie żołnierza zmuszonego maszerować.

Badania, przeprowadzone przez lekarza majora Lévêque, wykazały przyczyny zatrucia.

Maski źle dopasowane	29,5%
Maski zdjęte za wcześnie	28,5%
Maski włożone zbyt późno	6,0%
Maski nie włożone	2,5%
Maski w złym stanie	5,5%
Ludzie oddychający z wysiłkiem przez maskę	7,0%
Maski przypadkowo zsunięte (zwłaszcza przez kaszel)	13,0%
Zamiana maski	2,0%
Różne	7,0%

NAGŁA ZMIANA WIATRU

(epizod z frontu zachodniego).

Od kilku dni nieprzyjacieli zachowuje się dziwnie.

To strzela nagle salwami, to znów powoli, lecz długo bombarduje niektóre punkty i niszczy gdzie niegdzie rowy łącznikowe.

Mizerny stan naszych okopów pozwala mu na łatwą obserwację.

Balony niemieckie wiszą ciągle na widnokręgu. Obserwatorzy widzą z nich długie kolumny robotników, których ilość wzrasta z każdym dniem.

Wówczas rozpoczyna się bombardowanie całego odcinka, które więcej przyczynia szkód w okopach niż strat w ludziach.

26 marca 1917 roku punkt obronny Czarnagóra jest ostrzelany gwałtownym ogniem artyleryjskim — są straty.

Wróciwszy do swego schronu Mancourt zastał obiad gotowy.

— Jedzmy — rzekł do oficera swej kompanji Rido-
na — nie traćmy czasu, możemy mieć bitkę jeszcze dzisiaj wieczorem.

— Czy wypad, panie kapitanie?

— Nie, zasieki są nietknięte, ale nie można ufać.

Kapitan spożywał szybko posiłek. Przy deserze usłyszeli żalosny i przenikliwy ryk syren, rozdzierających powietrze — rrin! rrin! rrin!

— Napad gazowy! napad gazowy!

Wszyscy się śpieszą, aby dopaść do aparatów Tissota, rozwinać je i zasłonić twarz maską.

Zapadła noc. Z czołowych linii wylatują zielone rakiety. Ryczą klaksony.

Z młyna w Monely dochodzi prędko ostatnim tchem grane hasło. — Miejcie się na baczności!

Mancourt biegnie do obserwatorium. W odległości około tysiąca metrów biały obłok zdaje się posuwać ku naszym okopom z wielką szybkością. Obłok ten ma taki układ, że możnaby go wziąć za jedną z tych mgieł wiosennych, tak częstych w błotnistej dolinie rzeczki Vesle.

Jednak zielone sygnały ciągle wzlatują wgórę. Tu i ówdzie przy wejściu do schronów płoną wielkie ogniska.

Słychać głośniejsze łoskoty. Wybuchają szrapnele, wykwitają krótkie czerwone błyski — nasza artylerja kładzie ogień zaporowy.

...Nazajutrz wieczorem Ridon przychodzi z maską Tissota, przewieszoną przez ramię.

— Teraz, panie kapitanie, już mnie nie zaskoczą ci gałgany Niemcy.

— Ech! wczorajszy alarm wieczorny — to nic poważnego... Ale jeżeli zamiast pocisków, pošlą nam chmury trujące to będzie mniej zabawne.

— Dzisiaj kierunek wiatru temu sprzyja. Mam przecucie nowego alarmu.

— Rrin! rrin! rrin!

— Atak gazowy!

— O zwierzęta, nie dadzą nigdy zjeść spokojnie.

W trzydzieści sekund aparaty są założone i wszystkie

środki ostrożności zastosowane. Wczorajszy alarm był próbą — dzisiaj każdy zna dokładnie swoją rolę.

Mancourt poszedł do obserwatorium — ten sam widok co wczoraj.

Tym razem nie można wątpić w istnienie chmury gazowej. Olbrzymia ciemna zasłona wznosi się aż do nieba i posuwa naprzód z dużą szybkością...

Trąbka gra i gra. Rzuca ostre, zadyszane dźwięki... złowrogie, wywołujące w każdym poczucie całej powagi śmiertelnego niebezpieczeństwa, jaki mu zagraża. Urwane ryki syren wstrząsają powietrzem.

Fala gazowa przybywa i zatapia czołowe okopy nie wstrzymując swego marszu.

— Ależ ona się oddala.

Niemy, osłupiały Mancourt widzi ze zdziwieniem, jak olbrzymia ruchoma zasłona odsuwa się w wprost przeciwną stronę ku wschodowi, jakby pchnięta niewidzialną siłą.

I rzeczywiście, od strony fermy Moscou dochodzą sygnały, osłabione przez odległość.

— Na Boga! — wykrzyknął ktoś — patrzcie na chorągiewkę na wzgórzu, kierunek wiatru zmienił się zupełnie.

— Bogu dzięki! mamy pomyślny wiatr.

Na odcinku tym napady gazowe były częste, i wielu ludzi zostało zatrutych. Niemcy wypuścili sześć fal gazowych w ciągu jednego dnia.

H. Liberman.

BITWA MASEK.

(Wrażenia dziennikarzy z ofensywy brytyjskiej w kwietniu 1917 roku w Artois między Saint-Quentin a Quent).

Na dwóch końcowych punktach pozycji Hindenburga, jak dwie wieże narożne, które flankują stare zamki, wznoszą się dwa umocnione osiedla, których nazwy często wspominają komunikaty wojenne. Jest to Fresnoy na północy i Bullecourt na południu. Widziały one wokół siebie wiele bitew.

Udajemy się w okolice Fresnoy. Tu okopy przeciwników tak się zbliżyły i splotły, idąc w węzownicach przez ruiny, że przypominają warcabnicę, na której pionki białe i czarne są tak przeplecione, jak je w pewnym momencie przerwy unieruchomiła gra.

Pole bitwy było wczoraj i przedwczoraj zarzucone masą pocisków trujących. Dzisiaj jeszcze w sześć godzin po ostatniem bombardowaniu idziemy wśród trującego zaduchu, stęchlizny gazów chloru czy jakichś innych, które mimo wiatru, pozostały w tysiącach dziur i lejów.

To wzajemne szafowanie przez przeciwników gazem charakteryzuje natarcia i przeciwnatarcia, ograniczone lecz wściekłe, miejscowe lecz prowadzone dużemi od-

działami, epizodyczne a zarazem nieublagane, które dniem i nocą toczą się wokół tych dwóch wiossek. Maski jest tu równie cenna jak granat czy karabin. Podobnie jak w „Karnawale Strachu”, według wzoru Edgara Poe, można było widzieć nocą 9 kwietnia, na zachodnich stokach Fresnoy, jak całe pulki zamaskowane mordowały się i zabijały pośród ciemnych oparów, którym blask księżyca nadawał wygląd fantastyczny. Ciała żołnierzy przybrały dziwne formy. Porzuciwszy broń walczący chwyтали się za gardła, ażeby zerwać swe przyłbice. Nie wielu brano jeńców w tych bojach. Rannych było jeszcze mniej. Śmierć jedna podliczyła wszystko.

Henri Rufin. André Tudero.

„Niemcy, Francja, Wielka Brytania i Stany Zjednoczone miały ogółem ponad 500.000 zagazowanych, z czego zmarło 2 — 4%. Ogólna liczba wojsk gazowych wynosiła 15.000. Gaz był więc najskuteczniejszą bronią na wojnie”. A zarazem dającą najmniejszą ilość zgonów, mimo że użyto go w wojnie światowej po raz pierwszy w rozmiarach olbrzymich.

NA PRZEDMOŚCIU.

W powieści, napisanej przez carskiego generała Krasnowa, „Od dwugłowego orła do czerwonego sztandaru”, znajduje się opis napadu gazowego, dokonanego przez Niemców na pozycje rosyjskie wiosną 1917 roku. Autor nie podaje miejsca, gdzie napad ten był wykonany, lecz obraz naszkicowany przez niego jest typowy dla wschodniego frontu w 1916 roku i oparty prawdopodobnie na osobistem wspomnieniu.

Wiele oddziałów rosyjskich było już wtedy zaopatrzonych w maski. Ale zdemoralizowane wojsko znajdowało się w stanie rozkładu, który doprowadził do jego unicestwienia.

Krasnow, opisując napad gazowy, miał kilka wzorów. W 1916 i 1917 r. Niemcy przy pomocy gazów zdobywali przedmościa rosyjskie w Jakobstadt na Dźwinie, nad Szczerą pod Baranowiczami, przy wsi Toboły na Stochodzie, na Serecie pod Tarnopolem i t. d.

Jeden z drugorzędnych bohaterów powieści, żołnierz Pantiuchow, stoi na posterunku obserwacyjnym w okopie na umocnionej pozycji. Uwagę jego przyciąga jakiś niezwykle szum, dochodzący ze strony niemieckiej.

— Jak tam coś u nich szumi... — myśli Pantiuchow. — Jakby lokomotywy puszczały parę. A skąd że to Niemiec ma maszyny, kiedy ich dotąd nie miał?

Wtem straszna myśl przeszła mu mózg.

— Gazy... Gazy duszące będą puszczać! Już puścili, więc...

I wszystko to, co go uczono, co kilkakrotnie powtarzał przy dowódcy korpusu, powstało w jego umyśle z jaskrawą wyrazistością. „Najpierw trzeba włożyć maskę, później uderzyć na trwogę, dać znać do baterji, rozpaścić ognisko, jak gaz podejdzie zalewać go wodą, bo on się wody boi. Zatrutego człowieka cucić tlenem”.

— Ach, mój Boże, gdzież moja maska? Święta Pannienko, zbaw nas grzesznych!... Co to będzie!... Co z tego będzie!...

Pantiuchow biegł po okopie, nie wiedząc, za co się wziąć. Chciał rzucić zieloną raketę, sygnał trwogi, pobiegł do skrzynki z raketami a ta — patrzy — zalana wodą. Przed trzema dniami padał deszcz, skrzynki nie wynieśli, a ktoś przecież mówił, że należy ją wynieść. I zapalki pływają w wodzie. Pantiuchow chciał zatelefonować do baterji, lecz tak zgłupiał, że nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest telefon artyleryjski.

Wydało mu się, że już czuje gaz i wtedy przypomniał sobie, że cały tlen chłopcy, zabawiając się, wypuścili. — A kwaśny ten tlen — przypomniał sobie Pantiuchow — i lekki, ciągniesz go jak lemoniadę.

Pobiegł do najbliższego schronu i szeroko rozwarł drzwi. Na narach tliła się lampka. Ośmiu żołnierzy rozebrawszy się do koszul, zawzięcie grało w karty. Pozostali żołnierze z plutonu chrapali na różne tony.

— Gazy, towarzysze! gazy!... krzyknął Pantiuchow, dziko błyskając oczami i szukając swej maski. Ale znaleźć ją pośród rozrzuconej odzieży i bielizny było rzeczą niemożliwą.

— Czego kłamiesz? — ordynarnie krzyknął do niego stary żołnierz, przysuwając do siebie garść banknotów.

— Jak Boga kocham, chłopcy, Niemiec puścił gazy. Słysząc jak idą!...

Żołnierze poczęli zeskakiwać z nar, któryś z obudzonych niezręcznym ruchem zrzucił lampkę. Ciemność zaległa schron. W pomroce kręcili się ludzie odszukując z przekleństwem swoją odzież. Bili się wyrywając sobie nawzajem maski.

Z pobliskiego frontu głucho dochodziły chrapliwe dźwięki gongu. Żołnierz w masce, podobny do jakiegoś demona, uderzał ułamkiem podkowy w zawieszoną żelazną deskę. Ponure dźwięki smutnie i nudnie polatały ponad okopami. Ludzie biegali w zamieszaniu, większość bez masek. Wielu zostawiło je w schronach odvodu, kiedy szli na zmianę na pozycję.

Choraży, prawie chłopiec, dopiero co awansowany z kadeta, któremu żołnierze odebrali maskę, ze łzami w oczach krzyczał przez telefon.

— Iwan Andrejewicz!... Iwan Andrejewicz!... Panie kapitanie!... To pan? Ach, Boże!... Strzelajcie czem prędzej... Ogień Nr. 4. Atak gazowy... Co? — Nie pozwalają?... Warta z naszej dywizji? Niech pan im powie — my tu giniemy.

Część kompanji, kierowana przez oficerów, włożyła maski i ustawiała się przy strzelnicach. Ci, którzy nie znaleźli masek, uciekali tłumnie do rzeki.

Daleko za rzeką zamigotały strzepy żółtych ogni i wystrzał za wystrzałem, zahuczała artylerja korpusu. Delegaci z pułków piechoty przy baterjach wysłuchali błagań z okopów i pozwolili strzelać artylerji. Ale było już za późno.

W pomroce nocnej nad czarną, wilgotną ziemią snuła się gęsta ściana niskiej mgły. Łagodny wiatr zachodni pchał ją wprost do okopów. Mgła dotarłszy do kołków zasieki, ledwie widocznych w ciemności, wnet je pochłoneła.

I stało się rzeczą jasną, że sunie ona tak szybko, że uciec przed nią jest niemożliwością.

Gongi, dźwięczące wzdłuż całego frontu okopów, zamilkły. Chorąży, który przed chwilą telefonował, bez maski i czapki wyskoczył na przedpiersie okopu, nakazując ludziom położyć karabiny i być gotowym do spotkania fali gazowej. Wielu żołnierzy stało, zawiązawszy twarze chustkami, bez masek. Byli to lepsi, starszy żołnierze.

W powietrzu czuć było kwasem, jakąś duszącą chemią, lekki oszałamiający zapach gorzkich migdałów zmieszał się z nim. Żółta mgła dotknęła twarzy i mokre od nocnej rosy plecionki z wikliny podtrzymujące ściany okopów. Twarze niezasłonięte maskami pozieleniały. Oczy niespodzianie otwarte wyrażały przerażenie.

— Co to takiego? — pomyślał chorąży i nagle poruszył kurczowo palcami. Wydało mu się, że jego mama, droga kochana mama, wysoka różowa, z kasztanowatymi włosami i jeszcze młoda pochyliła się nad nim, tak jak wtedy, kiedy błogosławiła go żegnając... Suczka Bobka trze się o skraj płaszcza i skowyczy, jakby rozumiejąc ciężar rozstania... Babka stoi w rogu. Siwa... i ciągle go żegna znakiem krzyża świętego, drżącym ruchem ręki... Mamo! Mamo! Babciu! — chciał krzyknąć chorąży, ale nie krzyknął nic i padł nawznak z twarzą straszliwie zmienioną.

Wkrąg padali ludzie. Ich nagła śmierć, twarze wyrażające nieludzki strach, zielono-żółte straszne twarze, niepodobne do twarzy zwykłych zmarłych przerażały i tych, którzy patrzyli przez mętne szkła masek. Żołnierze poczęli rzucać swe stanowiska i odchodzić wtył. Okopy pustoszały. Żołnierze szli do rzeki. Na drodze spotykali nie pojedynczych ludzi, ale całe gromady leżących na polach i drodze.

Byli to ci, którzy uciekli wcześniej i których gaz dopędził w drodze.

Świtało. Wszystko chwiało się w mętnych żółto-zielonych falach gazu, który wypełnił wgłębienia i doły. Tam, gdzie stały kuchnie leżały martwe konie, martwi kucharze i smutnie dopalały się ogniska pod porzuconymi kotłami.

Mosty na rzece były przerwane. Żółty nalot pokrywał śnieg na lodzie do połowy rzeki. Dalej gaz nie poszedł—zjadła go wilgoć rzeczna, rozpuściła go zupełnie.

Ludzie w maskach gromadzili się nie śmiąc stanąć na lodzie.

— Czego stoicie? — dały się słyszeć głuche głosy z masek. — Wszystko jedno zginiesz! Wal na lód!

Chłopiec—chorąży stanął na lodzie i lekko przebiegł na drugą stronę.

— Wal za nim! — lód trzyma... I tłum żołnierzy rzucił się na lód. Ale ten nie wytrzymał, osiadł, zatrzeszczał i ludzie poczęli się walić w ciemną wodę. Było niegłęboko, woda dochodziła ledwie do pasa, lecz dalej iść się nie dało.

— Na most, na duży most! Towarzysze, na most! — dały się słyszeć głosy.

Nie myśląc o nieprzyjacielu, żołnierze rzucili się w górę rzeki, do mostu, który stał jeszcze cały.

W tym samym czasie ku okopom dochodziły rzadkie łańcuchy tyraljerskie Niemców. Ludzie w szarych płaszczach i płaskich metalowych hełmach, z pod których strasznie spoglądały ciemne, jakby oblicza demonów, maski, trzymając karabiny w rękach rozsypali się po okopach. Zaraz też poczęli zrzadka strzelać do biegnących po brzegu ludziach i tem zmusili ich do jeszcze szybszego biegu do mostu.

Ale most był zajęty. Z tamtej strony wwalila się na niego gęsta kolumna ludzi w maskach. To dwa pozo-

stałe pulki dywizji, wprędce zebrane przez dowódcę korpusu Sablina szły wyrzucać Niemców.

Rozedniało. Słońce świeciło jasno, skośnemi promieniami oświetlając piaszczysty pagórek, za którym były umocnienia Liesiszczenskigo place d'armes. Po pochyłości pagórka przelewały się, jak brzuch pełznącej upiornej żmii, fale żółto-zielonego tumanu. Przez okulary maski teren wyglądał nienaturalnie i nie był podobny do ziemi. Stara trawa zwiędła i ściemniała pod działaniem gazu. Na miedzach leżały martwe, potrute skowronki. Cały stok pagórka, wdół do dworu, pokrywały martwe ciała.

Konie upadły przy powozie. Na koźle siedział martwy żołnierz, pochyliwszy się naprzód, a jego zielona twarz wyrażała mękę i przerażenie. W powozie z takimi samymi zielonemi twarzami siedzieli dowódca brygady i pułkownik Pastuchow. W przewróconej na bok bryczce — widać koń w przedśmiertnej agonji rzucił się w bok — siedzieli dwaj urzędnicy wojskowi. Martwi. Poranny wietrzyk targał czarną brodę jednego z nich.

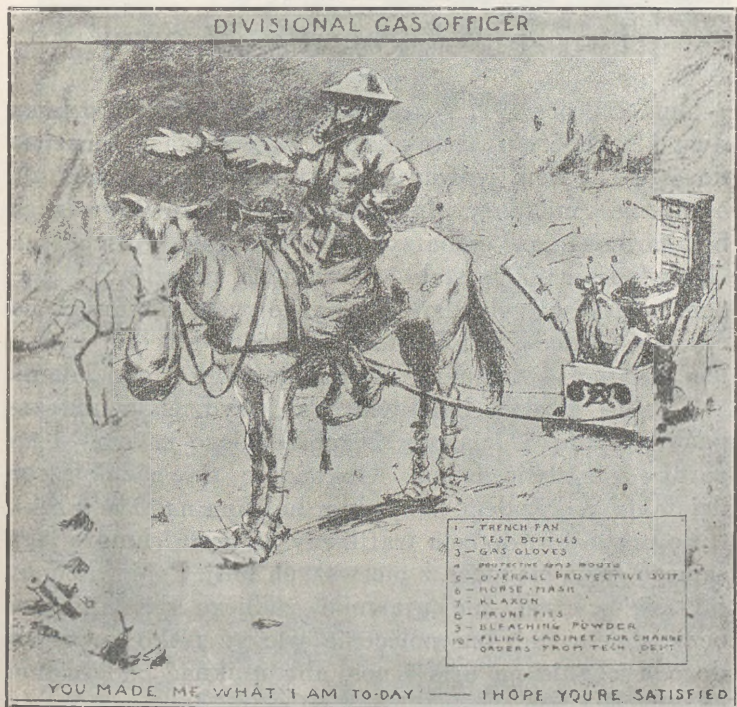
Wszystko to było czemś straszliwie niezrozumiałem. Pole nie było wcale podobne do pobojuwiska. Zdawało się, że nie ludzie walczyli tu z ludźmi, ale sama śmierć-kostucha przeszła tędy z kosą i niespodzianie położyła taki tłum ludzi. Trupy były straszne, ziemia była straszna i przychodzący na ten brzeg żołnierze zawahali się.

Przeciwuderzenie nie doszło do skutku i Niemcy zajęły przedmoście.

— Brygada pruskiej piechoty swobodnie weszła do okopów. Słyszać było krótkie rozkazy oficerów. Zjawili się żołnierze ze zbiornikami na plecach oraz rozpylaczami w rękach i oczyszczali rowy od gazu. Wszyscy

pracowali pilnie, znosząc otrutych Rosjan, zbierając broń i amunicję. Bez żadnych strat, o ile nie liczyć kilku zabitych i rannych ogniem artylerji — przedmoście, groźba dla Kowla, zostało oczyszczone. Niemcy przygotowywali dywizję do przerzucenia na front zachodni.

WOJNA GAZOWA W KARYKATURZE.



OFICER GAZOWY DYWIZJI AMERYKAŃSKIEJ, ZAOPATRZONY W CAŁKOWITY SPRZĘT GAZOWY.

1. Wachlarz okopowy. 2. Probowki. 3. Rękawiczki ochronne.
 4. Onuce ochronne. 5. Odzież ochronna. 6. Maski dla konia.
 7. Klakson. 8. Pestki śliwki. 9. Proszek do bielenia. 10. Szafka
 do chowania sprzecznych rozporządzeń wydziału technicznego.

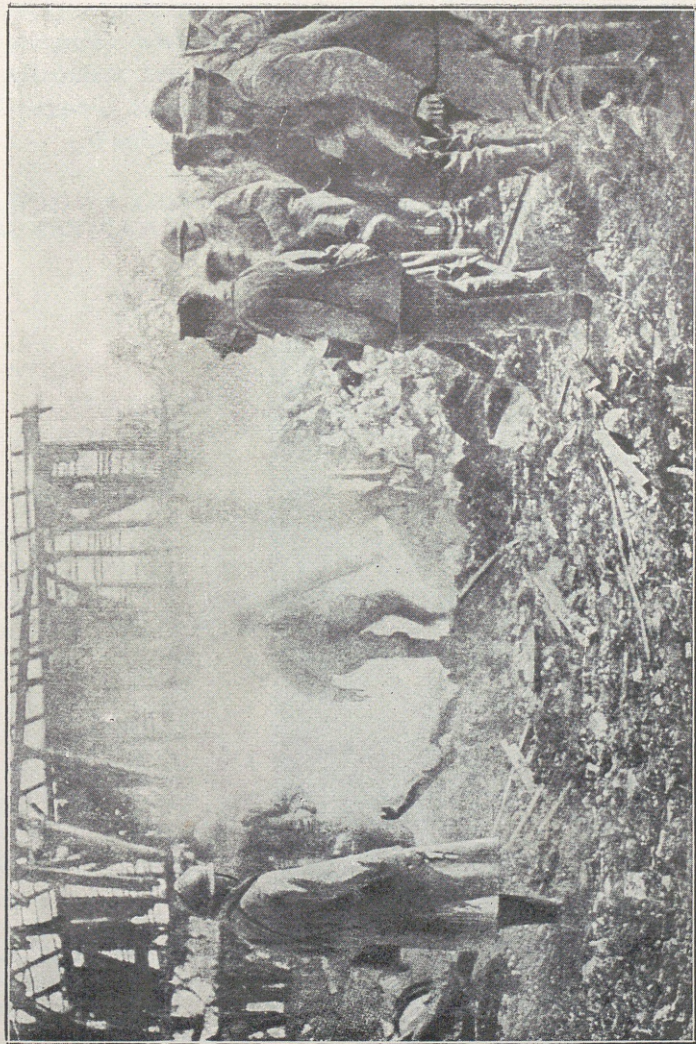
LIST OFICERA KOMPANJI GAZOWEJ.

Dnia 22 lipca 1917 r. zostałem zagazowany siarczkiem dwuchlorku etylu, znanym pod nazwą „gazu musztardowego”. Byłem wówczas zajęty kopaniem dziur do osadzenia miotaczy Liewensa dla przewidywanego bombardowania Lombatzyde (w okolicach Nieuportu). Nasze posuwanie zostało wstrzymane straszliwym gradem pocisków wybuchowych i gazowych, miotanych na Nieuport. Kiedy bombardowanie nieco ucichło, wróciłem z trzema wagonami obsługi gazowej i oddziałami.

Chmura gazowa była widoczna, wydzielala ona zapach chrzanu. Działania bezpośredniego na oczy i na gardło nie stwierdziłem. Obawiając się późniejszego działania, nakazałem wszystkim ludziom nałożyć maski.

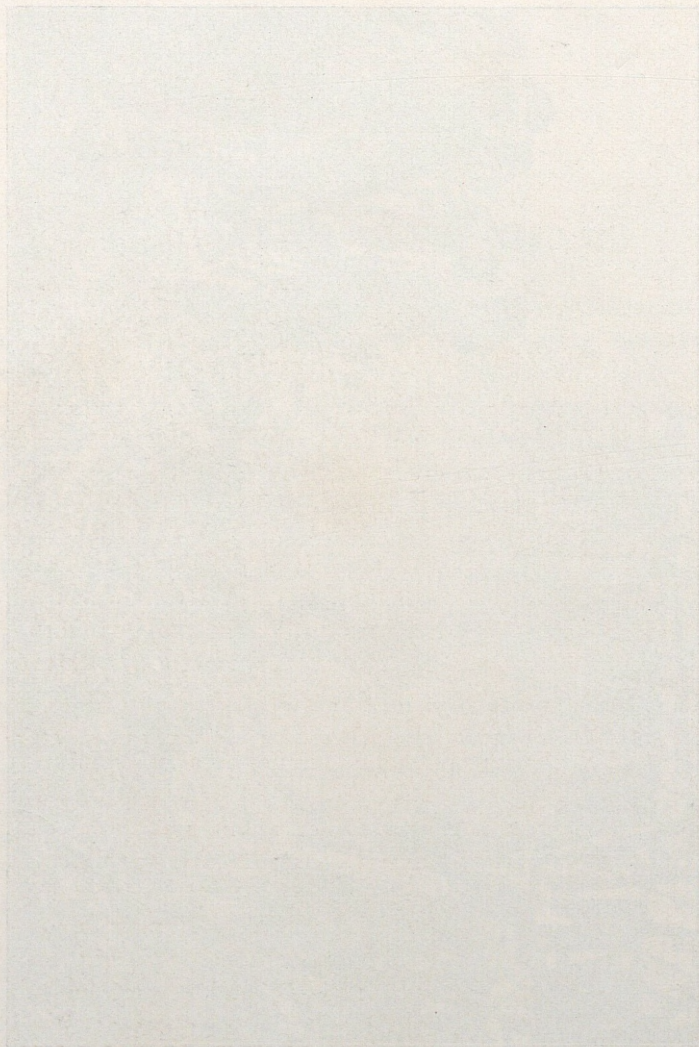
Po przybyciu do celu trafiliśmy na gęstą chmurę tego samego gazu, ciągnącą z pierwszych linii. Ponieważ gaz, jak się wydało, nie ujawniał żadnego działania na oczy, dałem ludziom polecenie włożyć tylko przyrząd do oddychania na usta i nos, aby uniknąć oddychania gazem. Następnie ruszyliśmy dalej w drogę.

Przy powrocie ponownie zatrzymał nas grad pocisków, lecących na Nieuport. Nazajutrz rankiem ja i moi osiemdziesięciu ludzi byliśmy zupełnie oślepieni. Ta straszliwa substancja działała z 7 godzinnem na oczy opóźnieniem, oślepiając czasowo. Około trzech tysięcy ludzi ucierpiało wraz z nami. Jeden czy dwóch



Żołnierze niemieccy poddają się po użyciu przez Francuzów miotaczy płomieni.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO PRESS



z moich żołnierzy nie odzyskało wzroku i zmarło. Punkty opatrunkowe i lazarety były przepełnione. 3 sierpnia wróciłem do Anglii z osłabionymi oczami z zatruciem krwi, zmuszony nosić okulary niebieskie. 15 sierpnia znalazłem się w szpitalu.

Według *W. Lefebure'a, The riddle of Rhin.*

WOJNA GAZOWA W KARYKATURZE.

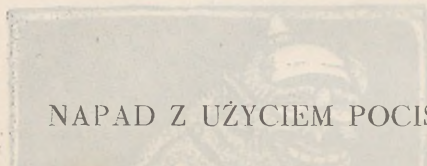


Stary bóg germański
bawi się!

— 1500 ludzi w 25 mi-
nut! Nadzwyczajne! oto
co znaczy dobrze praco-
wać moje dzieci!

(Rys. A. Hahn
w *Notenkraker*,
Amsterdam 1915 r).

z moich żołnierzy nie odzyskało wzroku i zmarło.
Punkty opatrunkowe i lazarety były przepelnione.
3 sierpnia widzieliśmy do Anglii z osłabionymi oczami
z zatrzymaniem krwi, zmuszony nosić okulary nocy.
15 sierpnia znalazłem się w szpitalu.
Według W. Lefebure'a, The Riddle of Rhin.



WOJNA GAZOWA
W KARYKATURZE

NAPAD Z UŻYCIEM POCISKÓW ŻRĄCYCH.

Podczas przygotowania drugiej bitwy ofensywnej o Verdun przez II armję francuską w 1917 roku, XIII korpus (główna kwatera w Ville-sur-Cousance) zajmował lewe skrzydło frontu natarcia na wschód od Avoncourt a na lewo do wzgórza Mort Homme, na odcinku 8 kilometrów w linii powietrznej. Dwoma dywizjami w pierwszej linii, nie mówiąc o dwóch drugich w odwodzie, korpus zajmował wschodnią część lasu Forêt de Hesse, i z drugiej strony obszar Esnes-Béthelainville, poprzecinany małemi działkami lasu z zagłębieniem Montréville w środku.

W końcu lipca korpus ukończył pod osłoną zadrzewienia ustawienie swych baterij artyleryjskich w liczbie stu.

Nieprzyjaciel dostrzegł te przygotowania do natarcia i świadomy swej niższości liczebnej, postanowił je unieszkodliwić. Użył w tym celu nowego gazu...

W nocy z 31 lipca na 1 sierpnia, o godzinie 21 rozpoczął pierwsze bombardowanie specjalne, które trwało do godziny 4. Chociaż ziemia była wilgotna od wczoraj i deszcz padał całą noc, nieprzyjaciel przy wietrze WSW dmącym z szybkością 5 metrów, rzucał co kilka pocisków zwykłych nowy pocisk 77 malowany na nie-

biesko z żółtym krzyżem. Te nowe pociski łatwo dały się rozpoznać po charakterystycznym świcie, powstającym wskutek wydłużonego zapalnika. Przy wybuchu, zresztą dość słabym, wydzielaly one nikły żrący zapach, nie nazbyt nawet przykry, który zyskał iperytowi miano gazu musztardowego.

Napięcie ognia było słabe, przeciętnie pięć pocisków na minutę i nie przekraczało dziesięciu, chociaż pociski trujące padły ogółem w liczbie 2000 na kilometr kwadratowy.

Zresztą bombardowanie, ograniczające się w XIII korpusie do stanowisk bateryj, rozszerzyło się i na sąsiednie korpusy pokrywając ogółem powierzchnię 57 kilometrów kwadratowych.

Dopiero po sześciu godzinach ukazały się pierwsze skutki zatrucia, które przejawily się trojako.

Wielu zaiperytowanych oślepiło chwilowo. Następnie działanie żrące nie ograniczyło się do odsłoniętych części ciała, lecz przeniknęło pod ubranie, oszczędzając jedynie miejsca, zakryte przez pas i szelki. Wypadki działania gazu na drogi oddechowe uzupełniają obraz kliniczny.

Nie uniknęły zatrucia również zwierzęta znajdujące się na odcinku. Szczury pozdychały, a konie ucierpiały narówni z ludźmi. Roślinność została spalona, a zakażoną żywność należało wyrzucić.

To, co najwięcej uderzyło przy zaiperytowaniu, to działanie gazu z opóźnieniem. Ewakuacja zagazowanych z XIII korpusu przedstawiała się następująco:

1 sierpnia	132 ludzi	6 sierpnia	14 ludzi
2 ..	37 ..	7 ..	11 ..
3 ..	14 ..	8 ..	4 ..
4 ..	10 ..	9 ..	5 ..
5 ..	8 ..		

Dopiero 10 sierpnia przestano ewakuować zaiperytowanych.

W końcu sierpnia XIII korpus był cztery razy bombardowany z użyciem iperytu, przyczem miał 2403 ewakuowanych, a liczba lekko zatrutych, pozostawionych na miejscu, wynosiła tyleż. „Gaz musztardowy” zabijał w tej epoce mało (2%) i to z opóźnieniem (po 48 godzinach) wprost przeciwnie niż gazy duszące.

XIII korpus miał również 418 koni zatrutych, z których 55 padło, co pokazuje, z jakimi trudnościami odbywało się zaopatrzenie w amunicję niektórych baterij o zaprzęgu konnym.

Effekt zaskoczenia, pożądaný przez Niemców, został całkowicie osiągnięty. Misja francuska, przydzielona do armji brytyjskiej, niewątpliwie zasygnalizowała o ukazaniu się na froncie brytyjskim gazów żrących już w dniu 23 lipca, lecz żadne środki zabezpieczające nie zostały na czas zarządzone. Zagazowani przepełnili szpitale, zajmując dwie trzecie miejsca. Lekarze nie wiedzieli, jak ich leczyć. Okazało się za mało sprzętu odkażającego, natrysków, brak odzieży do zmiany. Nie było okulistów do leczenia oczu, ani dostatecznej ilości sanitariuszy do doglądania czasowo oślepionych. Popełniano błędy przy ewakuacji i np. 16 października przybyło do Chalons 160 zaiperytowanych, którzy zagazowani przed czterema dniami nie byli jeszcze ani obmyci ani też nie zmienili odzieży.

Dr. Raoul Mercier.

„W przyszłości wygra wojnę ten naród, który będzie rozporządzał gazem przenikającym maskę przeciwnika”.

Vedder i Walton
„Wojna chemiczna”.

NIEUDAŁY NAPAD GAZOWY.

W dniu 3 września 1917 r. w napadzie nocnym na fermę Navarin Francuzi znaleźli w posterunku dowództwa, w papierach tam pochwyconych, rozkaz I dywizji bawarskiej o ataku gazowym, który Niemcy zamierzali wykonać na froncie XII korpusu francuskiego. Rozkaz ten brzmiał:

— I dywizja bawarska energicznie wykorzysta duże powodzenie, spodziewane przy użyciu gazu *Sommernte* i wniknie głęboko w pozycje nieprzyjacielskie na całym swoim froncie, tak aby posunąć się aż do linii lasu Grenzwald. Ustawianie butli z gazem jest już w toku i będzie ukończone prawdopodobnie 15-go rankiem. Natarcie gazowe będzie wykonane możliwie wcześniej, w nocy 17-go albo 18-go i, jeżeli się da, na godzinę przed świtem.

Począwszy od 17-go wieczorem wszystkie rozkazy do zorganizowania, oporządzenia i współdziałania różnych oddziałów powinny być zupełnie zakończone, tak, że z chwilą nadejścia rozkazu o napadzie gazowym, wykonanie całości działań powinno być automatyczne.

O ile pogoda będzie sprzyjała, dywizja na wniosek 36 pułku pionierów da rozkaz opuszczenia wysuniętych części okopów. W tych opróżnionych okopach pozo-

staną jedynie pionierzy, pracujący przy butlach gazowych, personel sanitarny i załogi bezpieczeństwa.

Wypuszczenie gazów rozpocznie się w dwie godziny po godzinie wskazanej przez rozkaz. I tak, o ile zgrupowanie *Py* da rozkaz — „Sommernte, godzina 24.20”, napad gazowy rozpocznie się o godzinie 2.20 rano.

O godzinie wyznaczonej kompanje szturmowe Nr. 1 — 12 wtargną w pierwszym rzucie do okopów nieprzyjacielskich i owładną linją A i B. Zniszczenie jeszcze czynnych karabinów maszynowych nieprzyjacielskich przez moździerze piechoty ma nastąpić przed szturmem na rozkaz dowódców pułków.

Kiedy pozycje nieprzyjacielskie zostaną osiągnięte i zajęte, trzy kompanje z bataljonu szturmowego posuną się w drugim rzucie, jak również i siły przeznaczone do zajęcia i zorganizowania linji A i B.

W trzecim rzucie pójdą oddziały zdobyczy wojennej i „oczyszczające”. Przez ważną zdobycz rozumie się: — działa okopowe, ciężkie karabiny maszynowe, moździerze piechoty, ręczne karabiny maszynowe, telefony i aparaty podsłuchowe, lornetki nożycowe i aparaty sygnalizacyjne, rozkazy, plany i mapy, przedmioty umundurowania z numerami pułków, maski gazowe. Należy również doprowadzić do naszych okopów jeńców niezatrutych naszymi gazami.

O ile przedmioty wyznaczone do opanowania będą osiągnięte bez większego oporu nieprzyjaciela, dowódcy trzech kompanij szturmowych posuną się aż do linji Saint Hilaire — ferma des Wacques-Sonain.

Epilog całej tej sprawy był dość smutny dla Niemców. Francuzi sprowadzili natychmiast nocą czterdzieści baterij ciężkich i zniszczyli butle z chlorem w okopach niemieckich, dając nieprzyjacielowi gaz do spożycia na miejscu.

UDAREMNIONY NAPAD GAZOWY.

(Z dziennika artylerzysty niemieckiego).

„Artylerja zamelduje dzisiaj o godzinie 16, że nieprzyjacielskie okopy na przestrzeni od ruin kapliczki M do ruin B są dostatecznie zniszczone i dojrzały do szturm. Piechota dywizyjna w tym czasie powinna być gotowa do natarcia”.

Dowódca i adjutanci byli już o siódmej rano w sztabie dywizji. Brakowało jeszcze kilku minut. Na milczących poważnych obliczach widać było wielkie napięcie. Chwila była niezwykła. Musiało coś być. Coś szczególnego! Oczy błyszczały zapytaniem. — „Nie wie pan, co jest”? Lecz uszy słyszały tylko potoczne zdania: — Jak się panu powodzi? — Czy dobrze pan spał? — Dzień dobry!

Punktualnie o siódmej zjawiała się jego ekscelencja, dowódca dywizji. Krótki ukłon. Następnie powyżej podany rozkaz. Bez żadnego wzruszenia spokojnie i jasno. Byliśmy zwolnieni. Wówczas adjutant szepnął jakby przypominając sobie. „Wiatr, Ekscelencjo!”

„Halt, jeszcze jedno moi panowie! Mamy wschodni wiatr, jeżeli się zmieni, baterje przerwą ogień! Oczekować wtedy dalszego rozkazu.

— Acha! O to chodzi! Obrona przeciw napadowi gazowemu! Delikatna sprawa! Wiatr, wiatr, niebiańskie dziecko!

Po wyjściu ze schronu dywizji dowódca artylerji zaprosił panów oficerów do siebie. Przydzielił on czołowe okopy nieprzyjacielskie jednej grupie, rowy zaś łącznikowe i dojścia drugiej. Trzecia miała za zadanie wykonać ogień zagrządzający.

— Początek ognia o godzinie ósmej! Proszę sprawdzić zegarki!

Potem każdy pośpieszył do swego obserwatorium.

Moja grupa znajdowała się na skrajnem prawem skrzydle. Większą część drogi musiałem zpowrotem iść rowami. Niekończący się deszcz zamienił grunt w błotnistą, śliską zupe. To ślizgałem się, to znów głęboko zapadałem w białą glinę. A glina trzyma się mocno butów. Musiałem uważać, aby tu gdzie nie ugrzęznąć zupełnie. To znów musiałem brodzić w kałużach po kolana. Wszystko to należało wykonywać w pozycji zgarbionej. Przy każdym nieostrożnem pokazaniu głowy, można się było spodziewać celnego strzału w czoło. Ale nikt nie zważa na podobne niewygody. Tylko iść na przód! Naprzód! Naprzód! Trzeba jeszcze wydać wszystkie rozkazy. Postawić na swych miejscach obserwatora wiatru i gońca pieszego, wydać maski gazowe, wiadome cele sprawdzić!

Dziesięć przed ósmą zameldowałem grupie gotowość do strzału. Dowódca baterji i oficer obserwator byli pouczeni, podwójny, miejscami potrójny telefoniczny przewód założony, działa jeszcze raz sprawdzone i wielka ilość granatów ułożona przy działach.

Pozostaje wykorzystać jeszcze tych kilka minut czasu. Zamknąć trochę oczy. Nerwy odprężyć. Jakież to wielkie dobrodziejstwo wypocząć pośród ciszy.—Ale przychodzą myśli niespokojne, czy też nieprzyjaciel czego

nie zauważył, czy nie dostrzegł obserwatorium drugiej i dział siódmej baterji? Nie są one tak dobrze osłonięte, jak inne! Jeżeli co, to przedewszystkiem musi nieprzyjaciela uderzyć ta niezwykła cisza. Przez cały ranek nie padł ani jeden strzał.

— Myślę, że Anglicy śpią jeszcze! szepnął do mnie adjutant tak głośno, że przestraszyłem się. Hultaj obudził mnie. Roześmiał się całą twarzą. — Ale za minutę przebudzą się.

Popatrzył na zegarek.

Wydobynam swój. Jeszcze trzydzieści sekund! Jeszcze dwadzieścia! jeszcze dziesięć- Ciągłe niezmacona cisza! Nikt nie odważa się odetchnąć.

Nagle wydarł się łoskot jednocześnie ze stu paszcz — armat, moździerzy, haubic, moździerzy piechoty. Piorun! Grzmot!

Ziemia zadrżała.

Gałęzie drzew uderzyły o siebie. U nas wszyscy przylegli do ziemi. Rozkazy trzeba było krzyczeć wprost do ucha. W okamgnieniu nieprzejrzone dymy spowiły okopy nieprzyjacielskie.

W ciemnych chmurach pękających granatów leciały z olbrzymich lejów wytryski brudno żółtej, rozmokłej gliny, bryły ziemi, kawały betonu, belki, szyny. Wyglądało to na nagły wybuch wulkanu. Żadna moc piekielna nie mogła nic potężniejszego wykonać. Wobec tego dzieła wysokiej kultury piekło jest partaczem!

Tak przechodzi godzina. Potem pół godziny przerwa w ogniu. Gdzie kto stał, tam położył się w błoto, ażeby zakosztować cudownego uczucia odpoczynku.

Ale nie wszyscy myśleli o nim. Porucznik Borne, znajdujący się najbliżej obu linii piechoty tkwił w swojej dziurze w ziemi. Ubranie miał nasiąknięte wilgocią, od tygodnia prawie nie miał możliwości go zmienić, — pokryło się też ono żółtawem, gliniastem błotem. Ze swym

pomocniczym obserwatorem i obu telefonistami porucznik z uwagą obserwował okopy nieprzyjacielskie. Podczas przerwy ogniowej musiał uważać szczególnie. Rankiem około godziny szóstej wysłał do dywizji meldunek, że całą noc słyszał podejrzaną szmery, kopanie, uderzenia, tarcia i t. d. Osądził, że Anglicy ustawiają w przednich liniach butle z gazem. Uśmieło się z tego w sztabie. — Do tego potrzeba długich przygotowań, które wcześniej już nocami musiano by zauważyć.

Powróciwszy na swoje stanowisko porucznik Borne podwoił uwagę. Następnie przyszło zadośćuczynienie, ponieważ dywizja postanowiła wykonać napad artyleryjski. Przy trzeciej przerwie w ogniu, porucznik przekonał się, że ma słuszość. Jednocześnie zameldował do dywizji i dowódcy artylerji.

— Anglicy, którzy siedzą w ostrzeliwanych okopach, na początku każdej przerwy przebiegają wtył do rowów łącznikowych. Następnie biegną znów do przodu, prawdopodobnie nowi!

To uderzyło jak granat w wysoki sztab.

— Co może oznaczać podobny meldunek?

Zapewnie Anglicy chcą, aby szturm napotkał świeże, nieostrzelane oddziały, o ile ogień huraganowy będzie trwał cały dzień.

Śmiejąc się wręczono meldunek dowódcy dywizji. Ku wielkiemu zdziwieniu sztabu polecił, aby porucznika natychmiast przywieziono samochodem.

Borne był bardzo zmartwiony, że musi wyleźć ze swej wilgotnej dziury. Chciał nadal słuchać. Po półgodzinnym biegu przez okopy i rowy łącznikowe przybył spocony i pokryty skorupą z gliny do miejsca, gdzie czekał na niego samochód. Szofer wystraszony oglądał go od stóp do głowy, lecz ten bez żadnego gadania wlaźł do cudownej limuzyny. W drodze zawział się mocno, że

będzie podtrzymywał stanowczo wiarogodność swych spostrzeżeń.

Staął przed całym sztabem.

— Czy pan widział Anglików biegnących wtył?

— Nie, ekscelencjo, rowy są za głębokie, aby można ich zobaczyć.

— Więc, skąd pan o tem wie?

— Słyszałem.

— Słyszałem? w jaki sposób?

— Były to pośpieszne, ciche biegania w przeciwnieństwie do szmerów słyszanych w nocy. Wtedy były ciężkie, utykające kroki ciężko obładowanych grup. Prawdopodobnie nieśli oni płyty pancerne, skrzynie z amunicją, butle gazowe.

Niedowierzająco potrząsano głowami.

— Wasza Ekscelencja łaskawie przyjmie pod uwagę, że Anglicy są naszym najtwardszym przeciwnikiem. Czyżby oni luzować musieli swoje załogi? Ekscelencjo, to jest nieprawdopodobne — mówił jeden z oficerów sztabu.

— Czy chcą na wszelki wypadek ochronić swoje butle gazowe? To możliwe. Że do tego ciągle nowych ludzi używają, jest to do przyjęcia. W każdym razie trzeba dalej strzelać, jeżeli jeden pocisk trafi i przebije betonowe sklepienie, to zniszczy butle — odpowiedział generał.

— Przypuśćmy, że one tam są, Ekscelencjo! — rzekł z krytycznym uśmiechem ten sam oficer.

— Melduj pan tylko wszystko, poruczniku!

Porucznik wrócił do samochodu odprowadzony przez oficera ordynansowego. — Tylko proszę bez żadnych strachów! — pożegnał go ten.

Na drodze do gliniastej dziury złapał porucznika goniąc z dowództwa grupy artyleryjskiej i skierował do naszego obserwatorium. W międzyczasie dowiadywali-

śmy się, czy też który z obserwatorów zrobił podobne spostrzeżenia, co porucznik Borne.

Pytanie obeszło prędko obserwatora. Odpowiedź przyszła przecząca.

— Czy aby pan ten nie doznał małego złudzenia zmysłów?

Powiedziałem porucznikowi Borne, że jego spostrzeżenia przez nikogo nie są potwierdzone.

Kiedy ponownie zasiadł w swojej dziurze było jasne, że musi dać jakiś dowód do swych spostrzeżeń.

Ale także przy początku następnego strzelania po przerwie ciągle jeszcze nie trafiono w żadną butlę. Była trzecia godzina, kiedy porucznik postanowił sam dostać się do nieprzyjacielskich okopów. Jego pomocnik gotów był mu towarzyszyć. Jak dwa węgorze przemykali się od kałuży do kałuży, od leja do leja. W kolorze niczym się nie różnili od pływającej masy po której pełzli. To coś znaczy przebyć w ten sposób trzysta metrów. Mieli na to dziesięć minut czasu. Czołganie się w lepkim mule — niemała to rzecz. Ale udało się im szczęśliwie. Przeszkody z drutów były całkowicie zniszczone ogniem. Żadna głowa nie ukazywała się na zrównanych okopach. Zapytanie — czy też kto tam nie kryje się. Kilka granatów ręcznych do środka! Nikt się nie poruszył. Napastnicy posunęli się. Teraz patrzą. Są na skraju rowu. Trupy i ciężko ranni, porozrzucana amunicja i części rynsztunku, wszystko przemieszane. Zerwali maski dwu poległym i wrócili prędko meldować. Lornetki całego sztabu zwróciły się natychmiast na nieprzyjacielskie okopy. Gołym okiem było widać ziemię leącą kawałami. Dowódca artylerji i sztab dywizji chcieli zobaczyć maski.

Około godziny czwartej przyszedł rozkaz z dywizji. — O godzinie 17 artylerja przerwie ogień. O godzinie 17.05 piechota wyjdzie do szturm.

Tak, to było zadośćuczynienie. O godzinie 17.10 zajęto okopy nieprzyjacielskie. Porucznik Borne znalazł się w nich pierwszy. Natychmiast zorganizowano obronę od zachodu, zagrodzono rowy łącznikowe i oczekiwano Anglików w ich własnych okopach. Nieprzyjaciel rozpoznał położenie i odsunął się. Sprawa się zakończyła na pojedynczych walkach w rowach przy pomocy granatów.

O godzinie 20 wieczorem siedział porucznik Borne przy stole sztabu dywizyjnego obok generała.

— Jest więc pan zdania, że Anglicy tylko zmieniali oddziały, panie poruczniku.

— Według rozkazu, Ekscelencjo.

— To jest dowodem, że nerwy Anglikom nie dopisały.

— Butle gazowe nie wymagały za każdym razem nowej obsady. Stały wszystkie nienaruszone, trochę pozasypany w betonowych schronach.

— Wszystko więc było gotowe do napadu gazowego?

— Według rozkazu, Ekscelencjo.

— Dali nam panowie Anglicy okazję do wypróbowania na nich samych cuchnących gazów! Zamelduje mi pan jutro rano o godzinie szóstej kierunek wiatru.

— Według rozkazu, Ekscelencjo!

Opowiadanie powyższe, acz mało prawdopodobne, podajemy na wiarę anonimowego autora niemieckiego. Pochodzi ono z początku r. 1916 i umieszczone zostało w jednym z tygodników typu „pokrzepiających serce wojującego imperjalizmu germańskiego”, a przeznaczone dla tłumów. Każdy nawet laik rozumie, że nie da się bez uprzedniego przygotowania i przystosowania zdobytych okopów wypuszczać z nich fali gazowej. Opowiadanie: „Dwa napady gazowe na froncie ryskim”

daje pogląd na pracę związaną z przygotowaniem okopów do tego zadania. Nie należy ono do łatwych.

Ale powyższa opowiadka niemiecka poza swą naiwnością ma również stronę ciekawą, oto charakteryzuje mentalność autora i czytelników, dla których je przeznaczono. Jest rzeczą bezsprzeczną, że Niemcy pierwsi użyli gazów, lecz trudno znaleźć w ich literaturze opis wypuszczenia gazów, dokonanych przez Niemców. Uczynili wszystko, co można, aby dowieść, że to oni, Niemcy, zostali zmuszeni zastosować odwet. Stąd opowiada się o napadach gazowych francuskich, angielskich ale nie własnych. Inaczej jest u innych narodów, ale ich sumienia nie zaprzęta pytanie: — „Kto winien?”

WOJNA GAZOWA W KARYKATURZE.



Od człowieka leśnego do człowieka
cywilizowanego.

(Rys. A. Hahn w *De Natenkraker*.
Amsterdam 1915).

KRZYŻ NIEBIESKI.

Pierwotne stosowanie gazu zapomocą fali czasem zanikło jako mało wygodne i miotano go na nieprzyjaciela w pociskach. W ten sposób można było osiągnąć dostatecznie silne ześrodkowanie gazu w dowolnym punkcie obszaru zajętego przez nieprzyjaciela.

Jeden z bardziej wiarogodnych autorów niemieckich Jünger, opowiadając o ofensywie marcowej 1918 roku, zaznacza, że niekiedy gaz przynosi szkodę własnym oddziałom.

W tem natarciu artylerja nieprzyjacielska umilkła, przynieciona przewagą materjalną Niemców. „Sporu nował ją jeden cios olbrzyma”. Autor, stojąc na przedpiersiu okopu, podziwiał mur ognia nad okopami angielskiemi.

— Ale naszą radość psuły dymy z naszych pocisków gazowych — opowiada — które pędzone ku nam wiatrem, zmuszały nas do płaczu i paliły błonę śluzową. Duszność i kaszel, powodowany przez niemiłe skutki gazu „krzyż niebieski”, zmusiły wielu ludzi do zerwania masek. Byłem bardzo niespokojny. Użyłem tymczasem całej mojej energji do opanowania pierwszego ataku kaszlu, aby nie zwiększyć podrażnienia. W godzinę później mogliśmy zdjąć maski”.

ZAGAZOWANI.

Od miesiąca staliśmy na pozycji w południowej Alzacji, bawiąc się od czasu do czasu strzelaniną z Niemcami, co więcej huku niż zła wyrządzało. Po ośmiu dniach zaciasza pewnego niedzielnego popołudnia, które świętowaliśmy w spokoju, usłyszeliśmy nagle szybkie, głuche gwizdy 77 mm niemieckich pocisków. Sześć granatów upadło na naszą baterję, bezpośrednio za nimi przyleciało znowu sześć, a później jeszcze sześć. Ale detonacja nie położyła kropki po tym wykrzykniku—pociski wbiły się w ziemię i ich szybko przeleciana droga skończyła się nieznacznym szelestem. Granaty wybuchły dziwnie, wydając niekiedy ciężkie głuche tony bez trzasku. My starzy, doświadczeni żołnierze, nie daliśmy się tem złudzić — niewątpliwie byliśmy ostrzeliwani granatami gazowymi. Każdy z nas założył maskę i udał się do schronu, gdzie bez większego wzruszenia czekaaliśmy na koniec strzelaniny. Trwała ona blisko dwie godziny. Jedna czy też dwie niemieckie baterje brały w tem udział. Salwy następowały nieustannie, jedna za drugą i gwizdy następnej słyszeliśmy już, zanim poprzedzająca uderzyła. Granaty kładły się na cały las, planowo ostrzeliwany. Mieliśmy je przed sobą i z tyłu, na lewo i na prawo, gubiły się gdzieś wdole za nami, to znów zbliżały ku naszym działom. Nie mogliśmy



Czołg przy spotkaniu miotaczy płomieni
(zdjęcie niemieckie).

strzelać, zmuszeni przez dłuższy okres czasu do pozostawania w schronie w maskach. Kiedy zdjęliśmy je wreszcie, poczuliśmy nowy, nieznany nam zapach, wyglądało tak jakby naszą baterję ostrzeliwano musztardą. Jednak w miarę jak czas szedł ten niemiły posmak niknął i z nadejściem wieczoru mogliśmy zupełnie zdjąć maski, zjeść kolację i udać się jak zazwyczaj na spoczynek.

Około północy zastukano do drzwi zamieszkałego przeze mnie schronu. Zachorowało kilku ludzi. Poszedłem do nich. Mieli zaczerwienione oczy i nie mogli oddychać. Odesłałem ich do najbliższego schronu sanitarnego. I tak całą noc po kilku żołnierze udawali się na punkt opatrunkowy. Objawy chorobowe u wszystkich były te same. Kilku z nich krzycząc upadło na ziemię, mieli poparzone płuca i dusili się. Rankiem znaleźliśmy jeszcze około dziesięciu ludzi, którzy nie mogąc mówić byli w tym samym stanie, co ich koledzy. Posłałem ich do lekarza i zameldowałem majorowi dowódcy dywizjonu o wypadku.

Tak więc pogładowo zapoznaliśmy się z nowym gazem, który od pewnego czasu zastosowali Niemcy na różnych punktach frontu, mianowicie z iperytem. Zarażał on nie tylko powietrze, lecz także przedmioty, które nasycił, jak odzież, koce i inne sprzęty. Przechowywały one gaz przez czas dłuższy.

Kiedy po dwóch godzinach nieobecności wróciłem do baterji, znalazłem wszystkich ludzi już zebranych i gotowych do wsiadania do ciężarowych samochodów sanitarnych.

— Co to, odjeżdżacie?

— Tak, panie poruczniku — odrzekł jeden z obsługi — doktor nakazał nam wszystkim udać się na obserwację do szpitala.

— Tak musi być — dodał doktor — bądź pan spokoj-

ny, oni prawie wszyscy powrócą, ale byłoby rzeczą nie-mądrą zatrzymywać ich teraz.

Czułem, że zbladłem. Wzruszyła mnie możność roz-stania się z nimi. Sądzę, że obsługa miała również uczu-cie, że się w tej chwili dzieje coś niezwykłego. Wyglą-dało na to, jakby się ci ludzie wstydzili, że mnie wszys-cy opuszczają.

— No, dobrze, idźcie wyzdrowieście mi, dobrze! — powiedziałem jeszcze. Kiedy zaś odjechali, popatrzy-liśmy na siebie z moim porucznikiem pod wrażeniem, że zostaliśmy sami we dwóch na polu. Bolałem mocno nad rozstaniem się z ludźmi, z których wielu przebyło ze mną całe trzy lata wojny i z którymi czułem się zwią-zany jak z rodziną.

Paul Toinet

„Niemożliwą jest rzeczą stworzyć pochłaniacz neutra-lizujący gaz, którego składu jeszcze nie znamy. Stąd zamsze żołnierz choćby w masce, czy ubraniu ochron-nem będzie się znajdował w obliczu niewiadomego, w walce w którym posiadane środki obrony mogą za-mieść”.

Dr. Z. Stanowski.

— 180 —

„...OSWOBADZA I ZABIJA”.

W powieści R. Naegelena „Les suppliciés”, opartej na pamiętniku wojennym o dużej wartości historycznej znajduje się opis ostrzeliwania pociskami iperytowemi. Autor opowiada o swym bohaterze, Jakóbie Feroul, z 127 dywizji piechoty.

(*Ainval, Aisne, kwiecień 1918*).

— Jakób jest wyznaczony, aby pójść z kilkoma innymi o zmierzchu wtył po prowiant...

Wybuchnął jakiś pocisk. Po nim jeszcze jeden. Jakób wyteżył słuch. Mają one jakiś złowieszczy poświst i wybuchają dziwnie słabo... Odczuwa niewyraźny zapach, taki sam, jaki czuć w źle przewietrzanych sklepikach wiejskich. Wątpi jeszcze...

— Pogotowie gazowe! Ostrzeliwają gazami!

W pobliżu wybuchnął pocisk.

— Gaz. Maski włożyć! Prędko!

Wkładają na twarz ryj maski, ściskają tasiemki i obmacują palcami, czy wszędzie dobrze przystaje.

— Śpieszmy się! nie ma co tu siedzieć!

To iperyt, gaz o ekliwym, niewinnym zapachu, iperyt, który spala oczy, płuca i zabija po straszliwych cierpieniach.

Idą. Wyglądają ze swemi potwornemi paszczami jak straszliwe istoty, wyjęte z koszmaru, czy też z grupy karnawałowej.

Cała ich uwaga skupia się na klekotaniu wentyla i aby go zmusić do funkcjonowania, oddychają jak najgłębiej. Piersi mają zduszone. Czują, że w ich rozgorzałej głowie płynie zbyt gęsta krew. Mówienie jest również cierpieniem. Ludzie dają znaki, że już dłużej nie mogą wytrzymać...¹⁾ Zrozpaczone ręce od czasu do czasu podnoszą lekko maskę — ruch, który oswobadza, a zarazem zabija.

Pociski gazowe padają ciągle, metodycznie. Żrąca ciecz rozlewa się, później zwolna ulatnia. Ostrzeliwana strefa długo będzie nie do użycia. Dzikość ludzka dodaje teraz do materiału wybuchowego truciznę. Kto ocali się przed zatruciem, tego rozedrze stal. 77 mm pociski łączą swe wybuchy z grzmotem 150 mm dział.

Piechurzy są u kresu sił... rzucają swoje pakunki. Krew nabiega do twarzy, zamęt w głowie. Ludzie padają na skraju drogi..., gdy tymczasem podczas tej straszliwej nocy ogień trwa dalej.

Jako tako doszli do celu... Dwóch ludzi zniknęło. Żrące, ciężkie opary napęlniają schrony. Siedzą w nich w maskach, spać nie uda się.

O świetle Feroul zobaczył żołnierzy idących z okopów o wypalonych oczach, trzymających się za ręce. W kompanji jeden kapral miał genitalja i otwór odbytnicy spalony do żywego ciała...

Jakób kaszlał — ogień miał w piersiach...

¹⁾ Wszelki ruch w ówczesnej masce był trudny i dlatego nakazywano wykonywać jak najmniej poruszeń.

OSTATNIE BOMBARDOWANIE GAZOWE PO WIELKIEJ WOJNIE.

Ostatnie bombardowanie gazowe nastąpiło ze strony Rusinów podczas oblężenia Lwowa w 1919 roku. Profesor dr. W. Nowicki z zakładu anatomiczno-patologicznego uniwersytetu lwowskiego badał zmarłych w jednym wypadku i ogłosił swe spostrzeżenia w artykule „Zmiany anatomiczne u zmarłych w krótki czas po zatruciu gazami z pocisków” (Lekarz wojskowy, 1920 r.). Opuszczając fachowe dane tego artykułu, jako interesujące jedynie lekarzy, przytaczamy szczegóły o samym wypadku.

— Pocisk o kalibrze 150 mm wpadł przez dach na pierwsze piętro do mieszkania rodziny W., a następnie przebiwszy sufit, wybuchł w mieszkaniu rodziny D. Stało się to o godzinie 3 rano, a więc w czasie, kiedy obie rodziny, pierwsza złożona z rodziców i pięciorga małych dzieci, druga z matki i dwóch synów (15 i 32 lata), znajdowały się we śnie. Natychmiast po wybuchu dorośli po dorywczem zarzuceniu na siebie ubrania opuścili mieszkanie, zabierając dzieci i przytłoczoną gruzami matkę D., przyczem pomocny był głównie sąsiad.

Matka D. zmarła mniej więcej w pięć minut po wybuchu; reszta zaś osób z obu rodzin w niewielkich od-

stepach czasu zmarła do pięciu godzin po wybuchu. U wszystkich wystąpiły objawy bardzo silnego zadrażnienia dróg oddechowych, nasilony kaszel, wielka duszność, sinica, ból w klatce piersiowej, znaczne osłabienie czynności serca i prawie u wszystkich wymioty. Również ciężkie objawy zatrucia wystąpiły u niosącego pomoc sąsiada, który został przewieziony do szpitala, gdzie pozostał przeszło tydzień. U tego chorego stwierdzono prócz wymienionych objawów rżenie w klatce piersiowej, osłabienie czynności serca, przyspieszenie tętna. Ciepłota w drugim dniu doszła do 38° C. Zaznaczyć należy, że u innych mieszkańców dość dużego domu wystąpiły objawy zadrażnienia dróg oddechowych, a nawet wymioty.

Mamy zatem w przytoczonym wypadku do czynienia z wypadkiem śmierci w kilka godzin po zatruciu gazem z pocisku, który należy zaliczyć do duszących i to o typie najprawdopodobniej chlorowym, a to zarówno na podstawie typowych objawów, jak i bliższych szczegółów na miejscu zasiągniętych.

„Wojsko amerykańskie straciło w zabitych od gazów 1.400 ludzi, od innych rodzajów broni 46.660 ludzi:

śmiertelność od zatruc gazami wyniosła 1,87%

śmiertelność od zranień innych . . . 23,4%

Gazy okazały się więc bronią najbardziej słabą wobec armji amerykańskiej”.

Dając małą cyfrę śmiertelności, jednocześnie gazy usuwały z szeregu największą w stosunku do innych broni ilość ludzi (p. str. 152). To też Amerykanie nazwali je „bronią humanitarną” i nie zarzekli się użycia gazów w przyszłej wojnie.

Dla Amerykanów wojna chemiczna nie była zaskoczeniem.

„NIE POZWOLIMY SIĘ ZASKOCZYĆ”.

Wiadomość o gazach trujących na wolnych od nich odcinkach frontu przyjęto sceptycznie. Żołnierz i dowódca zostali zaskoczeni nowem narzędziem walki. Tylko prasa poddana surowej cenzurze czy też ze względów fałszywie pojętego patriotyzmu, usiłująca wszystko przedstawić w różowych barwach opowiadała że wojsko francuskie „nie pozwoli się zaskoczyć”.

Dzisiaj, kiedy już nareszcie po latach prawda jest znana, wiadomo jakto „nie pozwoli się” w istocie wyglądało.

Podporucznik Charles Chenu na wiadomość o gazach zanotował w swoim dzienniku:

— Gazy. Nowy wynalazek.

Ale jak piszą nasze dzienniki „nie pozwolimy się zaskoczyć”.

Naturalnie. Dostaliśmy okulary szoferskie i rodzaj pudełka od konserw, do którego się wsadza nos. W pudełku jest tampon.

Szczęściem nieprzyjaciół nie nadużywa gazu. Przy pierwszych pociskach łzawiących zgubiłem szybką miwkową z okularów. Nie opisuję tu łzawej sceny, jaka nastąpiła.

— A jednak — stwierdza mój towarzysz Roques — jest ktoś, co robi fortunę sprzedając te głupstwa.

Charles Chenu.

HISTORIA POLSKA W ROKU 1918.

W czerwcu 1918 r. 30 pułk piechoty, w którym służył natenczas już jako podporucznik Jan Grange jest w pościgu za cofającym się nieprzyjacielem. Na pagórkach pod Reims nawiązuje z nim ponownie styczność. Nie-miec zamierza się tu bronić, nie żałuje przytem pocisków gazowych. Są oznaki, że będzie nacierał.

Grange otrzymuje rozkaz umieszczenia się na jakimś rozdrożu, gdzie „będzie znakomicie ulokowany ze swym plutonem dla ewentualnego przeciwnatarcia”. Dowódca bataljonu nie chce nawet słuchać jego słów, że wraz z nim „jest zaledwie dwudziestu ludzi w plutonie, niema sierżantów, karabiniarzy, że jego ludzie od czterech dni bez przerwy kopali okopy, a teraz mają wyjść na czyste pole...” Dowódca bataljonu odpowiada lakonicznie „Dosyć, panie. Kiedy dam rozkaz, nie wdaję się w rozmowę. Albo pan po...słu...cha, albo zabiję pana”.

Wrażenia z bombardowania pociskami gazowymi są tu typowe. Pewien procent tych pocisków trzyma ludzi godzinami w napięciu. Nic osobliwego się nie dzieje, lecz świadomość zatrucia sprawia, że siedzą w maskach.

— Około godziny pierwszej przybyliśmy na rozdroże Aubilly — Sarcy. Umieścić się wprost na niem było-

by śmiesznością, to też położyłem swój pluton sto metrów przed niem, na skraju małego lasku. Podczas kiedy ludzie kopali nowe wnęki (dziesiąte co najmniej od ośmiu dni), wskazałem memu ordynansowi miejsce, gdzie my z nim się ulokujemy. Tam u stóp tego wolnego buku będzie dobrze. Zdjąłem oporządzenie i poradziłem Desbornesowi, aby się śpieszył, bo świt już blisko. Sam udałem się na rozpoznanie odcinka. Drużyna karabinów maszynowych znajdowała się w pobliżu. Sierżant Pancrace, który nią dowodził, był moim starym dobrym kolegą z 9 kompanji. Pogwarzyliśmy trochę i poszedłem zobaczyć, gdzie się znajduje 10 kompanja.

Za późno! Jakby na znak dyrygenta orkiestry, wszystkie baterje niemieckie rozpoczęły ogień. Pociski gazowe, granaty, szrapnele... Będzie dzisiaj natarcie!

Cofnąłem się, wlałem do dziury, wykopanej przez Desbornesa, i nałożyłem maskę.

Był najwyższy czas.

Nigdy jeszcze nie znalazłem się pod tak gwałtownym ostrzałem. Nasza wnęka jest tak mała, że można tylko przysiąść na piętach i oprzeć głowę na kolanach. Naokół nas padają pociski, uderzają w drzewa, zasypują nas ziemią, zatruwają... Moja maska nie chroni dość skutecznie. Co mogę zrobić, nie opuszczając wnęki? biorę drugą maskę, zmieniam ją szybko. Rezultat nie lepszy.

Słyszę jak Desbornes pluje bez przerwy. Krzyczy mi, że nie może znieść dłużej podobnej tortury. Chce iść na punkt opatrunkowy. Usiłuję go przekonać, że będzie zabity, zanim ujdzie dwadzieścia metrów. Woli to, niż zdychać tu w tej dziurze.

Cztery godziny bez sekundy przerwy trwa to bombardowanie. Teraz rozumiem, że są ludzie, którzy mogą oszaleć albo porzucić swe stanowiska w podobnej

chwili! Ci, którzy przeżyli takie momenty, nie skazą nigdy człowieka za opuszczenie swego posterunku podczas boju...

Jednak wcale nie miałem wrażenia, że mam tu przeżyć ostatnie chwile życia. Przy każdym zbyt bliskim wybuchu trząsłem się trochę, dlaczego tego nie wyznać? Mówilem sobie, że mam oto wykopany grób. Jeden pocisk zabije, następny zrówna wszystko i nikt nie będzie wiedział co się ze mną stało. Moi rodzice przez miesiąc będą mówili, że jestem jeńcem, później powoli wątpliwość pocznie się saczyć w serce. Z ich syna pozostanie kilka poszarpanych członków, zagrzebanych pod dwudziestocentymetrową warstwą ziemi.

Dla dodania sobie ducha mówię do siebie całkiem głośno. O ile pocisk nie rozerwie mnie na sztuki, w jakikż sposób będę w stanie oprzeć się natarciu nieprzyjacielskiemu, które rozpocznie się lada chwila. Niemcy będą przede mną, być może za mną, zanim poruszę moim palcem. Głośno wołam po nazwisku swych ludzi, lecz nikt nie odpowiada. Wyjść z dziury? To lepiej palnąć sobie w łeb z rewolweru!

Wewnętrznie mam żal do dowódcy bataljonu. Dlaczego nas wysłał tutaj nocą? Morderca, morderca, morderca...

Spróbowałem zdjąć maskę, lecz natychmiast musiałem ją włożyć zpowrotem. Łotry, nie tylko chcą nas zniszczyć ogniem ale również trują.

Szósta godzina rano. Dzień wstał w gęstych dymach pocisków.

Na przodzie ogień osłabł. Niemcy muszą nacierać!

Zrywam maskę, wyskakuję z wnęki i biegnę na prawo zaalarmować moich ludzi. Dwaj pierwsi zdaje się że śpią. Potrząsam ich, wołam, ale to są martwi. Martwi!

Wokół niema ani jednego żywego człowieka. Nikt nie ocalał. Jestem pewny — i później przekonywam się o tem — że ani jeden z moich dzielnych *poilus* nie porzucił swego stanowiska.

Philibert Jean Grange.

WOJNA GAZOWA W KARYKATURZE.



Przyszła wojna.
(Rys. Wilibalda Kruisza).

ŚMIERĆ W SAINT QUENTIN.

W roku 1918 Niemcy naciskani przez sprzymierzonych, wycofują się, pozostawiając za sobą pustynię, minując i zatruwając wszystkie budynki. Sierżant Grillet przychodzi do miasta Saint Quentin. Nocleg, ze względów ostrożności, w obawie min, oddziały urządzają na przedmieściu. Grillet widzi jak jedna z kompanij, odwodowa kapitana Grimona, lokuje się w jakiejś ubikacji przykościelnej.

— My — opowiada Grillet — wybraliśmy sobie jakąś piwnicę ceglana, dobrze suchą. Każdy ułożył się w kącie i zasnął snem niewinności.

— Czy to już godzina piąta? Czy też szósta? budzi mnie jeden z żołnierzy, tapicer.

— Jestem chory, jęczy.

Oglądam go przy blasku świecy. Ma głowę obrzękniętą, policzki wydęte i oczy prawie zakryte puchliną. Cóż to takiego? Ja sam mam głowę ciężką. Patrzymy na siebie wszyscy.

Niema wątpliwości, zasnęliśmy w zaiperytowanej piwnicy. Żaden podejrzany zapach nas nie ostrzegł.

— Odchodzę — rzekł tapicer. Nie chcę zdechnąć od gazu, jak nasi chłopcy w lesie Bus.

Wyszedł.

Umarł nazajutrz po przyjeździe do szpitala.

Wynieśliśmy się z piwnicy na świeże powietrze. Rozedniało, chciałem zobaczyć naszych kolegów z przeciwka, którzy spali przy kościele. Niema nikogo! Jakiś włóczący się żołnierz powiedział mi, że kompanja Grimona — kompanja odwodowa — odjechała o godzinie trzeciej rano, wszyscy zatruci przez gaz.

Kapitan Grimon, jego podoficer prowiantowy, łącznicy, koledzy, których znałem, zmarli w kilka dni później w szpitalu Issy-les-Moulineaux. Co się stało z pozostałymi ludźmi z kompanji?

Ordynans majora wezwał mnie do niego. Major przyjął mnie wesoło, wyciągając rękę.

— Żegnam pana. Jutro mam się zaokrętować w Marsylji i udać do Rumunji. Proszę, aby pan pomógł zorganizować się kapitanowi, który obejmie bataljon.

— Rozkaz, panie majorze.

— Ale, dodał, pan jest zagazowany?

— Oh! trochę.

— Czy pan będzie w stanie trzymać się do godziny 9, do natarcia?

— Będę się starał.

— Dobrze.

I odszedł wesoły, ponieważ Bułgarja prosiła o rozejm i należało korzystać, aby jak najprędzej podjąć ofensywę na froncie Europy centralnej.

Ale major dotarł tylko do Marsylji — okazało się, że jest zatruty i musiał pójść do szpitala.

Wróciłem do kapitana, zdałem mu sprawę z ilościowej sytuacji bataljonu, zmniejszonego wskutek zniknięcia pozostałych kompanij. Telefonował do pułkownika, który odpowiedział mu, że mimo to powinien nacierać.

Ja odszedłem.

Na początek starałem się odnaleźć gniazdo karabinów maszynowych na cmentarzu. Zauważywszy dom prawie nietknięty, położony dogodnie dla mojego zamiaru, wła-

złem wraz z Gavériaux na strych. Ostrożnie zbliżyliśmy się do okienka. Przez lornetkę odnaleźliśmy siedem czy osiem ciężkich karabinów maszynowych i dwa zamaskowane działa 77, ale żadnego śladu okopu ani piechurów. Tu więc, podobnie jak poprzednio w Rolloe, była tylko straż tylna przeznaczona do zatrzymania nas przez dwadzieścia cztery, czy też czterdzieści osiem godzin.

Powoli ośmieliliśmy się i pokazaliśmy się być może za dużo. Fryc¹⁾ musiał nas zauważyć. Nagły rzut płomieni i brrum! pocisk uderzył w komin naszego strychu. Złcieliśmy ze schodów dosłownie brzuchem na ziemię, w takim samym czasie jak kilka tuzinów cegieł, dachówek, odłamków i t. p... Uff! Popatrzyliśmy na siebie — wszystko mamy całe! Uśmiech radości — dobrze mój stary, udało się.

Nie byłem jednak zadowolony. Chciałem więcej wiedzieć. To może nie było konieczne, ale kusilo mnie — krótko mówiąc wlałem sam do domu nie zwracając uwagi na Gavériauxa, który starał się mnie zatrzymać. Dotarłem na czworakach do dymnika i spojrzałem przez lornetkę.

Odrzu zobaczyłem, że Fryc stojący przy dziale wykonywa jakiś podejrzany ruch. Hop! bez namysłu, skoczyłem na schody. Zaledwie zbiegłem cztery czy pięć schodków, kiedy pocisk ze straszliwym łoskotem uderzył w strych. Zleciałem nadół na łeb, na szyję. Tam mnie złapał w swoje ramiona Gavériaux. Zdziwiłem się na widok jego wykrzywionej twarzy. Patrzył na mnie z nieszczęśliwą miną. Oczy miał czerwone! Ale inni moi żołnierze również są przygnębieni — jak mogą powstrzymują się od skarg. Dym dwóch pocisków i pył z gruzu wapiennego rozszedł się z trudem. Wokół

¹⁾ Fryc — tak nazywano żołnierza niemieckiego, podobnie jak Anglika — Tommy

rozszedł się zapach fiołków. Do licha, to były pociski gazowe...

Poszedłem do bataljonu, aby zażądać ognia naszych 75 na cmentarz. Ale jeszcze artylerja nie była na stanowisku. Co czynić z tem gniazdem żmij? Poszedłem do najbliższej drużyny, dowodził nią młody sierżant.

Podczas nocy żołnierze wykopali pojedyncze wnęki w ogrodach, są nieźle ukryci, mówię im co mają naprzeciw siebie. O godzinie 9 należy nacierać.

— Wy tu nie macie co robić, niech ta kompanja z lewej strony się pcha, ma luz przed sobą, a wy tylko udawajcie, że wychodzicie i róbcie hałas. Kiedy ci z prawej i z lewej strony od was pójda naprzód, Fryc rozsypie się podług zwyczaju.

Wróciłem do swoich żołnierzy. Są w stanie godnym litości, wymiotują jakąś zieloną masą. Pytają się czy mogą odejść wtył. Chcą abym szedł z nimi, ponieważ mam również twarz zmienioną. Każę im poczekać jeszcze pół godziny. Nowy dowódca bataljonu, kapitan, czując się cierpiącym, również odszedł. Nasz oddział jest zredukowany do minimum. Zaraz się zacznie natarcie. Wysyłam dwóch żołnierzy aż do lewego bataljonu, aby się dowiedzieli co tam słyszą. Jeden z nich pobiegł jak strzała. Wrócił również szybko z wiadomością, że wszystko tam idzie dobrze. U nas bez zmiany, tylko karabiny maszynowe strzelają. Granaty z gazem fiołkowym biją po domach, napełniając powietrze charakterystycznym zapachem. Każdy wybuch wysyła ku nam mknące z wiatrem kłęby gazu.

Mam straszne mdłości. Słabo mi. Czas odejść. Uprzedzam o tem kilku ludzi, którzy tam są. z moimi żołnierzami chorymi jak ja — kieruję się wtył. Trzej pozostali przy życiu ledwie się wloką, a jednak chcą mnie podtrzymać. Trzeba wyjść z tego zatrutego piekła, pali skórę przez ubranie.

Kiedy przechodzimy przez tor, aby dojść do dworca, pociski padają salwami. Na dworcu, na punkcie opatrunkowym, jest mój młody przyjaciel, lekarz ze wszystkimi swymi sanitarjuszami. Przy nim jest ksiądz-sanitarjusz, wydaje mi się, że jego broda ma śmieszny kolor. Schodzimy do schronu, wykopanego przez nieprzyjaciela.

W głębi schronu leżą sanitarjusze, kilku z nich już rzezi. Powietrze jest zatrute gazem.

— Ale co ty tu robisz, nieszczęśliwy, ze wszystkimi tymi ludźmi, już w połowie martwymi? — pytam się lekarza. Czyż ty nie czujesz gazów, które tu tak silnie cuchną.

— Zostałem tu, aby opatrywać rannych i nie mogę się ewakuować z powodu gazu — odrzekł mi. — Gaz to jest nic.

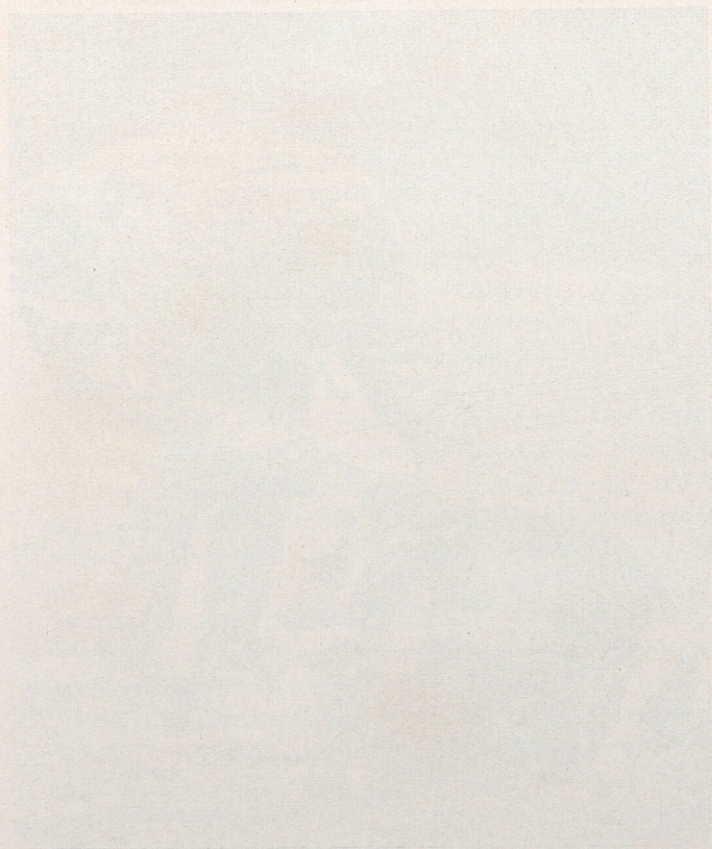
Wpadłem w szalony gniew. Jakto, nic. Zobaczysz! Złapałem różowe kartki ewakuacyjne i wetknąłem po jednej każdemu żołnierzowi, jak również samemu łapiduchowi, księdzu i moim ludziom. Chciałem wszystkich zabrać. Wzbraniaли się... Lecz ledwie odszedłem sto kroków z moimi ludźmi, kiedy się namyślili i dołączyli do nas w stanie godnym litości.

Począwszy od tej chwili żyłem w jakimś śnie, który powoli zamieniał się w koszmar.

Podtrzymywaliśmy jeden drugiego, ponieważ bolesne mdłości sprawiały, że bez przerwy wymiotowano zielonym śluzem, zielonym jak grynszpan. Miało się przy tem wrażenie gwałtownej choroby morskiej. Z oczu coraz bardziej podrażnionych płynęły wielkie łzy. Nie mogliśmy znieść słońca i maszerowaliśmy prawie naoslep z przymkniętymi powiekami. Wreszcie, po strasznie przejściu kilku kilometrów, znaleźliśmy dowódcę pułku otoczonego swym sztabem. Na nasz widok podniósł rękę ku niebu.



Psu też należy założyć maskę...



— Jakto? jeszcze zagazowani? Czy nie mieliście masek?

Cóż na to odpowiedzieć? Czy maska może przeszkodzić gazom piec ciało przez odzież.

Skuteczność maski jest jeszcze legendą tyłów. Można się uchronić przeciw gazom łzawiącym, kiedy nie są zbyt silne i kiedy są wytworzone przez pojedyncze pociski. Do tego trzeba jeszcze znajdować się w spokoju, w okopie, aby móc podczas akcji posłużyć się maską. Wówczas nie można ani się poruszać, ani dowodzić, ani też patrzeć z tym pyskiem świńskim na twarzy ¹⁾.

Podczas luzowania w Beauvraignes nikt nie ucierpiał od gazu, oprócz osobników pozostających nieruchomo. Wypadki śmiertelne zaobserwowano tylko u tych, którzy zostali zagazowani we śnie. Oczywiście, kiedy człowiek znużony zasypia twardo, wówczas oddycha głęboko i trucizna przenika w głąb organizmu. Lecz o ile przebywając strefę zakażoną, wstrzymuje się oddech, wówczas tylko oczy i błona śluzowa, mogą być dotknięte i to przejściowo. Ale nie ufam masce najbardziej udoskonalonej, aby chroniła przeciw gazowi o zapachu fiołków, który się ostatnio ukazał podczas wojny chemicznej.

Uważając wszelkie wyjaśnienia za zbytczne, zdałem meldunek z sytuacji i dołączyłem do mojej grupy u naczelnego lekarza pułku.

Po obmyciu wodą..... zasłonięto nam oczy bandażem od słońca. Udaliśmy się dalej drogą na zachód, zatrzymując się od czasu do czasu dla podtrzymania któregoś z nas, który padał. Ponieważ w pachwinach i pod pachami mnie paliło, maszerowałem z nogami rozkraczonemi. Rzuciłem mój plecak i pozostawiłem zbytczne

¹⁾ W tym czasie maska nie była tak doskonała jak obecnie. Dzisiaj można swobodnie biegać w masce.

rzeczy, zwłaszcza wino, które się rozłożyło pod działaniem gazu, wydzielając zapach atramentu. Sądzę, że śmierć zmioła tych zagazowanych, którzy w dalszym ciągu pili wino, czy też wódkę.

Wreszcie doszliśmy do postoju samochodów. Tu dostaliśmy małe Fordy, kierowane przez Amerykanów, dzielnych ludzi. Podjeżdżali oni blisko linii i często wozy ich nosiły chwalebne ślady pocisków karabinów maszynowych. Wtłoczyliśmy się do jednego z tych wozów, który mimo wstrząsów wydał nam się ideałem komfortu. Następnie przesiedliśmy się dalej już do samochodu sanitarnego z kolumny armji... Powoli wokół mnie zapadała noc, podczas gdy ogień szarpał mi piersi i powieki się zwierzały. Co chwila wymiotowaliśmy, później zdrzemnąłem się w gorączce.

Samochód zatrzymał się. Wszyscy wychodzić! Jakieś opiekuńcze ręce postawiły mnie na ziemi, podtrzymując pod ramiona. Musiało świecić słońce, lecz nic nie widziałem. Z bolesnym wysiłkiem odchyliłem mój bandaż, podniosłem do połowy powiekę i w jakiejś mgle zobaczyłem dwa rękawy szaro-zielone. Podtrzymywali mnie *feldgrau*, jeńcy niemieccy, użyci do noszenia rannych.

Co wtedy czuł mój mózg? Odruch gniewu sprawił, że pchnąłem łokciami w piersi trzymających mnie Niemców, którzy wywrócili się pod tym nieprzewidzianym ciosem. Pozostałem sam, nie wiedząc, gdzie jestem. Dwaj opiekunowie zbliżyli się znów do mnie i wzięli mnie ponownie pod ręce, a jednocześnie jeden z nich mruknął te nieoczekiwane słowa: „Pardon, chef”!

Opanowało mnie wielkie wzruszenie. Co się więc ze mną stało? Jestem już tylko otrząskiem, chorym... Jestem ślepy...

Ścisnąłem zęby, aby wstrzymać się od płaczu i pozwoliłem się prowadzić. Chciałem mówić, lecz żaden dźwięk nie wydobył się z mego przeżartego gardła. Po-

grążyłem się w rozpacz. Mój głos, ten głos, który mi sprawiał tyle radości i który potrosze był moją dumą, moje oczy prawie niebieskie, co się z nimi stało? Osunąłem się jak szmata na miejsce, gdzie mnie postawiono. Cierpienie przeszkadzało mi myśleć. Zgadywałem ogólnie, że mnie prowadzą, później rozbierają i pchają pod ciepły prysznic. Położono moje ręce na nagie ramiona człowieka znajdującego się przede mną. Czułem, że ktoś mnie trzyma z tyłu. Ten nieszczęśliwy zwałił się i ucułem jego głowę na moich pośladkach. Woda lała mi się na głowę i spływając po oczach drażniła mą poparzoną skórę, już nie do zniesienia obolałą. Wreszcie wzięły mnie jakieś inne ręce. Włożono na mnie ubranie, nie moje, nie poznawałem go.

Zabrał mnie jakiś samochód... To wszystko działo się ze mną w jakimś półśnie, który nie jest jeszcze omdleniem, lecz jest podobny do całkowitego zatracenia osobowości. Łagodnie podtrzymywany doszedłem do łóżka, gdzie mnie otoczył spokój i doznałem wrażenia błogości.

Chciwie wypilem kubek napoju, jaki mi podano. Były to niewątpliwie ziółka łagodzące. Sanitarjusz zmierzył mi temperaturę. Usiłowałem odezwać się do niego, lecz mój głos był jak odległe tchnienie słyszane przez gęstą, welnistą mgłę. Sanitarjusz zapytał mnie o adres żony...

Byłem zdecydowany umrzeć i miałem uczucie, że wszystko jest skończone...

Tymczasem słyszałem jak rozmieszczano przybywających. Byli to prawie wszystko moi koledzy, lekarz, ksiądz-sanitarjusz i jego towarzysze, kapral-trębacz...

Sanitarjusz wykazał najdalej posuniętą pieczołowitość, pokrzepił mnie, mówił o Bogu — był to ksiądz. Upewniał mnie, że będę wyleczony. Co kwadrans dawał mi kubek, chciwie połykanych, ziółek i to podczas

dwunastu godzin, od siódmej wieczór do siódmej rano. Później zastąpił go inny sanitariusz, również ksiądz i ci dwaj ludzie walczyli kolejno ze śmiercią o nasze szkielety. Ani na chwilę nie straciłem kontroli nad sobą, oprócz godzin silnej gorączki, ponieważ miałem oba płuca nadgryzione i cierpiałem jeszcze z powodu oparzeń. Rozróżniałem niepokojące świsty w mojej piersi, straszliwy kaszel targał nią bez przerwy. Zimny wiatr wnikał do naszego namiotu, byliśmy w szpitalu polowym. Do tego dymił piecyk, co jeszcze bardziej drażniło nam płuca. Dostawaliśmy tylko odświeżające odwary z ziół i skondensowane mleko. Myślę, że to jest jedyne możliwe w tym wypadku lekarstwo.

Było nas siedemnastu w namiocie. Trzeciego dnia rano usłyszałem jak mój sanitariusz szepce modlitwy. Pomyślałem z niepokojem: za kogo on się modli. Poruszyłem ręką, sanitariusz przybiegł ku mnie. Zapytałem:

— Kto to jest?

— Wasz lekarz.

— Biedny chłopiec! Dwadzieścia jeden lat! Nie wie-rzył w gaz! Pomyślałem.

— Więc wkrótce moja kolej.

Byłem bardzo zgnębiony; nie bałem się już nawet śmierci...

Lecz czego się obawiałem, to całodzienniej tortury i porannego obmywania oczu, gdyż spalenizna pokrywała się ropą. Miałem wrażenie, że mnie czyszczą szczotką ze szpilek. Wreszcie półmartwy pogrążyłem się w omdlenie.

Czwartą noc zakłóciło okrutne konanie księdza-sanitarjusza z naszego bataljonu. Nieszczęśliwy oszalał. Chciał uciec ze swego posłania, aby biec od jednego łóżka do drugiego. Myślał, że jest Panem Bogiem, że jest Chrystusem. Objęty światłem wstępował do nieba.

To było straszne. Słyszałem wysiłki sanitariusza, aby go utrzymać leżącym. Umarł o świcie.

— Módl się pan za niego — rzekł nachylając się ku mnie sanitariusz.

Do dziesiątego dnia trzynastu z pośród nas już odeszło na wieczysty apel, a ja ciągle żyłem. Moja pierś goiła się pod dobroczynnem działaniem odwaru z ziół i mleka. Zaczynałem mieć nadzieję. Mówiłem z większą łatwością i rozmawiałem z naszymi gorliwymi sanitariuszami, lecz ciągle nic nie widziałem.

Pewnego ranka podczas zmiany opatrunku nagle zobaczyłem czerwoną cyfrę na kołnierzu munduru mego sanitariusza. Ogłupiałem z radości, rozplakałem się i oczy poczęły mnie piec.

— Co takiego?

— Widzę... widzę... piątkę na twoim kołnierzu.

— Mój przyjacielu, jest to ósemka a nie piątka, ale widzisz — to najważniejsze.

· Sądzę, że nigdy gorętsza modlitwa nie wypłynęła z mojej katolickiej duszy.

Zasnąłem tego dnia bez cierpień.

Nazajutrz nowy postęp, lecz nieznaczny. Byłem tak niecierpliwy! Całe moje ciało powoli nabierało normalnego koloru. Moje organa płciowe były całkowicie czarne. Skórę miałem jak skorupę, i teraz wytworzył się nowy naskórek. Kaszel zmniejszył się. Miałem tylko mocny katar. Gorączka trzymała się około 40 stopni, nie przekraczając jednak tego. Odradzałem się.

Siedemnastego dnia wstałem i począłem chodzić od łóżka do łóżka. Pozostało czterech z moich starych żołnierzy. Moi *poilus* gdzieś byli, ale nie w namiocie.

Oczy ropiały mi obficie. Co cztery — pięć godzin trzeba było zdejmować warstwę ropy, zasklepiającą powieki. Po każdym obmyciu widziałem lepiej i to wystarczyło do mego obecnego szczęścia. Karmiłem się wy-

łącznie mlekiem. Miałem przed oczyma dramatyczny dowód doskonałości tego sposobu leczenia. Jeden z zagazowanych, już ozdrowieniec, włożył się gdzieś i wrócił z litrem wina. Ofiarował mi ćwierć. Kuszony przez świeży napój zbliżyłem szklankę do ust, lecz dotknąwszy się jej, poczułem wstrętny zapach atramentu i wypłułem to, co wziąłem do ust.

Mój kolega daleki od naśladowania mnie wypił cały litr i oświadczył, że dobrze mu to zrobiło.

Ale wieczorem dostał gorączki, bredził i nazajutrz zmarł. Ciekawa i niebezpieczna mieszanina: wino i gaz! Nie jest to z mojej strony żaden pewnik, ponieważ nie jestem ani lekarzem, ani chemikiem i nie chciałbym uogólniać. Jest to proste spostrzeżenie *poilu*.

W pierwszych dniach listopada mogłem wyjść na powietrze i rozejrzeć się po świecie. Nasz namiot stał w ogrodzie klasztoru Longepont. Ten klasztor — szpital, piękna budowla ceglana był do połowy rozbity. Dobre siostry były memi opiekunkami, ponieważ ziółka wypijane przeze mnie w takiej obfitej ilości one właśnie przyrządzały.

Znalazłem się w pierwszej partji wysłanej do szpitala w głąb kraju. Zawieziono mnie do wielkiego obozu — szpitala rozlokowanego wzdłuż drogi żelaznej, prawdopodobnie w Oise, gdzie pozostałem dwa dni bez opieki w oczekiwaniu pociągu. Chciano mi dać jeść, zażądałem mleka. Musiałem podnieść głos, aby je otrzymać. Z przyjemnością odnalazłem w pobliżu zgrupowania taborów pułkowych, między którymi odnalazłem tabor naszego pułku. Mogłem przebrać się w porządną mundur, ponieważ byłem odziany w prawdziwe łachmany, które straciły kolor przy różnego rodzaju zmianach i dezynfekcjach.

Antoine Grillet.

CZŁOWIEK CZŁOWIEKOWI WILKIEM NIE JEST...

Po natarciu nocnem grupa żołnierzy rozmawia w okopach:

(6 maja 1917, *Chemin des Dames*).

— Nagle rozległ się okrzyk.

— Alarm gazowy.

Nie mamy ani minuty spokoju.

Wszyscy otworzyli woreczki, w których mieściły się maski. Ranny Niemiec uważnie nas obserwował.

— Wkładaj maskę! — powiedział mu Castaing po niemiecku.

Nieszczęśliwy otworzył usta i usiłował, lecz napróżno, coś powiedzieć. Wtedy zaczął szukać czegoś na boku i pokazał nam podarte strzępy maski, zniszczonej przez granat, który go zranił. Później, widząc, że wszyscy mamy już maski na twarzy i że nie posiadając aparatu ochronnego jest skazany na śmierć, począł cichutko płakać.

— To ci malec! — usłyszałem szorstki, gderzący głos poza nami.

Odwróciłem głowę. Kapral Héron patrzył uważnie na Szwaba. Jego najeżone wąsy nadawały mu dziki wygląd.

— Trzymaj — rzekł do jeńca, nie płacz!

Szybko założył własną maskę na zapłakaną twarz rannego, który wyjął:

— Dziękuję panu, dziękuję panu! Głosikiem słabym i żalonym, jak głos chorego dziecka.

Héron oddalił się biegnąc i pochyliwszy się nad jakimś zabitym zabrał mu maskę.

Kwadrans upłynął w oczekiwaniu. Skończył się alarm. Było to coś nieznaczącego. Kilka pocisków trujących upadło na odcinek sąsiedniej kompanji.

Georges Gandy.

STRACH.

Samotny obserwator niemiecki stoi w 1915 r. w wysuniętym okopie podczas napadu gazowego. Stoi już w masce przez czterdzieści minut. Należy zmienić pochłaniacz, który się zużył. Nietrudna to czynność, trzeba przez kilka sekund wstrzymać oddech, odkręcić zużyty i wkręcić nowy pochłaniacz. Na myśl o tem, przerażony żołnierz nie znajduje lepszego środka uratowania swego życia, jak przejść na stronę francuską i pójść do niewoli. Samotne przebywanie w fali chlorowej pozbawiło go odwagi. Żołnierz, jak widać, zawsze przecenia potęgę niewidzialnego nieprzyjaciela.

W masce czuje się osamotniony.

„W 1918 fala chlorowa mogła przejść przez oddziały na froncie, bez wyrządzenia im szkody”.

W ARSENALE CHEMICZNYM PRUS.

Doktor Herman Büscher w przeciągu kilku lat pełnił funkcję naczelnego lekarza w arsenale w Breloh, gdzie podczas wojny ładowano tysiące tonn pocisków gazami trującymi i manipulowano nimi wtedy i w okresie późniejszym. W Breloh był główny arsenał gazowy Niemiec.

Spostrzeżenia osoby tak autorytatywnej mają nielada wagę. Doktor Büscher ogłosił je drukiem. Powołując się na Amerykanów, mniema, że w przyszłych konfliktach zbrojnych gazy trujące będą używane.

Najciekawsze jest dla nas to, co opowiada o samym arsenale. Zagroził on ludności okolicy, czyli istniał tu stan, jaki może się zdarzyć w przyszłej wojnie w stosunku do ludności cywilnej, bombardowanej z samolotów czy też z armat nieprzyjacielskich pociskami trującymi.

— Gazy bojowe były dla mnie podczas wielu lat — opowiada Büscher — chlebem codziennym.

W 1917 r. we wsi Breloh, na pustkowiach luneburskich, urządzono wielki arsenał amunicji gazowej, który rozwijał się szybko i przy końcu wojny zajmował ponad 6.000 hektarów.

Da się on porównać ze słynnym amerykańskim arsenałem w Edgewood. W czasie, kiedy wybuchła rewolu-

cja 1918 roku, ponad 4.000 ludzi napełniało w naszym arsenale pociski różnego kalibru z krzyżem żółtym, zielonym i niebieskim.

Z chwilą wybuchu rewolucji zaprzestano wszelkiej pracy. Dopiero traktat wersalski nakazał nam zniszczyć wszystkie urządzenia, jak również amunicję i składy produktów specjalnych.

Miedzy 1919 i 1925 zniszczono 48.000 tonn pocisków gazowych. Ta trudna do wykonania praca została skomplikowana wskutek silnej eksplozji, jaka nastąpiła 24 października 1919 i spowodowała liczne ofiary. Miałem wówczas sposobność studjować działanie gazów nie tylko na personelu, który manipulował przy nim, lecz również na ludności cywilnej.

Na podstawie pięcioletnich doświadczeń mam prawo mówić o sprawie gazowej z dokładną znajomością rzeczy. Były dni, kiedy miałem po 30 — 40 zatrutych.

Najważniejszą rzeczą jest umiejętność posługiwania się maską.

Typowym przykładem był dzień 24 października 1919 roku, kiedy to zdarzył się wybuch.

Szybko rozdano maski ludności cywilnej, znajdujące się w okolicy, lecz w rozgardjaszu jaki się wytworzył, wiele osób nie umiało się nią posłużyć. Naprzykład jakiś osobnik, mający maskę na twarzy, chcąc powiedzieć coś ciekawego sąsiadowi, poprostu zdejmował ją. Ani przez chwilę nie myślał widać o śmiertelnem niebezpieczeństwie, na jakie się naraża.

Inni uważali, że niemożliwą rzeczą jest wogóle pozostawać w masce na twarzy. Niektórzy wyrzucali ją poprostu.

To, co tam było, może się stokroć razy powtórzyć w czasie wojny.

Dlatego władze muszą przygotować ogół. Zacząć trzeba od szkół.

W Breloh, wyznaczeni do niszczenia pocisków robotnicy (bardzo często wysadzano je), pilnie i rozsądnie przestrzegali wydanych w tej mierze rozkazów. Lecz zdarzało się, że jakiś poryw wiatru zaniósł kilka strzępów gazu przypadkowo ku osiedlom, znajdującym się w odległości 8, 10 i 15 kilometrów od arsenału. Następował tam wtedy popłoch. Wszyscy w największym przerażeniu zamykali się w domach.

Robotnicy arsenału nie mieli żadnych obaw, ponieważ dokładnie znali właściwości gazów i sposób obchodzenia się z nimi. Co tydzień miano z nimi pogadankę na ten temat.

Nieświadomość skutków działania gazu prowadzi do lekceważenia niebezpieczeństwa i wystawiania się na niepotrzebną zgubę.

— Widziałem wypadek z pewnym świeżo zwerbowanym berlińczykiem, który przez fanfaronadę twierdził że jest nietykalny dla gazu. Zaskoczony przez chmurę trującą, popchniętą nagłym podmuchem wiatru, włożył maskę niechętnie i późno. W kilka godzin później niešťczęśliwy zapłacił życiem za swą nierozsądną lekko-myślność.

Zaznajomienie ogółu z gazami jest więc rzeczą niezbędną.

Maska powinna być przejrzysta.

— Dziecko powinno móc poznać swoją matkę. Kilkakrotnie miałem sposobność widzieć w Breloh dzieci płaczące na widok rodziców w maskach wojennych. Niektóre uciekały od swoich matek. Maski powinny wzbudzać zaufanie, a nie przstraszać.

Umiejętność i środki w dostatecznej ilości do leczenia zagazowanych są niezbędne dla wzbudzenia wiary ogółu w skuteczność ochrony.

A oto co nastąpiło z iperytem, tym królem gazów bojowych.

— Nie mając dostatecznej ilości chlorku wapna, nigdy nie doszlibyśmy do wyprodukowania olbrzymiej ilości pocisków z iperytem w Breloh.

Robotnicy nie chcieliby pracować przy tych pociskach, o ile wszędzie nie stałyby kadzie z chlorkiem wapna.

Jeżeli jakakolwiek część ciała została zwilżona iperytem, natychmiast przykładano na nią tampon nasycony chlorkiem wapna i wszystko znikало. Pozostawało lekkie zaczerwienienie skóry, które też wreszcie nikło. Naturalnie w początkach było kilka ofiar, ale uświadomienie robotników i przyjęte środki ostrożności zmniejszyły straty do minimum.

Co do leczenia zatrutych dr. Büscher oświadcza, że w większości wypadków jest to łatwiejsze, niż leczenie chorego na jakąś chorobę.

— Rozważmy na przykład zatrucie fosgenem. Jednym z najważniejszych warunków dla pomyślnej ewolucji jest absolutny spokój, należy zachować całą energję dla serca i płuc.

Czy ta konieczność jest ogólnie przestrzegana? Nic podobnego. Zatruci biegną i tracą oddech... Ten bieg jest właściwie przyczyną zguby, ponieważ podrażnione przez gaz serce i płuca wyczerpują się szybko...

Oto charakterystyczne wspomnienie.

— Podczas strzelania pociskami z krzyżem zielonym, nastąpiła zmiana wiatru i gaz dosięgnął pięciu kanonierów, jednego z nich ciężko. Czterej pozostali ponieśli go na noszach do oddalonego o trzy kilometry punktu opatrunkowego. Przenoszony zmarł, a także dwóch z pomiędzy niosących. Tymczasem początkowo wyglądało, że są oni zupełnie zdrowi i dopiero po przyjsciu na punkt opatrunkowy zatrucie wzięło obrót przyspieszony i śmiertelny. Zmęczenie zużyło serce, podziurawiło płuca i wywarło fatalny wpływ na rozwój choroby. Te

wypadki dały nam do myślenia. Zreorganizowaliśmy naszą służbę sanitarną. Zatrutych więcej nie odsyłało na odległość kilku kilometrów, lecz usuwano ich jedynie ze strefy niebezpiecznej czy też zagrożonej. Przedewszystkiem starano się ich pozostawić leżącymi i leczyć na miejscu. W tym celu urządzono co sto metrów, w przestrzeniach wolnych (w arsenale), punkty opatrunkowe, zaopatrzone w niezbędny materiał leczniczy (aparaty tlenowe, środki wzmacniające działalność serca, szpryce, opatrunki i t. p.). Jeżeli te punkty okazywały się jeszcze za odległe, pozostawiano chorych, o ile pogoda temu sprzyjała, wprost na miejscu, na świeżem powietrzu.

Ta zmiana organizacji służby sanitarnej dała pożyteczne wyniki. Zatrucia przez zielony krzyż (fosgen) straciły odrazu swą ponurą reputację. Wypadki śmiertelne stały się czemś wyjątkowym.

„Sprzymierzeni natrafili na poważne trudności przy masowym wyrobie iperytu. Dopiero po jedenastu miesiącach, po zastosowaniu go przez Niemców, mogli Francuzi użyć pocisków iperytowych własnego wyrobu, w czerwcu 1918. Iperyty wyrobu angielskiego pojawił się dopiero we wrześniu 1918 r.”.

MIOTANIE PŁOMIENI

PLONĄCA CIECZ.

W 1915 roku Niemcy po raz pierwszy próbowali użyć płonących cieczy. Początkowo miotano je przy pomocy zwykłych sikawek strażackich, a później udoskonalono w formie „miotaczy ognia”, aparatów niewielkich wymiarów, noszonych przez pojedynczego człowieka. Francuzi w odwet użyli tej samej broni. André Pèzard w pamiętniku swym „Nous autres à Vauquois” opowiada o jednej z pierwszych i nieudanych prób podobnego rodzaju natarcia. Jeden z kolegów Pèzarda mówi:

(Vauquois, 6 czerwca 1915 roku).

— Wkrótce będziecie mieć nowość w Vauquois... W odwet „my” będziemy rzucać na Szwabów płonącą ciecz. Widziałem próby czynione na poligonie... nadzwyczajne!

— Więc my również mamy się posługiwać temi świńskimi sposobami? Naprawdę, tego tylko brakowało w Vauquois. Pozostaje nam tylko jeszcze zabijać jeńców i będziemy całkiem podobni do Szwabów!

— Dalibóg, rzekł B... tej rzeczy nie będę nigdy potępiał. Szwabi nie mieli nic innego do zrobienia jak tylko zacząć.

Pożar był wspaniały. Worki z ziemią, kosze szańcowe, wiklina, deski i kołki, oraz wartownicy szwabscy palili się cudownie.

Zysk taktyczny równał się zeru.

A więc było tak. O godzinie wyznaczonej przez kogoś wysoko postawionego pompy plunęły, rozlały się jeziora ognia, Szwabcy zwieli, kościół okolił ogień.

Bataljon szturmowy rzucił się naprzód, by zająć okopy nieprzyjacielskie. Wiatr północno-wschodni zawrócił płomienie, nasi żołnierze poczęli się piec. Ludzie przy pompach pogłupieli, porzucili węże, które poczęły rzygać ogniem do nas, na nas, chlastały w rowy, objęły płomieniem zbiorniki i te wybuchały. Żołnierze paleni, oślepiani, duszeni poczęli uciekać jak szaleni.

Uciekał na całego ten, kto mógł.

Ale do natarcia wyruszono o godzinie tej, która była wyznaczona.

WOJNA GAZOWA W KARYKATURZE.



Na majówce „z lekkim sprzętem gazowym”.

MIOTACZE PŁOMIENI.

W sierpniu 1915 r. Niemcy po raz pierwszy użyli miotaczy płomieni (Flammenwerfer). Marszałek French komunikował w następujący sposób o tej nowości.

„Nieprzyjaciół użył nowego wynalazku, który polega na rzucaniu w nasze okopy silnego prądu płonącej cieczy.

Przy tem wsparciu wyruszył do natarcia o świcie 30 sierpnia na odcinek II armji w Hooge, na drodze z Menin. Prawie wszystkie znajdujące się tam oddziały wycofały się. Odwrót ten był wynikiem zaskoczenia i zamieszania, jakie nastąpiło a nie strat rzeczywiście poniesionych. Czyniono odważne usiłowania dla odzyskania straconej pozycji. Były one niepomysłne i kosztowne. Nową linię ustalono nieco wtył”.

Wogóle „Flammenwerfer” nie rozszerzył się zbyt. Z początku miotacze płomieni miały miejscowe powodzenie, dopóki żołnierze sprzymierzonych nie zorientowali się w ich właściwościach. Tylko podczas pierwszego natarcia sprzymierzeni byli zaskoczeni i nastąpiło zamieszanie. Aould opowiada o jednym z pierwszych ataków ogniowych w dniu 29 czerwca 1915 r., kiedy zupełnie nieoczekiwanie pierwsze linie okopów zostały pochwycone płomieniami. Nie było widać, skąd się

wziął ogień. Żołnierze ujrzeni się okrażeni płomieniami, którym towarzyszył głośny szum i czarne kłęby dymu. To tu, to tam w okop padały grube krople wrzącej cieczy. Krzyki rozdzierały powietrze, kiedy pojedynczy żołnierze podnosząc się w rowach albo chcąc przebiec po otwartej przestrzeni, uczuli na swej skórze siłę płomienia. Jedynym ratunkiem zdawała się ucieczka. Tak też uczynili ci, co ocaleli. Płomień gonił ich na niewielkiej odległości, lecz miejscowe odejście zamieniło się w ucieczkę, ponieważ Niemcy zaczęli gęsto bombardować miejsce natarcia.

Ucieczka żołnierzy była aż nadto zrozumiała, jeżeli wyobrazimy sobie, że leciały na nich strumienie płomienia, podobne do strumienia palącej się nafty o długości około sześćdziesięciu stóp. Strumień ten zmieniał swój kierunek tak, jakby polewany był z sikawki.

Później, kiedy żołnierze zaznajomili się z miotaczami płomieni, odnosili się do niego już inaczej. Okazało się, że płomień nie może dotknąć człowieka, który się położy na dnie rowu. Przez minutę, czy trochę dłużej będzie czuł żar, lecz później niebezpieczeństwo mija i może strzelać do tego, kto przyczynił mu tyle niepokoju.

„W 1918 roku polowa pocisków, wystrzelanych przez 14.000 dział niemieckich na froncie zachodnim, była napelniona gazem”.

„KSIĄŻĘ PIEKIEŁ”.

(Opowiadanie niemieckie).

W *Hamburger Nachrichten* z dnia 9 czerwca 1918 r. znajduje się następujące opowiadanie.

— Nasze specjalne oddziały „Flammenwerferów” narodziły się przypadkowo. Kiedy ich obecny dowódca major R... był oficerem rezerwy, w czasie jeszcze pokojowym, podczas wielkich manewrów, otrzymał rozkaz za wszelką cenę obronić pewien fort. Zużywszy podczas walki wszystkie środki, jakimi rozporządzał do obrony, zaalarmował wreszcie straż ogniową, którą miał pod swojemi rozkazami jako komendant fortu i ta strumieniami wody z sikawek powstrzymywała nacierających. Po manewrach w czasie omówienia operacji, co odbywało się w obecności cesarza, mjr. R... utrzymywał, że miotał z sikawek zapaloną ropę naftową. Cesarz zapytał czy podobna rzecz jest możliwa? — odpowiedziano mu twierdząco.

Należało jednak wykonać dużo doświadczeń, zanim inżynierowi L. udało się odnaleźć odpowiednią mieszaninę z różnych palnych cieczy, którą dało się rzucać na nieprzyjaciela przy pomocy miotacza płomieni.

W czasie pokoju major R... był komendantem straży pożarnej w Monachjum. „Książę piekieł”, jak go

nazywali jego ludzie podczas wojny, cieszył się wielką popularnością wśród oddziałów, które miał okazję wspierać. Jego oddział miotaczy płomieni został znacznie powiększony. W styczniu 1915 roku liczył tylko 36 ludzi podczas, gdy dzisiaj jest to niezależna jednostka, zawierająca pododdziały szturmowe i miotaczy bomb. Często znajdują się o nim wzmianki w komunikatach oficjalnych. Jeżeli gdzieś napotyka się trudności w oczyszczaniu jakiegoś niebezpiecznego gniazda karabinów francuskich albo angielskich, wówczas na scenę wkracza „książę piekieł” ze swoją hordą. Jest rzeczą jasną, że zaszczyt należenia do tego oddziału jest szczególnie niebezpieczny. Zresztą nie każdy się tam nadaje. Dobiera się do niego ludzi, którzy już dali dowody swej wartości fizycznej i moralnej, jakie są wymagane od oddziałów szturmowych.

W czasie późniejszym, według zeznań jeńców niemieckich, oddziały miotaczy płomieni stały się instytucją karną, do której przydzielano żołnierzy za różne przewinienia.

Amerykanie w rannych, chorych i zabitych stracili podczas wielkiej wojny 274.217 ludzi z tego przypada

na straty spowodowane zatruciem gazami . . . 74.779

na straty spowodowane inną bronią 199.438

Zatem straty wywołane przez gazy wynoszą 27,3% co dowodzi, że broń chemiczna okazała się najpotężniejsza ze wszystkich broni używanych”. A zarazem najmniej śmiertelna (p. uwaga na str. 182).

MIOTACZE PŁOMIENI NAPRZÓD.

(Opowiadanie niemieckie).

Zdarzało się nieraz, że szturmująca piechota napotykała na drodze silne gniazda nieprzyjacielskich karabinów maszynowych, których nie zniszczył ogień artylerji. Do zwalczania podobnych gniazd dodawano piechocie oddziały miotaczy płomieni. Jednemu z pułków piechoty podczas wielkich bojów pod Amiens przydzielono ich osiem.

O świcie podczas gęstej mgły rozpoczęto natarcie. W kilka minut przebiegła piechota przestrzeń dzielącą ją od okopów nieprzyjacielskich z gniazdami karabinów maszynowych. Zdawało się, że tym razem miotacze ognia niewiele będą miały do roboty.

Po pierwszym skoku dowódca bataljonu dostrzegł, że na prawo, we mgle, styczość została stracona. Rozkazał wtedy trębaczowi bataljonu Grabowskiemu dać sygnał. Nadśłuchiowano odpowiedzi, lecz żadnej nie dosłyszano, wówczas trębacz udał się na prawe skrzydło i ponownie zatrąbił. Styczość z sąsiadem i postępującą ztyłu odwodową kompanją okazała się rzeczywiście zerwana. Ale w tej samej chwili zrozumiano dlaczego. Oto z drewnianych szop, stojących przy drodze na starem lotnisku, posypały się gradem pociski. Tkwiły tam karabiny maszynowe. Trudno było do nich podejść.

Wówczas dowódca bataljonu dał umówiony sygnał. Pluton miotaczy płomieni wysunął się naprzód. Ze zbiornikami na plecach zwinnie wyskoczyli ludzie z leju granatniego i znalazłszy dobre stanowisko, puścili niszczycielskie strugi ognia na drewniane szopy. Zapaliły się one od ziemi. Anglikom zrobiło się ciepło pod stopami. Jasne płomienie buchnęły nad dach i wkrótce szopy spaliły się docna.

Piechota niemiecka mogła pójść naprzód!

„Natarcie rozwija się dobrze. Ze wszystkich stron po cienkich telefonicznych drutach płyną meldunki do stanowiska wyższego dowódcy. Piechota wszędzie posuwa się naprzód, nieprzyjaciel trzyma się słabo”.

Ale nagle przybywa meldunek z przykrą wiadomością.

„Wielki kamieniołom jest obsadzony przez silny oddział nieprzyjaciela, który stawia w nim energiczny opór, broniąc wejścia. Własne straty są duże”.

Wzięcie tego kamieniołomu mogło mieć duży wpływ na wynik szturm. Jeżeli nieprzyjaciel będzie się w nim twardo trzymał, piechota ma trudny orzech do zgryzienia.

Kamieniołom — jaskinia — był naturalną twierdzą, którą często trudniej jest zdobyć niż rzeczywisty fort pancerny. W tych okolicach nad rzekami Aisne i Oise, gdzie się toczyły wielkie bitwy, są liczne podobne podziemne kamieniołomy.

Wejście do nich jest zazwyczaj tak wysokie, że fura z sianem może śmiało wjechać. W środku dzielą się podobne kamieniołomy na liczne korytarze, gmatwające się w labirynt podziemny. W ciemnościach tu i ówdzie przebijają się światło przez szczeliny, które powstały drogą naturalną bądź też zostały wykute podczas wojny przez oddziały kwaterujące w kamieniołomach. Nieraz

całe dywizje, z taborami, wozami i końmi znajdowały wygodne schronienie w tych pieczarach.

I gdy się one znalazły bezpośrednio poza frontem, bataljony odwodowe czuły się w nich dobrze. Z niemiecką pracowitością uczyniono z tych podziemi wygodne kwatery oficerskie z kuchniami, podłogami, oświetleniem elektrycznem i wszelkimi wygodami. Lecz kiedy w miarę zmian wojennych, posuwał się nieprzyjaciel naprzód czy też wtył, pieczary te stawały się częstokroć widownią zażartych walk piechoty.

W niszach, poza stosami kamieni w tym kamieniołomie, ustawili Francuzi swe karabiny maszynowe. Kiedy pierwsze rzuty naszej piechoty zbliżyły się do wejścia, z wewnątrz posypały się snopy kul, wyleciały ręczne granaty.

Nie można określić siły załogi kamieniołomu. Napróżno piechota skierowała swój ogień w czeluść jaskini i miotła tam granat za granatem. Niewielki był z tego pożytek. Nieprzyjaciel ukryty w podziemiu drwił sobie z wysiłków niemieckich. Nasza piechota okazała się bezsilna. Niewiele również mogła pomóc artylerja, najcięższe pociski nie były zdolne przebić grubych sklepień.

Schroniony w głębi nieprzyjaciel na znak, dany przez obserwatorów, nadbiegał wczas aby odeprzeć natarcie. Nie było rady. Piechota otrzymała rozkaz pozostawić nieprzyjaciela w spokoju.

Ale karabiny maszynowe nieprzyjacielskie kuły bez przerwy, szczerbiąc dotkliwie luki w niemieckich szeregach.

Ach, gdyby można stąd nieprzyjaciela wykurzyć — oto było życzenie piechoty.

Nagle dały się słyszeć okrzyki: hura!

To przyszły miotacze płomieni. Drobne oddziałki wdarły się w czeluść kamieniołomu, w płataninę rozgałęzień.

Żołnierze w stalowych hełmach ciągną długie węże, okute miedzią przy wylocie. Piechota krzyczy — miotacze ognia naprzód! Tryskają strugi płonącej cieczy, snopy płomieni pędzą do jaskini. W okamgnieniu kłębi się morze żaru.

Francuzi poddają się. Ci, co ocalili, wybiegają, wznosząc ręce do góry. Nim jeszcze miotacze skończyły swą pracę, w ręce Niemców wpadł już cały bataljon francuski, skryty w kamieniołomie.

Teraz piechota mogła posuwać się dalej, aż do zwycięskiego rozstrzygnięcia walki.

Paroel Dahms.

Prywatna Bibl. Bolsh.
Oficerów Garn. Skierniewice







9752/
7